

JOHN MARSDEN

KONTYNUACJA SERII  
**JUTRO**

POWAD  
4 MILIONY FANÓW  
NA CAŁYM  
ŚWIECIE!

**KRONIKI  
ELLIE 2  
NIEULECZALNA**

**JOHN MARSDEN**

**Kroniki Ellie 2**

**Nieuleczalna**



Za pomoc w pisaniu tej książki dziękuję następującym osobom, które wymieniam w przypadkowej kolejności: Sianon Daley, Samowi i Lou Marsdenom, Susan Kirk, Warwickowi Kirkowi, Michelle Mitchell, Rondzie Gawley, Grantowi Breadsellowi, Peterowi Richardsonowi, Tomowi McCrabbowi i Annalycy O'Keefe.  
Faye O'Carrollów oraz dla Tima Berrymana... „Największą mądrością jest dobroć”.

## Rozdział 1

Kiedy kakadu rozpościerają skrzydła i przelatują z gałęzi na gałąź, na chwilę zawisają w powietrzu, jakby natrafiły na wir. Potem wybierają sobie lądowisko, na którym osiadają z krzykiem i wzruszeniem skrzydeł. Dumnie krocą po gałęzi, świecąc żółtymi grzebieniami. Gdyby miały ręce, uderzałyby się w pierś. Są bardzo zadowolone z siebie. Możesz je przegonić z drzewa owocowego, z pola jęczmienia albo z przyczepy ciężarówki wiozącej pszenicę, ale nigdy z nimi nie wygrasz: to ptasi buntownicy.

Ich biel na tle zachmurzonego nieba jest porażająca. Są najbielsze na świecie. Nie żeby kiedykolwiek organizowano mistrzostwa świata w białości. Przynajmniej ja nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Przeganiałiśmy stado bydła leśną drogą gruntową, przez bród, którym zimą płynie woda, przez eukaliptusowy las, pod kakadu wykrzykującymi najnowsze plotki.

Stado było duże, liczyło trzysta sztuk, krów i wołów, wśród których znalazło się kilka naprawdę dużych zwierząt.

Ale żadnemu z nich się nie spieszyło. Miałam mnóstwo czasu, żeby się przyjrzeć kakadu.

Po lewej grube czarne bydło pasło się na pastwisku pana Farrara. Ślinałam się z zachwyty i zazdrości, ilekroć patrzyłam na największe pole tego farmera. Osłaniały je rzędy starych eukaliptusów, daleko w rogu wznosił się pagórek, a zachodnią granicę wytyczał strumień. Nigdy nie widziałam, żeby ten strumień wysechł, a na tym pastwisku zabrakło trawy. Rosła tam jak szalona. Można by na nią wypędzić sto krów i nie zaglądać do nich przez rok - chyba że po to, by porobić zdjęcia do rozkładówek w kolorowych pismach dla bydła. To było moje ulubione pastwisko w całym okręgu.

Byk pana Farrara zbliżył się do ogrodzenia, żeby taksować wzrokiem przechodzące lalunie. Był wielki jak ciężarówka do przewozu mebli i miał jaja wielkości jej kół. Wszystkie krowy z mojego stada chciały z nim pogadać. Wyobrażałam sobie tę rozmowę.

- Ładny kawałek rumsztyku, skarbie.
- O, dziękuję. Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?
- Po co czekać do wieczora? Przeskocz przez drut kolczasty i będę twój.
- No tak, drut kolczasty. Z tym może być pewien problem...

Wtedy podjeżdża ten wkurzający człowiek na warczącym suzuki, daje damie kopniaka w atrakcyjny tyłek, krzyczy coś w rodzaju: „Ruszaj się, ty stara torbo mięsa na hamburgery!”

i cały romantyczny nastrój znika.

Tym wkurzającym człowiekiem był Alastair Young, któremu pomagałam, uderzając dłonią w bok pikapa, krzycząc, a w skrajnych wypadkach zatrzymując pikapa i wychodząc, żeby wykurzyć byka z gąszczu młodych drzew i jeżyn. Bydło należało do ojca Alastaira, który jechał pikapem przed stadem. Krowy poganiali także jadąca konno siostra Alastaira Shannon i Gavin, ten mały koleś, który ze mną mieszka. Gavin jechał na naszej yamasze. Pan Young miał swoje psy, a ja miałam Marmie, ale przez większość czasu trzymałam ją w pikapie.

Najważniejsze było to, żeby nie dopuścić do rozproszenia się bydła na zbyt dużej przestrzeni, ale nie mieliśmy z tym problemu. Zwierzęta okazały się całkiem dobrze wychowane. Czekало nas trochę więcej pracy po dotarciu do drogi, którą jeździły samochody, choć na szczęście nigdy nie było ich wiele. Mogłam się telepać z tyłu, najeżdżając zniecka na motor Alastaira, który akurat skupił się na niesfornej krowie, gawędząc przez chwilę z Shannon, kiedy podjechała po coś do picia, i machając do Gavina w oddali.

Gavin najwidoczniej był w dobrym humorze. Też do mnie pomachał i szeroko się uśmiechnął. Normalnie gdy nawiązywałam z nim jakikolwiek kontakt w miejscu publicznym, patrzył na mnie jak na obcą wariatkę ze słabym wzrokiem. Dziś obydwójce nie pojechaliśmy do szkoły, co dla Gavina zawsze było dobrym początkiem dnia. Poza tym polubił życie na wsi, jakby przyszedł na świat w płaszczu Drizabone i w kapeluszu Akubra. Dla niego to było lepsze niż wycieczka do Disneylandu. No dobra, może nie lepsze niż wycieczka do Disneylandu, ale naprawdę to uwielbiał.

Jego życie zupełnie się zmieniło i nadal było nieprzewidywalne. Z tego, czego zdołałam się o nim dowiedzieć, dorastał w dość nieciekawej dzielnicy i w dość nieciekawej rodzinie - nie miał taty, tylko ojczyma, o którym wspomniał zaledwie raz i natychmiast zamilkł z taką miną, jakby ugryzł niedojrzałą oliwkę.

Potem przetrwał wojnę: najpierw żył jak szczur w ruinach Stratton, potem ja i moi przyjaciele zabraliśmy go do doliny w lesie, a następnie, jakby tego było mało, wkręcił się w naszą partyzancką kampanię, uniknąwszy wejścia na pokład helikoptera, który mógł go odwieźć do Nowej Zelandii. Po wojnie nie udało się odnaleźć nikogo z jego rodziny, więc wprowadził się do mnie i moich rodziców.

I gdy w jego życiu zaczynało się robić trochę spokojniej, spadło na nas coś tak potwornego, że nawet nie byłam w stanie o tym myśleć w ten wilgotny zimowy poranek, kiedy przepędzaliśmy bydło z pastwiska Youngów na nasze.

Ale to na nic. Gdy postanawiasz o czymś nie myśleć, już po chwili nie jesteś w stanie

myśleć o niczym innym. Jak wtedy, kiedy bracia Tolstoja powiedzieli mi, że odsłonią się przed nim tajemnice wszechświata, jeśli stanie w kącie i nie będzie myślał o białym koniu. Usiłowałam nie myśleć o śmierci rodziców, ale od razu poczułam wilgoć na twarzy. Nagle wydało mi się, że kakadu są kilometr dalej, a ich nawoływania stały się rozpaczliwe i złowrogie.

Skąd się bierze sól we Izach? Czy mamy małe kopalnie soli pod powiekami? Czy organizm w jakiś sposób wyciąga ją z rozsmarowanej na grzance pasty Vegemite i pompuje do brzucha, a potem do głowy, robiąc zapasy na przyszłość? Zastanawiałam się nad tym, czując smak łyzy, która spłynęła mi po policzku. Parę dni temu Fi powiedziała przez telefon:

- Zachowujesz się tak, jakby nagle dopadał cię smutek, który po chwili odpływa i znów jest normalnie, aż do następnego razu.

- To dziwne? Inni tak nie mają?

- Myślę, że inni są zdolowani przez jakiś czas, a potem stopniowo zaczyna im się poprawiać.

- Aha.

- Co to znaczy „aha”? Czujesz się urażona?

- Nie, skąd. Po prostu się zamyśliłam i zastanawiałam się, czy masz rację.

Osobiście uważam, że zdarzały mi się oba rodzaje smutku.

Zahamowałam i wróciłam po krowę, której wcześniej nie zauważyłam - po małą rudą łajzę, która znalazła jakąś pyszną kępę roślin w rowie przy płocie. Dałam jej klapsa, a ona wyskoczyła z rowu, niezdarnie przebierając przednimi nogami.

Korzystaliśmy z krótkofalówek Youngów i kiedy wróciłam do pikapa, połączył się ze mną pan Young. Jego głos był miłą odmianą po niekończących się przekleństwach kierowców ciężarówek. Bez względu na to, z którego pasma korzystały krótkofalówki, zawsze było słyhać niekończące się przekleństwa kierowców ciężarówek.

- Ellie, właśnie wyjeżdżamy na drogę. Jak sobie radzisz tam na końcu?

- Ostatnie krowy są przy... - rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiegoś charakterystycznego miejsca. O mało nie dodałam: „Przy pikapie”, co niewiele by mi powiedziało. - Przy starym wiatraku Farrara.

- W porządku, całkiem niezłe. Zatrzymamy się tu z Shannon i Gavinem i poczekamy na ciebie. Nie podoba mi się ta wilgoć. Na drodze będzie ślisko, a część ciężarówek w ogóle tu nie zwalnia.

Zaczęliśmy z Alastairem trochę przyspieszać, zostawiając kakadu za sobą. Kiedy dogoniliśmy pozostałych, pan Young dał mi znaki, które miałam ustawić na drodze. Były

zrobione ręcznie i zawierały tylko dwa słowa: „Zwolnić bydło”, co wydało mi się dość dwuznaczne, ale uznałam, że pan Young nie ma ochoty na wykład o interpunkcji.

Oprócz apelowania do kierowców półciężarówek, by powstrzymali się od staranowania stada z prędkością stu kilometrów na godzinę, do moich zadań należało zamykanie bram. Każdy podjazd i każde pole musiały mieć zamkniętą bramę, żeby bydło nie szło tam, gdzie nie powinno. Pozostawało nam mieć nadzieję, że podczas naszego przemarszu nikomu nie przyjdzie ochota otworzyć bramy i wyjść albo wyjechać ze swojej posiadłości.

Wokół było mnóstwo trawy, którą stado z pewnością by nie pogardziło. Uznaliśmy, że przydałby mu się odpoczynek. Zwierzęta pokonały już osiem kilometrów.

Kiedy ruszyliśmy dalej, atmosfera zupełnie się zmieniła. Znaleźliśmy się na drodze łączącej Wirrawee z Holloway i musieliśmy przegonić po niej zwierzęta. Tym razem prowadziłam, a za mną jechali Shannon na koniu i Gavin na yamasze, próbujący trzymać bydło na poboczu. Alastair otwierał bramy, a korowód zamykał pan Young, który tak samo jak ja jechał powoli i mrugał światłami awaryjnymi wydającymi to monotonne, wkurzające i głośnie „cyk, cyk”, od którego po jakimś czasie mogła rozboleć głowa.

Ale nie miałam ochoty na ból głowy. Ten dzień był zbyt piękny, nawet jeśli zabarwił go smutek.

Alastairowi pomagały psy, bo jego zadanie polegało nie tylko na otwieraniu bram, które zamknęłam - on i jego kundły mieli poganiać wszystkie krowy, które zostawały w tyle. Niektóre z tych psów wyglądały dość groźnie, więc trzymałam Marmie przy sobie, choć bardzo ją tym zasmuciłam. Od razu było widać, że mi nie wybaczy - co najmniej do następnego posiłku.

Najbardziej zajęty z nas wszystkich był chyba Alastair, ale to tylko moje domysły, bo byłam za daleko, żeby to ocenić. Od czasu do czasu słyszałam coś przez krótkofalówkę.

- Zajdź ją od tyłu, Alastair.

- Próbuje wejść za ogrodzenie.

- Jadą dwa samochody - powiedziałam.

- Pan Nelson w swoim land roverze - odparł pan Young. - Alastair, pilnuj tej wielkiej rudej paskudy.

- Tato, one wszystkie są paskudne, nie zauważyłeś?

Kiedy ruszyliśmy dalej, atmosfera zupełnie się zmieniła. Znaleźliśmy się na drodze łączącej Wirrawee z Holloway i musieliśmy przegonić po niej zwierzęta. Tym razem prowadziłam, a za mną jechali Shannon na koniu i Gavin na yamasze, próbujący trzymać bydło na poboczu. Alastair otwierał bramy, a korowód zamykał pan Young, który tak samo

jak ja jechał powoli i mrugał światłami awaryjnymi wydającymi to monotonne, wkurzające i głośnie „cyk, cyk”, od którego po jakimś czasie mogła rozboleć głowa.

Ale nie miałam ochoty na ból głowy. Ten dzień był zbyt piękny, nawet jeśli zabarwił go smutek.

Alastairowi pomagały psy, bo jego zadanie polegało nie tylko na otwieraniu bram, które zamknęłam - on i jego kundły mieli poganiać wszystkie krowy, które zostawały w tyle. Niektóre z tych psów wyglądały dość groźnie, więc trzymałam Marmie przy sobie, choć bardzo ją tym zasmuciłam. Od razu było widać, że mi nie wybaczy - co najmniej do następnego posiłku.

Najbardziej zajęty z nas wszystkich był chyba Alastair, ale to tylko moje domysły, bo byłam za daleko, żeby to ocenić. Od czasu do czasu słyszałam coś przez krótkofalówkę.

- Zajdź ją od tyłu, Alastair.

- Próbuje wejść za ogrodzenie.

- Jadą dwa samochody - powiedziałam.

- Pan Nelson w swoim land roverze - odparł pan Young. - Alastair, pilnuj tej wielkiej rudej paskudy.

- Tato, one wszystkie są paskudne, nie zauważyłeś?

Alastair pękał z dumy. Normalnie ta robota przypadłaby jego starszemu bratu, ale Sam był w Brogan, w collegeu rolniczym, w którym zamierzał zacząć naukę w następnym roku.

- Ellie, mówiłaś, że brama dla ciężarówek z bydłem u Perreirów była otwarta?

- Nie. Nie otwieraj jej, była zamknięta.

Przez chwilę padała mżawka, która jednak nie przeszła w deszcz. Krowy sunęły przed siebie, zrywając po drodze kępy trawy, i od czasu do czasu próbowały wyjść na drogę, do czego bardzo je zniechęcałyśmy.

Gavin minął mnie i znowu szeroko się uśmiechnął, a potem pomachał i wrócił na swoją pozycję. Ucieszyłam się. Ostatnio miewał duże wahania nastroju, ale przeważnie był smutny. Myślałam, że na motorze zmarznie, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. Najwyżej trochę zmókł. Całe szczęście, że nie próbowałam go zmusić do pójścia do szkoły.

Zauważyłam szary samochód. Sięgnęłam po krótkofalówkę. Pojazd zbliżał się zbyt szybko, więc mignęłam mu światłami. Po chwili zdałam sobie sprawę, kto to taki. Pan Rodd. Nie należał do moich ulubieńców. W zasadzie po tej stronie granicy był chyba na szarym końcu mojej listy, trochę niżej niż prawnik pan Sayle i niewiele wyżej niż szczury, które niedawno dostały się do mojej łazienki i pożarły ostatni kawałek ulubionego mydła mamy.

Kawałek po kawałku, razem z resztką mydła i ostatnim fistaszkowym ciastkiem,



codziennosc oskubywala mnie ze wspomnień o rodzicach.

Kiedy audi się zbliżyło, napotkałam spojrzenie pana Rodda, który natychmiast odwrócił wzrok. I nie zwolnił. Chwyciłam krótkofalówkę.

- Nadjeżdża pan Rodd, zdecydowanie za szybko.

To stawało się niebezpieczne. Rodd był wystarczająco stuknięty, żeby w ramach zemsty specjalnie uderzyć w krowę. A potem kupić sobie nowiutki samochód za pieniądze z czyjejs polisy. Pewnie myślał, że to moje krowy. Rolnicy mają spory problem, bo odpowiadają za bydło znajdujące się na drodze. Trzymamy kciuki, żeby nie uderzył w nie żaden rollsroyce ani autokar pełen milionerów objeżdżających okoliczne winnice. Dwa lata temu pan Yannos miał byka, który pewnej nocy uciekł i wpadł pod samochód. Państwo Yannos byli sami w domu, więc pobiegli na miejsce wypadku. Na szczęście pasażerom samochodu nic się nie stało. Ale auto było rozbite, a byk martwy. Kiedy pani Yannos czekała z tymi ludźmi na pomoc drogową, pan Yannos wymknął się do domu, wziął nóż, wrócił i obciął martwemu zwierzęciu uszy, żeby nie można było uznać byka za jego własność. Pewnie nie byłby zachwycony, wiedząc, że opowiadam tę historię, ale to prawda.

We wstecznym lusterku zobaczyłam, jak zapalają się światła stopu audi i samochodem zarzuca w prawo. Ostatecznie pan Rodd postanowił nie rozjeżdżać krów z czystej złośliwości. Usłyszałam też klakson, a potem w krótkofalówce odezwał się głos Shannon:

- Boże, co on wyrabia?

I odpowiedź pana Younga:

- Naprawdę, ten człowiek czasami mnie osłabia.

Jak na pana Younga to były mocne słowa.

Samochód wyrównał tor jazdy i dość szybko pojechał dalej. Pokręciłam głową. O co chodzi temu facetowi? A można by pomyśleć, że przemoc, której doświadczyliśmy, wystarczy nam na sześć wcieleń.

## Rozdział 2

Podzieliliśmy bydło między trzy pastwiska. Wprowadzając zwierzęta na nowy teren, trzeba je zabrać na spacer, pokazać im granice i wodę, a potem można je zostawić, żeby spokojnie jadły, piły, zwiedzały, zawierały znajomości i romansowały. Oczywiście i bez tego znalazłyby wodę, ale dzięki tej drobnej pomocy szybciej się zadomawiają. Zawsze im ją pokazywałam, więc nie wiem, co by było, gdybym tego nie zrobiła.

Potem pan Young dał mi czek za pierwsze cztery tygodnie. Och, co za uczucie! Pierwszy dochód z farmy od śmierci rodziców. Dwanaście tysięcy dolarów. Biorąc ten czek, czułam się wspaniale. Dwanaście tysięcy dolarów to około jedenastu tysięcy osmiuset dolarów więcej, niż zdarzyło mi się trzymać w ręce kiedykolwiek wcześniej. Miałam ochotę oprawić ten czek w ramkę i zachować go na zawsze, ale to chyba nie byłaby najrozsądniejsza decyzja finansowa.

Zaledwie kilka dni wcześniej pan Young usiadł w mojej kuchni i wymówił dwa magiczne słowa: odpłatny wypas.

Miałam wrażenie, że czek wibruje mi w ręce. Tamtego dnia usiadłam z notesem i kalkulatorem i w pół godziny wydałam przeszło dziesięć tysięcy dolców. To było bardzo emocjonujące. Pięć tysięcy dolarów dla ludzi, od których dzierżawiliśmy ziemię. Suma za cały miesiąc i tysiąc dolarów za zaległy czynsz, żeby nie myśleli, że próbuję ich wyrolować. Trzy tysiące siedemset sześćdziesiąt dolarów dla banku na pokrycie miesięcznych odsetek. Wciąż niezapłacone rachunki od Jacka Edgcombe'a za przewiezienie bydła, ód wydziału komunikacji za zarejestrowanie toyoty, od Larry'ego Whelana za usunięcie drzewa, które o mało nie spadło na szopę do strzyżenia owiec. Łącznie tysiąc czterysta trzydzieści pięć dolarów - a doskonale wiedziałam, że Larry skasował mnie po stawkach charytatywnych. W zasadzie żądał tylko zwrotu kosztów wynajmu żurawia wysięgnikowego, które sam poniósł. Niektórzy goście kasują tysiaka za samo spojrzenie na tak wielkie drzewo. Ale Larry zachował się tak, jakby to była zwyczajna robota, więc schowałam dumę do kieszeni i nie pisnęłam słowem.

Siedziałam, wpatrując się w kalkulator i notes. Bingo! Poszły prawie wszystkie pieniądze. Zostało tysiąc osiemset dolców. Miałam nadzieję, że zmniejszę debet w banku, ale wiedziałam, że te tysiąc osiemset dolarów szybko zniknie. Same koszty życia nas dwojga, mnie i Gavina, były niewiarygodnie wysokie. Przez chwilę zastanawiałam się, czy dałoby się żyć bez wydawania pieniędzy. Dlaczego musimy płacić za przywilej bycia żywymi?

Znowu skupiłam się na notesie. Gavin potrzebował nowego... właściwie wszystkiego. Nie przestawał rosnąć, mimo że od czasu do czasu tłukłam go po głowie, żeby trochę spowolnić ten proces. Poza tym było parę rzeczy, którymi sama też bym nie pogardziła. Wirrawee bardzo szybko się zmieniało, pojawiło się mnóstwo nowych mieszkańców. Dawniej mieliśmy jeden sklep z ubraniami, a teraz cztery. Dawniej nie mieliśmy żadnej kawiarni (chyba że uwzględnimy piekarnię, ale ja jej nie uwzględniam), a teraz dwie. Pan Downs, który sprzedawał używane narzędzia rolnicze, musiał się przenieść na Sherlock Road, a nowego gościa, który prowadził zakład naprawy pił łańcuchowych, czekało to samo, bo czynsze przy Barker Street ostro poszły w górę.

W nowym Wirrawee były takie sklepy jak Main Drag przy Barker Street. Niedawno widziałam w nim świetną bluzkę. Była różowa, czyli niekoniecznie w moim ulubionym kolorze, ale i tak mi się spodobała. Kosztowała osiemdziesiąt dolców. Przed wojną były duże szanse, że udałoby mi się namówić mamę na taki zakup. A teraz? Czy istniały szanse, że uda mi się na nią namówić samą siebie? Co jest ważniejsze: nowa bluzka czy zmniejszenie zadłużenia?

Nie było jednak czasu na podejmowanie takich ważnych decyzji. Bydło pana Younga od pierwszych chwil domagało się uwagi. Nigdy wcześniej nie widziałam tak upierdliwego bydła. Kiedy przyprowadziliśmy te zwierzęta na moje pastwiska, zachowywały się tak dobrze, że uznałam je za idealnych gości. Myślałam, że będą jadły, przybierały na wadze i płaciły moje rachunki. Ale widocznie uznały, że za trzy tysiące dolarów tygodniowo mają prawo do śniadania na tacy i bajeczki na dobranoc codziennie przed snem. Nie dostały tego, więc robiły zadymę. Były coraz bardziej niespokojne. A czwartego wieczoru nastąpiła katastrofa.

Muszę powiedzieć, że nie mieliśmy szczęścia do pogody. Prognozowano przelotne opady, miejscowe burze, a potem bezchmurne niebo. Od siedmiu do dziewiętnastu stopni. Nie był to dzień, w którym planuje się imprezkę nad basenem albo grilla, ale nie mieliśmy na co narzekać. Rano wyszliśmy z Gavinem z domu i pojechaliśmy zajrzeć do krów. Rzeczywiście były niespokojne i wiedziałam, że powinnam zostać w domu, ale nie mogłam opuścić kolejnego dnia w szkole. We wtorek nie poszłam, bo przeganiałoby bydło, w środę też nie, bo chciałam się upewnić, że nic mu nie jest, ale wczoraj byłam na lekcjach. Mały ludzik siedział mi na ramieniu i mamrotał do ucha: „Ellie, nie jedź, usiądź na tyłku i zostań w domu. Dziewczyno, nie wlec tyłka do miasta”. Strząsnęłam go i wylądował w błocie. Ale o mało nie zwiął nam autobus, bo biłam się z myślami, nie wiedząc, co zrobić. Potem, przed wyjściem z autobusu, Gavin przeszedł obok mnie i powiedział cicho:

- Te krowy były dziś trochę dziwne.

- Też tak myślę - przyznałam, zastanawiając się, dlaczego nie pogadaliśmy o tym w domu.

Gavin czekał, aż coś dodam, ale ja mogłam tylko wzruszyć ramionami i stwierdzić:

- Teraz i tak nic na to nie poradzimy.

Autobus zatrzymał się, zatrząsł i nie było więcej czasu na rozmowy. Gavin wyszedł, a ja denerwowałam się przez resztę dnia. Nie żebym mogła cokolwiek zrobić, gdybym została w domu. Chyba po prostu dobrze byłoby wiedzieć, że szykują się kłopoty. Nasze pastwiska są dość krzaczaste, a krowy Youngów były przyzwyczajone do płaskich i trawiastych. Chyba przerażały je takie nowości jak króliki, węże, sowy i młode akacje, które pod wpływem wiatru nagle zaczynały do nich machać.

Pewnie mogłabym wezwać kogoś na pomoc, ale czułabym się trochę głupio, chyba że byłabym pewna, że dzieje się coś złego. Niestety, takie słowo jak pewność nie figuruje w bydlęcym słowniku.

W każdym razie nie mogłam się doczekać powrotu do domu. Jeżdżąc quadem po pastwiskach, z ulgą stwierdziłam, że nic złego się nie stało. Ale psuła się pogoda: powietrze było ciężkie, chmury wisiały niżej, a te ciemne w oddali robiły się czarne i złowrogie. Zanosilo się na burzę i obawiałam się, że przy tak nerwowym stadzie burza nie oznacza nic dobrego.

Wróciłam do domu, zjadłam kolację i omówiłam sprawę z Gavinem. Gavin czasami przyprawiał mnie o ból głowy graniczący z migreną, ale dobrze było mieć kogoś, z kim można obgadać problemy. Gdyby nie on, pewnie w ogóle nie zostałabym na farmie. Jednak nawet z Gavinem chwilami doskwierała mi samotność, bo było mnóstwo spraw, o których nie mogłam z nim rozmawiać. Na początku sporą przeszkodą była jego głuchota, ale z biegiem czasu tak się do niej przyzwyczaiłam, że przestałam ją zauważać. Powody, dla których nie mogliśmy poruszać pewnych tematów, wiązały się raczej z jego wiekiem i osobowością - oraz z płcią. Na przykład nie nadawał się na powiernika, kiedy biłam się z myślami, zastanawiając się, czy tęsknię za Lee tak okropnie, że mam ochotę krzyknąć do słuchawki: „Lee, proszę, przyjedź, muszę cię znowu zobaczyć i poczuć dotyk twoich silnych rąk!”. Albo czy lubię Jess, czy może jest zbyt dominująca. Poza tym Gavin nie przejawiał większego zainteresowania tym, czy powinnam kupić różową bluzkę w Main Drag.

Co innego, gdy chodziło o bydło. Podejrzewam, że Gavin po raz pierwszy zobaczył krowę dopiero po wojnie, ale mimo to był urodzonym hodowcą bydła. Jego uwagi na temat krów często brzmiały bardzo mądrze. Nigdy nie widział rozróby w ich wykonaniu - sama

rzadko widywałam takie rzeczy - ale czuł, że dzieje się coś złego. To znaczy ja też to czułam, ale myślałam, że zwierzęta są po prostu niespokojne, rozdrażnione. A Gavin chyba wiedział, że chodzi o coś więcej.

Tworzyliśmy dobry zespół: on miał intuicję, a ja wiedziałam, co robić. Wyprowadziłam yamahę i quada, sprawdziłam poziom benzyny i oleju. Kazałam Gavinowi pójść po latarki, włożyć do nich nowe baterie i przynieść nam coś ciepłego do ubrania. Postanowiłam zrobić dodatkową dostawę siana, co było kosztowne, ale uznałam, że nakarmiony byk to szczęśliwy byk. Mimo to zwierzęta się nie uspokoiły. Schowałam więc dumę do kieszeni i zadzwoniłam do taty Homera, pana Yannosa.

Tym razem darował sobie żarciki oraz pytania o moje zdrowie i życie.

- Przyślę Homera - powiedział tylko. - Przyjechałbym sam, ale ktoś musi tu zostać i doglądać naszego bydła, a Georgea nie ma w domu.

Czekaliśmy na Homera na pastwisku. Trzymałam się blisko największych zadymiarzy. Było ciemno, ale zauważyłam kilku prowadzących. Te ponuraki nie patrzyły w moją stronę i zostawiały wielkie krowie placki, jakby miały do mnie jakiś żal. Niespokojnie maszerowały tam i z powrotem, zarzucając łbem. Jeden byk miał idealne białe kółeczko na czole. Drugi świńskie oczka i zacieklą minę. Jedna krowa miała dereszowatą sierść, a druga patrzyła na mnie z ukosa. Zabawne, jak szybko było nabiera osobowości i jak szybko człowiek je poznaje. Oczywiście nie zauważyłam tych wszystkich cech przypadkiem. Tata zawsze mnie uczył, żeby wyszukiwać w stadzie te zwierzęta, które można wykorzystać do pokierowania innymi. Niektóre krowy lubią dowodzić, inne chować się w środku, inne wlec się z tyłu, a jeszcze inne trzymać się z boku i iść trochę ze stadem, a trochę osobno. „Chcę tu rządzić”. „Nie chcę się rzucać w oczy”. „Potrzebuję własnej przestrzeni”. „Po co ten pośpiech? Dlaczego wszyscy się dokądś spieszą? I dokąd my właściwie idziemy?”

Byłam coraz bardziej przekonana, że postąpiłam słusznie, dzwoniąc do pana Yannosa. Zwierzęta kładły się na zimnej ziemi, a po chwili wstawały i odchodziły w inne miejsce. To mi się nie podobało.

Jest mnóstwo rzeczy, które mogą zdenerwować krowy. Homer przyjechał z listą zasłyszanych historii: o reklamówce unoszącej się nad pastwiskiem, o kimś, kto przeszedł między stadem a ogniskiem, rzucając cień, który wyglądał jak olbrzym wychodzący z ciemności. Ja dorzuciłam swoje trzy grosze: opowieść o szczęku zbiornika zsuwanego z pikapa, o tym, jak ktoś wytrzepywał plandekę, która głośno łopotała, o dziecku, które nagle krzyknęło podczas zabawy w chowanego. Poza tym po zmroku wszystko wydaje się krowom tysiąc razy gorsze niż za dnia. Całkiem jak u ludzi. Często się nad tym zastanawiałam.

Dlaczego o zmierzchu panuje taka upiorna atmosfera? Dlaczego uważa się go za czas wiedźm, gnomów, wampirów, duchów i popłochu bydła?

Odbyliśmy naradę na skraju stada. Homer dziwnie się zachowywał. Chyba chciał udawać, że to coś w rodzaju narady Wyzwolenia.

- No tak - powiedział, przyglądając się najbliższym stojącym krowom, od których dzieliło nas zaledwie parę metrów. - Jeśli nasi przyjaciele postanowią wyskoczyć na piknik, a chyba wiecie, kogo mam na myśli, mówiąc „nasi przyjaciele”, i co mam na myśli, mówiąc „piknik”, to jaki według was obiorą kierunek?

Gavin był skołowany, ale kiedy w końcu załapał, o co chodzi Homerowi, pokazał na północ. Ja pokazałam na południe.

- Tak, bardzo mi pomogliście - skwitował Homer. - Osobiście postawiłbym na wschód. Albo może na zachód.

- Myślę, że pobiegną na północ, bo za drzewami jest czysty teren - wyjaśnił Gavin.

- A moim zdaniem pobiegną na południe, bo tam mają z górki. No i tamtędy tu przyszły - powiedziałam.

- Ja nie mam pojęcia, czemu wybrałem wschód albo zachód. W każdym razie tata kazał chodzić wokół stada i przez całą noc trzymać je w kupie. A jeśli sytuacja się uspokoi, możemy to robić na zmianę.

Po drugiej stronie gór dał się słyszeć grzmot. Może wydobywał się z Piekła. Zostawiłam Marmie w kojcu, a teraz miałam wyrzuty sumienia, bo wiedziałam, jak bardzo nie znosi burz.

- A czy krowy nie wystraszą się jeszcze bardziej, kiedy przez całą noc będziemy wokół nich chodzić? - zapytałam.

- I tu dochodzimy do najlepszej części tego zadania. Nie wystraszą się, bo będziemy przy tym śpiewać.

- Słucham?

- Ellie, te wzgórza będą rozbrzmiewały muzyką.

- Poważnie?

- Ja nie śpiewam - oświadczył Gavin.

Homer spoważniał. Wiedział, że Gavin nie jest urodzonym śpiewakiem i trudno go będzie do tego przekonać.

- Stary, musisz śpiewać. W zasadzie nie mam na myśli śpiewania. Żadnych hymnów państwowych ani nic w tym rodzaju. Ale krążąc wokół stada, musisz wydawać dźwięk, nieprzerwany dźwięk. Wystarczy bla, bla, bla, bla, bla, bla. Najważniejsze, żeby nie

przestawać. Krowy muszą wiedzieć, kim jesteś i gdzie jesteś. Są takie zdenerwowane, że jeśli bez ostrzeżenia wyjdiesz do nich z ciemności, zaczną biec i zatrzymają się dopiero w Wirrawee.

Gavin wydawał się - czekałam na chwilę, w której będę mogła użyć tego słowa, odkąd usłyszałam je po raz pierwszy - skonsternowany.

Zaczęliśmy krążyć wokół krów i na początku czułam się jak kretyńka. Trzymaliśmy się tej samej trasy i plan polegał na tym, żeby zachować określoną odległość od osoby z przodu i nie pozwolić się dogonić osobie z tyłu. Ruszyłam pierwsza i dopiero po kilku minutach znalazłam sobie piosenkę. Wcześniej miałam zupełną pustkę w głowie. Słyszałam, jak idący za mną Homer cicho woła:

- Ellie, no co tam? Nie słyszę cię.

No więc głosem, który przywodził na myśl wiatrak wymagający pilnej naprawy, zaczęłam śpiewać So Much Water. A jeśli to nie było wystarczająco smutne, dorzuciłam Revelator, próbując naśladować Gillian Welch. Zastanawiałam się, jak by się czuła, gdyby wiedziała, że słowa jej piosenki rozbrzmiewają na pastwisku jakieś dziesięć tysięcy kilometrów od jej domu, i mają za zadanie uspokoić bydło.

Za mną fałszujący Gavin stopniowo nabierał pewności siebie i nucił coś, co nie miało związku z żadną ze znanych mi piosenek. Już parę razy słyszałam, jak to nucił, kiedy był zmęczony albo smutny i myślał, że go nie słyszę. A za nim, jeszcze ciszej ze względu na dzielącą nas odległość, Homer zaczął śpiewać coś, co serwował Triple J po powrocie na antenę.

W innych okolicznościach takie chodzenie i śpiewanie mogłoby być całkiem fajne. Chwilami ta rola nawet mi się podobała. Ale za dużo się zmieniło w moim życiu. Od ataku na mój dom nie czułam się bezpiecznie w ciemności. Nie wiedziałam, czy może dojść do następnego napadu, a jeśli tak, co się ze mną wtedy stanie. Nie chciałam umierać. Stopniowo uświadamiałam sobie, że zamordowanie moich rodziców prawdopodobnie nauczyło mnie czegoś, z czego wcześniej nie do końca zdawałam sobie sprawę. Oczywiście znałam strach i wiele razy go czułam, wiedziałam, co to znaczy bać się. Ale dawniej nigdy strach mnie nie paraliżował. Teraz czułam w żołądku jakiś nowy rodzaj strachu, który mnie hamował, powstrzymywał. Ciągle się rozglądałam. Nie patrzyłam na bydło, ale w przeciwną stronę, myśląc, że lada chwila coś na mnie wyskoczy z ciemności. A tym czymś była śmierć. Ostatnio bardzo często czułam się samotna, a teraz znalazłam się w największym osamotnieniu, jakie byłam sobie w stanie wyobrazić. Jak człowiek cierpiący na klaustrofobię po zamknięciu się na kilka godzin w skrzyni do transportu herbaty.

Drugi problem, jaki miałam tamtego wieczoru, był trochę zwyczajniejszy - o wiele zwyczajniejszy - ale w końcu przysłonił tamten pierwszy. A był to stary dobry problem, który dominował w naszym życiu, odkąd się urodziłam, i miał w nim dominować już zawsze. Kiedyś usłyszałam od taty: „Masz ziemię, masz bydło i masz pogodę - w rolnictwie nie potrzeba niczego więcej”.

Wtedy byłam za młoda, żeby zrozumieć, o co mu chodzi, więc tylko spojrzałam na niego ze zdziwieniem, a on wyjaśnił: „Widzisz, wystarczy, że dowiesz się jak najwięcej o tych trzech rzeczach i praca na roli nie sprawi ci kłopotu”.

Potem do mnie dotarło, że tata się wygłupiał - co nie zdarzało mu się zbyt często - i że nawet jeśli można coś zredukować do jednego prostego słowa, takiego jak „pogoda”, to wcale nie znaczy, że to coś jest proste. Kiedyś jeden z moich przyjaciół miał takie powiedzonko: „O czym można rozmawiać, jeśli nie o pogodzie?”. To strasznie zabawne, można się tarzać ze śmiechu, ale miał rację: ludzie ze wsi rozmawiają o pogodzie, bo jest dla nich istotna, ma nad nimi władzę, bo to najważniejsza sprawa w ich życiu.

No cóż, tamtej nocy pogoda nie była łaskawa. Znowu zadudnił grzmot, a niebo w oddali przecięła błyskawica - mały piorun, ale wystarczył, żeby przeszły mnie ciarki. Ciemne niebo wydawało się coraz bliższe i cięższe. Każde z nas miało latarkę, ale nie chciałam marnować baterii, więc przez większość czasu próbowałam się obejść bez niej. Popadał deszczyk, potem przestał, potem znowu zaczął padać, tym razem z większym zaangażowaniem. Byliśmy tak dobrze zorganizowani, że oprócz latarek mieliśmy kurtki przeciwdeszczowe. Zatrzymałam się, rozwinęłam swoją i włożyłam ją, starając się, żeby nie łopotać i nie hałasować, bo to mogłoby spłoszyć krowy. Spojrzałam za siebie i w świetle latarki mignął mi Gavin. Wyglądało na to, że wpadł na ten sam pomysł co ja.

Deszcz się rozkręcił. Kilka dni wcześniej zajmowaliśmy się na angielskim personifikacją. Ten deszcz bawił się coraz lepiej i wkrótce urządził sobie prawdziwą imprezę. Skuliłam się i ruszyłam dalej, śpiewając głośniej, żeby przekrzyczeć ciche bębnienie kropel o suche liście i zimową korę. Teraz miałam w repertuarze piosenkę o tym, że mój tata zbiera owoce, które wysyła do Cottees. Chyba powinno było mi się zrobić smutno na wzmiankę o tacie, ale się nie zrobiło.

Grzmoty stawały się coraz głośniejsze, dudniły bez końca. Czyżby bogowie grali w kręgle? Kevin miał taką teorię. Ja nigdy nie grałam w kręgle. Zapomnij o kręglach i skup się na bydło, Ellie. Wszystkie zwierzęta w zasięgu mojego wzroku były już na nogach. Przyspieszyłam, żeby wyprzedzić szóstkę, która oddalała się w nieznanym kierunku. Trudno było biec i jednocześnie śpiewać, ale dogoniłam krowy i zaczęłam je zawracać. A wtedy,



akurat gdy niechętnie się odwracały, gdzieś po mojej prawej rozległ się przeraźliwy trzask, zobaczyłam deszcz niebieskich iskier, ziemia zadrżała, zakręciło mi się w nosie od zapachu pioruna, i bydło zaczęło biec.

Pierwszą myślą, jaka mi przyszła do głowy, było biec do quada. Stał niedaleko, a bez niego nic bym nie wskórała. Ale krowy już na mnie biegły i nie zamierzały się zatrzymać. Białe mordy krzyżówek herefordów były dobrze widoczne w mroku, ale widziałam też zarys ich ciemnych ciał, a ziemia drżała pod ciężarem rozpędzającego się stada. Za chwilę miało mnie roznieść jak ciężarówkę pusty karton po napoju leżący na środku drogi.

Zwierzęta się rozpędzały, a ziemia i niebo drżały od ich mocy. Pobiełam co sił w nogach do drzewa rosnącego z prawej strony. Bliżej rosły inne, ale tamto dzieliła mniejsza odległość od quada. Wiedziałam, że jeśli potknę się o jakiś pniak albo wybój w ziemi, będzie po mnie. Miałam mniej więcej dwie sekundy, by schronić się za białym pniem. Boże, prędkość, z jaką biegnie rozpędzony byk, rozpędzone stado, jest przerażająca. Zwierzęta pędziły na mnie, były tuż tuż, ale mnie nie widziały. Miały groźne, skupione spojrzenie. Nigdy wcześniej nie widziałam bydła w takim stanie. Wszystkie wysiłki hodowców, tysiący farmerów z tak wielu pokoleń, cała dbałość o czystość krwi, by otrzymać bydło o odpowiednim temperamentie - to wszystko zniknęło, bo w prymitywnym świecie błyskawic i grzmotów jeden trzask pioruna wykrzesał jakąś pierwotną iskrę w krowich mózgach i ciałach. Zwierzęta biegły coraz szybciej, a ja pędziłam w stronę drzewa. Jedna z krów nawet mnie zobaczyła i lekko odbiła w bok. Pozostałe nie skręciły nawet odrobinę. Rzuciłam się na drzewo, czując, jak spowija mnie gorący oddech stada i zapach, który nie był strachem, wściekłością ani rozpaczą, który był czymś więcej - czymś, na co język nie znalazł jeszcze określenia.

Wow. Dysząc jak szalona, pomyślałam, że byłam bliżej śmierci, niż kiedykolwiek chciałam być. Po raz pierwszy w życiu miałam ochotę uściskać drzewo.

Przestrzeń dzielącą mnie od następnego drzewa wypełniały krzaki, kora i złamana gałąź. Płatała się tam jakaś krowa, ale reszta stada przebiegła bokiem, więc nie groziło mi już większe niebezpieczeństwo, choć nadal sapałam jak parowóz. Nigdy nie cierpiałam na astmę, ale wtedy poczułam, jak by to było: niekontrolowane unoszenie się i opadanie klatki piersiowej, płuca nadaremnie błagające o powietrze, białe światełka wirujące w głowie podczas oczekiwania na dostawę tlenu.

Niestety, nie miałam czasu, żeby czekać na tlen. Pobiełam do następnego drzewa, robiąc po drodze uniki przed kilkoma krowami pędzącymi na końcu stada. Myślałam, że się udało, ale jakiś młody byk nadbiegł z innego kierunku niż pozostałe zwierzęta. Wyskoczył nie

wiadomo skąd. Zobaczyłam go dopiero w ostatniej chwili. Odwróciłam się i próbowałam uskoczyć, ale uderzył we mnie bokiem i przewrócił na ziemię. Poturlałam się, żeby mógł przebiec obok. Nie obchodziłam go, interesowała go tylko bezmyślna furia rozpędzonego stada. Dosięło mnie jego tylne kopyto i cios odbił się echem w mojej głowie. Czułam się zdrętwiała i wstrząśnięta. Miałam wrażenie, że zapadła się lewa strona mojej czaszki. Podźwignęłam się na czworaka i potrząsnęłam głową. Chyba nadal była na swoim miejscu, ale na wszelki wypadek nie trzęsłam zbyt mocno, żeby nie odpadła, zmuszając mnie do marnowania czasu na szukanie jej w trawie. Bez oczu mogłoby to długo potrwać.

Wydawało mi się, że szczękam zębami, i wyraźnie to czułam. Natychmiast rozboleła mnie głowa. Próbując to zignorować, podniosłam się i ruszyłam w stronę quada. Przez kilka minut nie byłam pewna, po co go właściwie szukam, ale wiedziałam, że ma to coś wspólnego z bydłem. Zanim go znalazłam, odrobinę rozjaśniło mi się w głowie.

Tak naprawdę to wszystko trwało tylko pół minuty. Krowy nadal pędziły ze wszystkich stron, ale większość stada była już daleko. Słyszałam motor Gavina, naszą farmerską yamahę, ale hondy Homera już nie. Yamaha jechała w stronę gór.

„Spryciarz z tego Gavina - pomyślałam. - Chce je skierować na północ”.

Wolałam nie myśleć, co będzie, jeśli krowy wbiegną na ogrodzenie. Płot nie powstrzymałby rozpędzonego bydła, ale mógł spowodować katastrofę. Gdyby przywódcy stada wbiegli na niego, ale nie od razu go przewrócili, gdyby konstrukcja zatrzymała pierwsze dwadzieścia zwierząt, zostałyby one stratowane przez następną setkę albo dwie i mielibyśmy błyskawiczną rzeźnię. Nietrudno było sobie wyobrazić jedno zwierzęta na drugich, z połamanymi nogami, połamanymi żebrami, skręconymi karkami. Gdyby do tego doszło, pan Young pewnie by się nie spieszył z następnym czekiem.

Kiedy wsiadałam na quada, moja głowa nadal była odrętwiała i dziwna. Mimo to dodałam gazu. Gdyby Gavinowi udało się skierować stado na północ, chciałam być blisko zachodniego ogrodzenia, żeby móc skierować zwierzęta dalej.

Jazda przez noc z taką prędkością to dość szalony pomysł. Wszystkie lunaparki, rollercoastery i zjeżdźalnie mogą się przy tym schować. Wiedziałam, że prędzej czy później znajdę się na otwartej części pastwiska, gdzie będę bezpieczniejsza, ale pierwsze minuty - jazda przez zarośla, co sekunda błyskawiczne podejmowanie decyzji i głowa przypominająca przejrzały ananas - wcale nie wydawały mi się zabawne. Zamiast drogi miałam paprocie, gałęzie, które spadły na ziemię, korę, tu pień, tam dziurę, walabie próbującą prześcignąć quada i dwie zdziwione krowy, które nagle ukazały się w blasku świateł. Nie byłam pewna, czy jazda motorem na długich światłach to dobry pomysł, bo wtedy widzisz dalej, ale nie

widzisz tego, co bezpośrednio przed tobą. Dlatego ciągle przełączałam długie światła na krótkie i z powrotem.

Deszcz zaczął padać jeszcze mocniej. „Jakbyśmy mieli za mało problemów” - pomyślałam. Maleńkie kropelki wściekle kłuły mnie w twarz. Zauważyłam kolejne dziwnie wyglądające krowy. Wyglądały dziwnie, bo nie przywykłam do bydła, które odwraca się zadem do ludzi. I dziwnie mi się przyglądały, jakby już same nie wiedziały, kim właściwie są. Zignorowałam je i popędziłam dalej, wyężając wzrok w deszczu i próbując znaleźć trochę wolnej przestrzeni. Przejechałam po wąskim pasie trawy i o mało nie wpadłam w sam środek stada. Warkot polarisa ustąpił miejsca tętentowi kopyt, jakby u Anlezarków grała kapela i dudnienie gitary basowej docierało po trawie z odległości pięciu kilometrów.

Tym razem bydło było skupione. Widocznie krowy się zmęczyły, choć wcale nie było tego po nich widać. Całą energię włożyły w swój szalony pęd. Nie miały nawet siły muczeć. Same nie wiedziały, dokąd biegną, ale zużyły na to wszystkie siły. Przypomniały mi się niektóre dzieciaki ze szkoły.

Musiałam zaufać Gavinowi i wierzyć, że zdoła je zawrócić. Zaczekałam, aż krowy mnie miną, a potem dałam gazu i ruszyłam na wzgórze. Zmokłam i było mi coraz zimniej. Na szczycie pagórka wrzuciłam na luz i próbowałam poznać po drzeniu ziemi, dokąd zmierza stado. Hałas zabrzmiał wyraźniej, jakby osiągnął wyższe tony, stał się głośniejszy. Warkot quada zsynchronizował się z łoskotem ziemi. Stopniowo tętent krowich kopyt stawał się głośniejszy i silniejszy. Skuliłam się trochę na siodełku, szykując się na spotkanie, i jednocześnie pomyślałam, jakie to zadziwiające: jeden średniej wielkości człowiek ma czelność myśleć, że uda mu się wpłynąć na stado wielkich, oszalałych, pędzących prosto na niego zwierząt.

Zanim zdążyłam pomyśleć coś jeszcze, zobaczyłam je: przywódcy stada mozolnie wbiegali na wzgórze, już nie galopując, lecz raczej się tocząc. Wyężyłam wzrok, żeby spojrzeć im w oczy. Miałam nadzieję, że zamiast szaleństwa zobaczę zmęczenie, ale były jeszcze zbyt daleko i deszcz utrudniał mi zadanie.

- No, Ellie - powiedziałam na głos do wiatru, powietrza szalejącego na wzgórze i do miliona kilometrów nieba rozciągającego się nade mną - za chwilę zobaczysz, jak to jest zostać zmiażdżonym.

Dodałam gazu i ruszyłam naprzód. Nie za szybko, żeby za chwilę nie znaleźć się w środku stada. Przywódcy pomyśleliby wtedy: „O, a co to było?”, i pobiegliby dalej. Nie za szybko, bo przebiegliby po mnie i wbiliby mnie kopytami w błoto. Mrugałam światłami. Quad nie ma klaksonu, ale głośno krzyczałam. Jechałam szerokim zygzakiem, wrzeszcząc i

wymachując kapeluszem. Uderzyła dałam gazu i ruszyłam na wzgórze. Zmokłam i było mi coraz zimniej. Na szczycie pagórka wrzuciłam na luz i próbowałam poznać po drzeniu ziemi, dokąd zmierza stado. Hałas zabrzmiał wyraźniej, jakby osiągnął wyższe tony, stał się głośniejszy. Warkot quada zsynchronizował się z łoskotem ziemi. Stopniowo tętent krowich kopyt stawał się głośniejszy i silniejszy. Skuliłam się trochę na siodelku, szykując się na spotkanie, i jednocześnie pomyślałam, jakie to zadziwiające: jeden średniej wielkości człowiek ma czelność myśleć, że uda mu się wpłynąć na stado wielkich, oszalałych, pędzących prosto na niego zwierząt.

Zanim zdążyłam pomyśleć coś jeszcze, zobaczyłam je: przywódcy stada mozolnie wbiegali na wzgórze, już nie galopując, lecz raczej się tocząc. Wyteżyłam wzrok, żeby spojrzeć im w oczy. Miałam nadzieję, że zamiast szaleństwa zobaczę zmęczenie, ale były jeszcze zbyt daleko i deszcz utrudniał mi zadanie.

- No, Ellie - powiedziałam na głos do wiatru, powietrza szalejącego na wzgórze i do miliona kilometrów nieba rozciągającego się nade mną - za chwilę zobaczysz, jak to jest zostać zmiażdżonym.

Dodałam gazu i ruszyłam naprzód. Nie za szybko, żeby za chwilę nie znaleźć się w środku stada. Przywódcy pomyśleliby wtedy: „O, a co to było?”, i pobiegliby dalej. Nie za szybko, bo przebiegliby po mnie i wbiliby mnie kopytami w błoto. Mrugałam światłami. Quad nie ma klaksonu, ale głośno krzyczałam. Jechałam szerokim zygakiem, wrzeszcząc i wymachując kapeluszem. Uderzyła we mnie fala gorąca. Byłam w szoku, że stado może wytworzyć aż tyle ciepła. Już prawie do mnie dobiegło, przywódcy ciągle pędzili przed siebie. Teraz już widziałam ich oczy. Były zalęknione i zagubione. Te zwierzęta zamierzały mnie stratować, żeby móc biec dalej, choć nadal nie wiedziały dokąd.

## Rozdział 3

- Kochanie, obudź się - powiedziała pielęgniarka.

Nie, tylko żartuję. Nie wiem, co płynęło w żyłach tych krów - wściekłość, strach, pragnienie wolności czy siła, która nie ma nazwy. Podejrzewam, że to ostatnie. Cokolwiek to było, bieg na wzgórze, po tym jak Homer i Gavin przekierowali stado, wystarczył, by zwierzęta trochę zwolniły tempo i trochę się uspokoiły. A moje okrzyki, jazda zygzakiem i mruganie światłami zaprowadziły je we właściwym kierunku. Krowy pobiegły wzdłuż zachodniej granicy pastwiska i już kawałek dalej pojedyncze sztuki zatrzymywały się, oddychając gwałtownie i nie zwracając uwagi na naszą trójkę. Gdy zabrakło naśladowców, przywódcy stracili zapał, wypalili się i poszli w zarośla, zrywając po drodze kępy trawy. Wyglądali prawie na zawstydzonych.

Dyszeliśmy bardziej niż krowy, ale czekało nas jeszcze mnóstwo pracy. Podzieliłam pastwisko na trzy części i rozeszliśmy się, żeby poszukać rannych zwierząt. Deszcz padał dalej, może nie widowiskowo, w zasadzie dość słabo, ale był mokry, zimny i trochę mnie dobijał.

Zostawiłam szukanie chłopakom i wymknęłam się do domu. Przede wszystkim potrzebowałam strzelby, ale zabrałam też bochenek chleba, słoik dżemu morelowego i trzy puszkę coli. Słyszałam szczekanie podekscytowanej, wystraszonej i osamotnionej Marmie w kojcu - gdy docierał do niej warkot któregoś z motorów, ujadła na całego - ale musiałam być nieugięta i zignorowałam ją. To nie było psie przyjęcie. Wróciłam na pastwisko, znalazłam chłopaków i urządziliśmy sobie piknik. Starając się, żeby deszcz nie zmoczył chleba, zasłoniłam go płaszczem przeciwdeszczowym, a potem smarowałam kromkę po kromce i podawałam je Homerowi i Gavinowi.

Było dwadzieścia po trzeciej w nocy. Chłopaki zjadły wszystko, co im dałam. Gavin się trząsał, a Homer był zbyt zziębnięty i zmęczony, żeby cokolwiek mówić.

- Odrobiłeś lekcje? - zapytałam Gavina.

Zrozumiał mnie dopiero za czwartym razem, a wtedy się odwrócił jak od nienormalnej. Już za pierwszym razem dowcip był kiepski, ale za czwartym nawet nie kulał - był zupełnie drętwy.

Gavin pokazał mi dwa ranne byki. Jeden stał, ale jego noga bezwładnie dyndała. Uznałam, że ma szansę się wylizać. Za to drugi złamał nogę w tak paskudny sposób, że wystawało z niej dwadzieścia centymetrów kości i musiałam go dobić. Zastrzeliłam też

byczka z zabawną mordą, rudego w białe kwadraty. Już wcześniej zwróciłam na niego uwagę. Tyle że teraz nie miał w sobie nic zabawnego. Spadł ze skarpy, najprawdopodobniej zepchnięty przez rozpędzone krowy, i nadział się na ostry pniak po starym eukaliptusie. Zbyt dużo jego wnętrzości stało się zewnętrznymi, by miał jakiegokolwiek szanse.

Homer znalazł jeszcze dwie krowy, ale wyglądało na to, że trochę szwów i czulej opieki da im szanse na przeżycie. Oczywiście nie mogłam mieć pewności. Szok, utrata krwi oraz zimno i deszcz mogły im utrudnić powrót do zdrowia. Łącznie mieliśmy cztery krowy uprawnione do otrzymania naklejek umożliwiających parkowanie w miejscach dla niepełnosprawnych.

Zostawiłam Homera i Gavina, żeby sprowadzili te zwierzęta, które były w stanie się ruszać, a sama pojechałam do domu zadzwonić po weterynarza. Miałam numer alarmowy do pana Keecha, ale nie odpowiadał, więc zadzwoniłam do lecznicy, co było wkurzające, bo musiałam siedzieć i słuchać czegoś w rodzaju: „Jeśli twój kota boli głowa, wybierz trzy”. W końcu podano numer alarmowy, inny niż numer do pana Keecha, więc spróbowałam zadzwonić pod ten. Sygnał w słuchawce rozległ się w nieskończoność. W końcu odebrał jakiś facet.

- Halo? - powiedział.

Nie przypominał żadnego z weterynarzy, których znałam. Pomyślałam: „O, nie! Wybrałam zły numer i przez pomyłkę obudziłam jakiegoś nieszczęsnego kolesia o czwartej nad ranem”.

- Czy to lecznica weterynaryjna? - zapytałam.

- Tak - odpowiedział.

Robiliśmy postępy.

- Mówi Ellie Linton z Mirrimbah. Mam tu cztery sztuki bydła, które trzeba zbadać. Stado wystraszyło się burzy i kilka zwierząt się poturbowało.

- Cholera - powiedział.

Staralam się trzymać nerwy na wodzy, ale mi się nie udało.

- Jak do tej pory usłyszałam od pana trzy słowa - wycedziłam oschłym tonem. - „Halo”, „tak” i „cholera”. Przyjedzie pan czy nie?

Wcale się nie przejął.

- Jasne. Mówi pani, że skąd pani jest?

- Z Mirrimbah. To obok...

- Tak, tak, wiem.

Rozległo się krótkie terkotanie, kiedy odłożył słuchawkę.

Czekając na weterynarza, wyczyściliśmy trochę zwierzęta przyprowadzone przez Homera i Gavina. Nie zadaliśmy sobie trudu, żeby je umieścić w nowej zagrodzie i wprowadzić do boksów. Skorzystaliśmy ze starej drewnianej zagrody za domem. Zwierzęta były w szoku, drżały i chodziły tam i z powrotem, szurając kopytami. Jak niektórzy chłopaki na wiejskich potańcówkach, którzy zamiast tańczyć, przesuwiają nogi do przodu i do tyłu, w lewo i w prawo, w prawo i w lewo, do tyłu i do przodu. Bydło też odstawiało swój niezgrabny taniec, stękając i przewracając oczami. Szeptaliśmy do tych krów, uspokajając je i wkładając im do mord lucernę. Lucerna działała chyba więcej niż szeptanie. Trzy krowy miały wielkie rany, które człowieka od razu powaliłyby na ziemię, ale było nawet z wystającymi flakami miało ochotę tańczyć walca.

Wygląd tych zwierząt był doskonałym odzwierciedleniem mojego nastroju. Miałam wrażenie, że głowa oddzieliła mi się od ciała. Żuchwa nie była już przymocowana do czaszki. Najchętniej wsadziłabym głowę na kilka dni do jakiejś szafki, żeby przestało mi w niej huczeć.

Gavin i Homer rozmawiali o szalonym biegu krów, otym, gdzie byli, co zrobili oraz jacy sprytni i odważni się okazali. Nie miałam siły ich słuchać. Pewnie faktycznie błysnęli odwagą i sprytem, ale tak dobrze im szło opowiadanie o tym sobie nawzajem, że nie byłam im potrzebna.

Weterynarz przyjechał pikapem falconem, tak ubłoconym, że nie było widać, czy ma tablice rejestracyjne. Muszę przyznać, że zjawił się w rekordowym czasie. W dodatku okazał się taki fajny, że wszystkie pretensje, którymi zamierzałam go powitać, wyleciały mi z głowy. Był młodym facetem o imieniu Seamus. Zabrał się do pracy tak sprawnie i szybko, że przyglądałam mu się zafascynowana. Wszyscy - łącznie z nim - byliśmy tak zmęczeni, że nie mam pojęcia, jak nam się udało nie zasnąć. Ten ciężar pod moimi powiekami, ten ból głowy... Wszystkie ruchy wykonywałam w zwolnionym tempie i pomagała mi jedynie obecność przyjaciół.

Homer stał i trzymał latarkę, ja trzymałam zszywane zwierzę za głowę, a Gavin był naczelnym chłopcem na posyłki. Gdy nie miałam dla niego żadnych zadań, siedział na stopniu prowadzącym do szopy z sianem. Myślałam, że zaśnie, ale ilekroć na niego spoglądałam, miał otwarte oczy. Przeważnie obserwowałam jednak Seamusa przy pracy. Miał sprawne, silne, cierpliwe ręce i pracował wytrwale, zszywając krawędzie rany i od czasu do czasu osuszając je gazą. Homer też się przyglądał, a światło wielkiej latarki Dolphin dawało nam dobry widok na krwawiące mięso, poszarpane brzegi rany, białe mięśnie i pozrywane żyły.

I wtedy to się stało.

- El, możesz przez chwilę potrzymać latarkę? - zapytał cicho Homer.

- Jasne.

- Coś kiepsko się czuję - dodał, podając mi dolphina.

Po tych słowach osunął się na ziemię i zaległ nieprzytomny pod wielkim wołem.

Krzyknęłam, co oczywiście nikomu nie pomogło. Zwierzę było dość dobrze zamknięte w boksie, ale nie wzięliśmy pod uwagę, że któreś z nas zbliży się do niego od tej strony. Byk potrząsnął głową, zamuczał i zaczął się cofać. Za chwilę ponad pięćsetkilogramowe zwierzę miało nadepnąć na Homera. W wypadku bydła i koni cały ciężar spoczywa na tych czterech chudych nogach i twardych kopytach. Walec parowy zmiażdżyłby człowieka w zupełnie innym stylu, ale nie byłam pewna, która z tych możliwości byłaby gorsza. Upuściłam latarkę, przez co nikt z nas nie mógł niczego więcej zobaczyć. Potoczyła się i oświetliła gwiazdy. Obydwoje z Seamusem zanurkowaliśmy pod byka, wyciągnęliśmy szyje, jakimś cudem złapaliśmy Homera i zaczęliśmy go stamtąd wywlekać. Przez jedną okropną chwilę czułam, że ciągniemy w przeciwnie strony. Potem na szczęście pociągnęliśmy w tę samą.

To wszystko stało się jednak zbyt późno i Homer z pewnością zostałby wypatroszony, gdyby nie jedno dziwne zdarzenie. Byk, który zrobił już dwa kroki do tyłu i zamierzał zrobić trzeci, uśmiercając mojego najlepszego przyjaciela, nagle potrząsnął łbem, zamuczał, wierzgnął nogą i z jakiegoś tajemniczego powodu zrobił krok do przodu. To uratowało Homerowi życie. Potrzebowaliśmy tej dodatkowej sekundy. Wyciągnęliśmy Homera, który zaczął się już poruszać i wydał z siebie dźwięk bardzo przypominający muczenie wołu. Jeśli się nad tym zastanowić, może nawet zmieniłby się w wołu, gdyby pod nim poleżał chwilę dłużej.

To chyba kolejna historia z cyklu „Zadziwiający Gavin”. Kiedy wyciągnęliśmy Homera, Seamus podał mi latarkę i w snopie światła zobaczyłam, że spokojnie podchodzi do nas Gavin. Nagle nabrałam podejrzeń. Skierowałam światło na swoją twarz, pomachałam do Gavina i zapytałam.

- Gdzie byłeś?

Wzruszył ramionami, wyciągnął palec i jak gdyby nigdy nic, powiedział:

- Za wołem.

- Co tam robiłeś?

Zauważyłam, że mimo spokoju i opanowania wygląda na bardzo zadowolonego z siebie.



Znowu wzruszył ramionami.

- Przekonałem go, żeby poszedł do przodu.

- Naprawdę?

- Mógł nadepnąć na Homera. Trach. Prask. Fúj.

Szczerzył się jak twarz nad wejściem do lunaparku w Sydney.

- No więc jak to zrobiłeś?

- Ugryzłem go.

- Że co?

- Ugryzłem go. Jak pies.

Homer siadał, trzymając się za głowę. Seamus spojrzał na mnie.

- To najszybsza akcja, jaką kiedykolwiek widziałem - powiedział. - Powinnaś go wypożyczać. - Potem zwrócił się do Gavina: - W co konkretnie go ugryzłeś?

- W to, w co gryzą psy. - Gavin pokazał miejsce na własnej nodze. - Nie za mocno - dodał. - Nie chciałem, żeby dostał szalu.

- 'Ellie, daj nam na chwilę latarkę - powiedział Seamus. Poświecił na byka od tyłu i uważając, żeby nie zarobić kopa w głowę, nachylił się i rzucił okiem na miejsce tuż nad kopytem. - Widać ślady zębów - potwierdził. Pokręcił głową. - Jak ci się udało uniknąć kopniaka? - zapytał Gavin.

- Co? - Gavin nie zrozumiał pytania i spojrzał na mnie, czekając na tłumaczenie.

Pokazałam mu, jak kopie krowa.

- Aha - powiedział Gavin, po czym pokazał na migi, że przywarł do ziemi.

- Mój Boże - powiedział Seamus. - Istny pies pasterski.

Lepiej zbadajmy, czy byk nie ma wścieklizny.

To było dosłownie zadziwiające. Od wojny nie mieliśmy na farmie psów pasterskich, ale Gavin widywał je na aukcjach w mieście i na farmach sąsiadów. Na przykład u Youngów, do których jeździł z moim tatą. Bo oczywiście właśnie tak zachowują się psy: gryzą tuż nad kopytem, przywierają do ziemi, żeby nie zarobić kopniaka, a potem gryzą jeszcze raz.

Homer wstawał. Wyglądał na zakłopotanego.

- Nie do wiary, że mi się to przydarzyło - powiedział. - Pierwszy raz w życiu.

- Jak człowiek długo na to patrzy - wyjaśnił Seamus - może mu się zrobić słabo.

Widuję to dość często. Zdziwiłbyś się.

Wróciliśmy do wołu, żeby dokończyć robotę.

Nie dokuczałam Homerowi z powodu tego omdlenia, choć bardzo mnie korciło. Mam nadzieję, że będzie mi wdzięczny do końca życia za tę powściągliwość. Mierzył mnie bardzo

surowym spojrzeniem, kiedy w autobusie zaczęłam opowiadać Shannon i Samowi o szalonym biegu krów. A ja wystawiłam jego nerwy na próbę, opowiadając o tym, jak „Homer trzymał latarkę”, kiedy weterynarz Seamus zszywał wołu. Homer przysunął się i spiorunował mnie wzrokiem.

- Mówię wam, było pełno krwawych ran. Niektórzy ludzie zemdleliby na sam widok. Nawet... - zamilkłam na chwilę, żeby trochę bardziej zdenerwować Homera - nawet baliśmy się, że któreś ze zwierząt ma krwotok wewnętrzny, ale na szczęście wszystkie wracają do zdrowia.

Weekend minął błyskawicznie. Musiałam zabrać pana Younga na wycieczkę po pastwiskach, żeby zobaczył bydło, i naprawić ogrodzenie w wielu miejscach - tyle że zrobiłam to w odwrotnej kolejności, bo zależało mi na tym, żeby pan Young widział nasze pastwiska wyłącznie w doskonałym stanie. Rozpaczliwie potrzebowałam snu, ale najpierw musiałam zadbać o klienta, a naszym jedynym klientem był właśnie pan Young. Całkiem dobrze przyjął wiadomość o padniętym bydle. Niektórzy farmerzy są zadziwiająco wyrozumiali i pan Young należał do tego grona.

Jakimś cudem w poniedziałek udało nam się dotrzeć do szkoły. Ostatnio nauka kojarzyła mi się z serialem telewizyjnym, który próbujesz oglądać podczas gotowania obiadu. Wchodzisz do pokoju i wychodzisz z niego, skupiasz się na bulionie z kurczaka, zaglądasz do spizarni albo prosisz Gavina, żeby posiekał cebulę, i nagle widzisz napisy końcowe i uświadamiasz sobie, że ominęło cię dwie trzecie odcinka. Wpadałam do szkoły i odkrywałam, że na matmie mówią o dodawaniu wielomianów, że ktoś zmienił zasady korzystania z sali komputerowej i że Belinda Norris jest teraz z Andym Farrarem, a nie z Ranaldem...

W tamten poniedziałek było tak samo. W pewnym sensie miałam szczęście, bo od razu wpadłam na Jess, która zawsze wszystko wiedziała i należała do urodzonych liderów, do których zawsze warto się zwrócić, kiedy nie wiadomo, co się dzieje.

- Widziałaś panią Maxwell? - zapytała. - Szuka cię. A pan Addams pytał, czy będziesz mogła zagrać w piłkę w czwartek.

- W piłkę? Ja? Boże! Jeszcze jakieś wiadomości? - odparłam z uśmiechem.

Doszłam do wniosku, że to jeden z tych dni, kiedy lubię Jess.

Naśladując głos z automatycznej sekretarki, odpowiedziała:

- Masz... dwie... nowe wiadomości. Wiadomość otrzymana... wczoraj o... czternastej... trzydzieści... cztery...

- Dobra, wyciszę je, okej?

- Widzę, że od dawna nie miałaś do czynienia z komórką. W zasadzie zamierzałam ci

przekazać jeszcze tylko jedną nową wiadomość. Jeremy Finley kazał cię pozdrowić.

- Naprawdę?

Zaskoczyła mnie. Wiedziała, że Jeremy jej się podoba, ale podobał się i mnie. Był przystojnym facetem owspaniałej osobowości - no wiecie, wydawał się zbyt fajny, żeby był prawdziwy, ale chyba naprawdę był taki fajny. W dodatku okazał się synem generała Finleya, z którym miała sporo do czynienia w czasie wojny. Odkąd zerwała z Steve'em, moje życie uczuciowe kręciło się przede wszystkim wokół Lee i od czasu do czasu wokół Homera. Pojawienie się w Stratton Jeremy ego, który dużo czasu spędzał w Wirrawee, dość mocno skomplikowało sytuację. Nie wiedziała, czy jest zainteresowany mną albo Jess - lub kimś innym - ale wiedziała, że na jego widok czuję dreszczyk. Poza tym chciałam wyciągnąć od Jess, co dokładnie powiedział Jeremy: jego dokładne słowa, minę, ton głosu, gesty. Takie rzeczy mają dla dziewczyny duże znaczenie. Jest ogromna różnica między powiedzeniem „Pozdrów Ellie” a „Nie zapomnij przekazać Ellie specjalnych pozdrowień ode mnie”. A jeśli powiedział: „Moje życie przypomina czerstwy chleb i zimną herbatę, dopóki znów nie zobaczę Ellie” albo „Jess, jeśli będziesz umierała na progu szkoły, nie zapomnij przekazać Ellie ostatnim tchem, że o niej myślę”?

A jeśli to brzmiało tak: „Pozdrów ode mnie Homera, Shannon, Sama, Bronte, Alexa, Eleanor i tę drugą dziewczynę, jak ona się nazywa?”?

Uznałam, że to okrutne: dostać taką wiadomość z drugiej ręki, a w dodatku od dziewczyny, która też coś czuje do nadawcy. Ale lepiej ją dostać niż nie. Próbowałam znaleźć jakiś sposób, żeby wyciągnąć więcej informacji, nie pokazując Jess, że jestem zainteresowana.

- O, naprawdę? Jeremy? Zajrzał ostatnio do Wirrawee? - starałam się zareagować, jak gdyby nigdy nic.

Ale coś mi mówiło, że trudno będzie oszukać Jess. Mój głos mógł brzmieć obojętnie, ale ta dziewczyna miała jakieś specjalne czujki. Gdyby była nauczycielką, można by sobie darować: „Tak, proszę pani, odrobiłam pracę domową, ale zafajdała ją moja świnka morska”. To byłaby strata czasu.

Mimo to nie zamierzałam tak łatwo się poddać. Potraktowałam to jak wyzwanie.

- Czy zajrzał? No jasne! Nie wiedziałaś?

Litości. Czy musiała aż tak się nade mną znęcać? Pozostało mi jedynie zacisnąć zęby i brnąć w to dalej.

- Niby o czym miałabym wiedzieć?

- Nie słyszałaś wielkiej nowiny?

- Sugerujesz, że Jeremy ma jakiś powód, żeby bywać w Wirrawee częściej niż dotąd?

- No jasne.

- Jess, byłabym zachwycona, gdybym mogła stać tu z tobą cały dzień i słuchać o tym, co robi Jeremy Finley, ale może po prostu mi powiesz, o co chodzi. Najwyżej w pięćdziesięciu słowach. Bo poza tym też mam co robić.

- Jeremy i jego mama przeprowadzają się do Wirrawee.

- Poważnie?

Nie było sensu dłużej udawać. Przyłapała mnie.

- Ellie, ty go naprawdę lubisz, nie?

- Co? Boże, nie. Nie w tym sensie.

Miałam nadzieję, że dobrze mi wychodzi ten ton głosu mający mówić: „Jeremy? Jaki Jeremy?”, ale obawiałam się, że jednak nie bardzo. Zdziwiło mnie, że Jess nie sprawia już wrażenia, jakby też była zainteresowana Jeremym. Może już jej przeszło.

- Jasne, wierzę ci, ale uwierzyłam też pani Barlow, kiedy powiedziała, że pierwszy zesłańcy przybyli tu na pokładzie samolotów Qantas Airlines. W każdym razie mama Jeremy ego podpisała umowę z bazą wojskową i ma tam stworzyć nowy system komputerowy, który zaprojektowała z jakimś facetem ze Stratton. Zdaje się, że bystra z niej kobieta.

- Mój tata zawsze powtarzał, że w Nowej Zelandii są najsilniejsze kobiety na świecie.

- To super, tylko że ona jest Australijką. Ale faktycznie wydaje się silna. Powiedziała mi, że nikomu nie pozwoli stanąć Jeremy emu na drodze do studiów weterynaryjnych. Chyba miała na myśli ludzi, którzy zawracają mu głowę zaproszeniami na szalone imprezy. Albo nawet długimi rozmowami przez telefon. Jest w stosunku do niego trochę zaborcza.

Osobiście podejrzewałam, że to właśnie Jeremy organizuje akcje Homera i Lee, ale nie wiedziałam, kto jeszcze należy do Szkarłatnych Pryszczycy oficjalnie zwanych Wyzwoleniem - jeśli nieoficjalna organizacja może mieć oficjalną nazwę. Nie miałam pojęcia, jak coś takiego może pomóc Jeremy emu w nauce. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, jak którekolwiek z moich przyjaciół zdoła zdobyć jakieś wykształcenie. Nie znałam zbyt wielu osób, które regularnie uczestniczyłyby w życiu szkoły, bo pó wojnie nadal byliśmy zbyt podminowani, zajęci i szaleni.

Nie nadążałam za szkolnym życiem towarzyskim, a co dopiero za nauką, ale choć moje ambicje związane ze studiami powoli niknęły za horyzontem, nie chciałam wypaść z obiegu. Szkoła nadal była dla mnie naturalnym środowiskiem, miejscem, w którym wciąż mogłam udawać zwyczajną Ellie. Miejscem, do którego mogłam regularnie wpadać i w

którym życie było najbliższe normalności, jakby wojna nigdy się nie wydarzyła. Nawet czytanie informacji na tablicy ogłoszeń podnosiło mnie na duchu. „Impreza dla klas 9 i 10 w piątkowy wieczór. Obowiązują stroje w stylu bohaterów filmów o Jamesie Bondzie”. „Pani Sawas prosi uczniów wybierających się na Wieczór Trzech Króli, aby czekali pod pokojem nauczycielskim o godzinie trzynastej”. „Jeśli chcesz zagrać w lacrosse przeciwko liceum w Stratton, zgłoś się jak najprędzej do Daniela Ciao!” „Zginął magnetofon pozostawiony w sali B3 w poniedziałek po południu. Ludzie, proszę was, rozejrzyjcie się za nim. Potrzebuję go, a nie stać mnie na drugi”. Mnóstwo nudnych ogłoszeń związanych z wyborem kierunku studiów, polityką szkoły wobec seksizmu i rasizmu, gnębienia kolegów, praw studentów, drzew, puszek aluminiowych i emerytek przeprowadzających dzieci przez jezdnię.

W zasadzie w szkole nigdy nie nauczyliśmy się zbyt wiele. Po prostu, spędzając w niej tyle lat, przy okazji gromadziło się dość sporo informacji. Suma kwadratów długości przyprostokątnych jest równa kwadratowi długości przeciwprostokątnej. Madryt to stolica Hiszpanii, Charles Dickens napisał Davida Copperfielda. Chyba w najlepszym razie przyswajaliśmy użyteczne informacje, na przykład co robić, gdy ukąsi nas wąż, albo jak korzystać z PowerPointa. W najgorszym razie marnowaliśmy mnóstwo czasu, zapamiętując pierwszych dwadzieścia elementów układu okresowego pierwiastków, ucząc się definicji personifikacji i skutków gospodarczych gorączki złota. Zupełnie jakby szkoła zabierała nas w podróż od ignorancji do wiedzy, ale nie uwzględniała przy tym drogi prowadzącej od ignorancji ku czemuś innemu. Dokąd prowadziła ta druga droga? Chyba do mądrości. Znała ją dziewczyna z targu w Wirrawee, która opowiedziała mi o taoizmie, ale szkoła - nie. Gdyby szkoła zadała sobie trud poznania tej drogi, gdyby przynajmniej postawiła nas na jej początku i pokazała, dokąd ta droga prowadzi, gdyby chociaż pożyczyła nam mapę, powiedziałabym, że warto było chodzić do szkoły. Nie twierdzę, że nauka w szkole to zupełna strata czasu, ale myślę, że o ukąszeniach węży i PowerPoincie dowiedzielibyśmy się wcześniej i więcej w innych okolicznościach. Więc tak naprawdę pozostawała nam szkoła jako klub towarzyski i czasem miałam wrażenie, że dorosłym to odpowiada: w głębi ducha uważali szkołę za miejsce, gdzie można podrzucić dzieci, dopóki nie podrosną i nie staną się użyteczne. Za olbrzymie przedszkole.

Mimo wszystko podobało mi się nowe oblicze liceum w Wirrawee. Nie wszyscy się ze mną zgadzali. W szkole było o wiele tłoczniej, organizacja kulała i nie mieliśmy już poczucia, że to wyłącznie nasze miejsce. Musieliśmy je dzielić z mnóstwem osób. Na korytarzach panował ścisk i trudno było znaleźć kątek, w którym można by spokojnie pogadać ze starymi przyjaciółmi. Różnica polegała na tym, że przed wojną było nudno, a teraz

mieliśmy trzy razy więcej akcji. Nowi uczniowie przynieśli nową energię. Lacrosse przeciwko liceum w Stratton?

Nawet nie wiedziałam, czym właściwie jest to lacrosse, ale byłam pewna, że w dawnym Wirrawee nie gralibyśmy w żadne lacrosse. W szkole było więcej hałasu, więcej bałaganu, lecz zarazem więcej życia. A teraz, z Jeremym Finleyem, mogło się zrobić jeszcze ciekawiej.

## Rozdział 4

W szkole nauczyłam się o personifikacji, a na wojnie nauczyłam się podejrzliwości. Zresztą nawet gdybym nie nauczyła się podejrzliwości na wojnie, to z pewnością nauczyłaby mnie jej śmierć rodziców. Nie wydaje mi się, żebym już teraz miała paranoję, ale z łatwością mogłabym się jej nabawić. Zresztą nie wiem, czemu miałabym nie ufać głosom we własnej głowie. Wydaje mi się, że byłyby równie niezawodne jak niektóre głosy rozbrzmiewające poza nią. Weźmy na przykład Homera. Wiem, że po taki przykład sięga się tylko w ostateczności, ale jeśli jednak na niego spojrzemy, to czy uznamy, że warto słuchać takiego człowieka? Czy uwierzmy we wszystko, co mówi?

No więc gdy Homer, Lee i Jess nagle zjawiają się u mnie w domu i Homer mówi, że to zbieg okoliczności, myślę sobie: „Tak, jasne, a drugim zadziwiającym zbiegiem okoliczności jest to, że ludzie we Francji mówią po francusku”.

Nie wiedziałam, że Lee przyjechał, dopóki nie wróciłam ze szkoły do domu. Jedyne, co mogło mnie ostrzec, to wiadomość, którą zostawił na automatycznej sekretarce. W zasadzie gdy tylko ją odsłuchałam, stanął w moich drzwiach. Podwiozła go Jess. A na tylnym siedzeniu przyjechała Pang, młodsza siostra Lee, która zapragnęła znowu mnie zobaczyć i nie chciała słyszeć odmowy.

Hmm.

- Zaraz, zaraz... Mam urodziny, a to jest przyjęcie niespodzianka? - zapytałam ich. - Wpadnie ktoś jeszcze?

Ale gdy tylko zostałam sam na sam z Homerem, syknęłam do niego:

- Chodzi o Wyzwolenie, prawda?

- E, nie, to czysty przypadek.

Odkąd odrzuciłam zaproszenie do ich ugrupowania, wypadłam z obiegu informacji. Odłączono mnie od poczty pantoflowej.

- Nie chcę, żebyście robili akcje bez mojej wiedzy. Tym razem dajcie sobie spokój z wypadami za granicę. To zbyt niebezpieczne.

- Lee przyjechał dlatego, że Pang chciała z tobą pobyć przez kilka dni.

- On też tu będzie? A może mam się nią zajmować, kiedy wy wyruszyacie na kolejną szaloną misję? Zostałam niańką?

- Nie, jasne, że nie, zostawiłby ją w mieście z resztą rodzeństwa, ale strasznie chciała się z tobą zobaczyć.

- Powinniście byli pomyśleć o Gavinie, zanim to zaplanowaliście. Okropnie się przez was nakręca.

Musiałam mówić w śmieszny sposób i wykrzywiać usta, żeby Gavin nie był w stanie niczego z nich odczytać. Kręcił się obok nas i wydawał się zaniepokojony. Normalnie uczepliłby się Lee albo Homera, bo był wielkim fanem ich obu. Czułam, że pojawienie się Pang odebrało mu pewność siebie.

Usłyszałam głośne pukanie do kuchennych drzwi i przerwałam rozmowę z Homerem, żeby je otworzyć. O mało nie zemdlałam na widok Jeremy ego Finleya.

- No dobra, teraz już jestem pewna, że to narada Wyzwolenia - oznajmiłam mu prosto z mostu.

- Albo zwyczajne spotkanie przyjaciół - wtrącił się Homer, który poszedł za mną do kuchni.

- Dzięki, że zorganizowaliście je u mnie, nie pytając mnie o zdanie. Brawo, chłopaki.

Mimo wszystko wpuściłam Jeremy'ego. Nie miałam innego wyjścia.

- Może to coś pilnego i zabrakło nam czasu, żeby rozegrać to inaczej - powiedział Jeremy, patrząc mi prosto w oczy.

Byłam pewna, że jest Szkarłatnym Pryszczem.

- Lee najwidoczniej wie o wszystkim już od kilku godzin - odparłam. - Nie da się tutaj przyjechać z miasta w dziesięć minut po odebraniu telefonu.

- Wczoraj wieczorem, kiedy do niego dzwoniłem, sprawa jeszcze nie była pilna - wyjaśnił Jeremy. - Jakąś godzinę temu sytuacja się zmieniła. Lee już był w drodze, a my zamierzaliśmy to rozegrać trochę inaczej. Ale zanim tu dotarł, zrozumieliśmy, że musimy się spotkać bliżej celu.

Nie mogłem do ciebie zadzwonić, bo nie wolno nam rozmawiać o tych sprawach przez telefon, chyba że używamy kodu.

- A Pang naprawdę chciała się z tobą zobaczyć - dodał Lee z przelotnym uśmiechem. - Ja też.

Odwróciłam się do Jeremy'ego.

- Powiedziałaś: „bliżej celu”. Jakiego celu? Bliżej granicy?

- Jasne.

- No, cudownie. - Zrobiło mi się słabo. - Zamierzacie mi powiedzieć, o co chodzi?

Nastąpiła chwila wahania. Wiedziałam, że jeden z nich jest Szkarłatnym Pryszczem - w każdym razie tak przypuszczałam - i byłam przekonana, że to Jeremy Ale teraz Jeremy zachowywał się tak, jakby decyzja nie należała do niego. To Jess okazała się osobą, która po



chwili milczenia rozejrzała się i powiedziała:

- Pewnie.

Ale reszta grupy nie wyglądała na przekonaną. W końcu Jeremy przypieczętował sprawę słowami:

- Tak, w zasadzie to dobry pomysł. Będziemy ubezpieczeni.

- Jedziecie wszyscy? - zapytałam.

Rozejrzałam się, spoglądając na nich. Homer opierał się o framugę, twardy i niezawodny, pozostawiając planowanie innym. Lee obserwował wszystko spod przymrużonych oczu, lustrując wzrokiem kuchnię i oceniając sytuację. Jess była silna i pewna siebie, ale też się denerwowała. Pomyślałam, że chyba nigdy wcześniej nie była w takim położeniu. Oczy Jeremy'ego były czujne i uważne,

58 twarz mu błyszczała. Cokolwiek mieli zrobić, chciał w tym uczestniczyć i chciał, żeby się udało. Wrodził się w ojca, bez dwóch zdań. Zastanawiałam się, czy często się ze sobą kontaktują, a jeśli tak, o czym rozmawiają i co Jeremy sądzi na temat swojego taty. Jeszcze nigdy o tym nie gadaliśmy, ale w zasadzie nie mieliśmy na koncie zbyt wielu rozmów.

Nikt się nie zgłosił i nie zaoferował, że ze mną zostanie, więc wyglądało na to, że Jess i trzech chłopaków zamierzają wyruszyć na tę niebezpieczną misję. Razem. Zazdrość podskoczyła mi w żołądku i zaczęła wydawać groźne pomruki. Mówię serio, zaburczało mi w brzuchu. A może po prostu byłam głodna.

Potem już nic nie mówiłam. Sami musieli się zorganizować i jak najszybciej wyruszyć w drogę. Nie potrzebowali kogoś, kto by nad nimi stał i udzielał „pomocnych” rad: „Włóżcie odpowiednie buty”, „Nie zapomnijcie skorzystać przed wyjściem z toalety”. „Macie wystarczająco dużo amunicji?”.

Na szczęście w pobliżu nie było Gavina. Chyba wykurzyła go obecność Pang i schował się w swoim pokoju albo w jakiejś innej kryjówce, na przykład w budzie Marmie.

I dobrze. Przy odrobinie szczęścia Wyzwolenie przekroczy granicę, zanim Gavin zda sobie sprawę, że szykuje się akcja, w której nie będzie brał udziału.

Spotkanie w mojej kuchni trwało dalej, a ja zaczynałam rozumieć, o co chodzi. Wyzwolenie dostało cynk, że członkowie tej samej bandy, która napadła na farmę Youngów i dokonała tam nieopisanych okropieństw, zamierzają znów przedostać się na naszą stronę granicy i napaść na kolejne gospodarstwo. Już wiedziałam, że Wyzwolenie dostaje cynki od ludzi z naszej armii, którym zależało na prowadzeniu działań, w jakich wojsko nie mogło legalnie uczestniczyć. Przekazując informację Wyzwoleniu, oficerowie liczyli na to, że nasi

będą przekraczali granicę i walczyli, ale jeśli zostaną schwytani lub pojawią się jakieś protesty, rząd będzie mógł oznajmić, że nic o tym nie wie i nie wydał na to zgody.

To wszystko oznaczało, że Wyzwolenie musi być ostrożne zarówno po tej, jak i po tamtej stronie granicy. Wszyscy chcieli dorwać jego członków. Oczywiście na ich miejscu wolałabym zostać dorwana po naszej stronie granicy. Po tamtej stronie ich życie byłoby niewiele warte.

Jeśli dobrze wiedziałam, Wyzwolenie jako jedyne ugrupowanie w naszym okręgu zrzeszało nastolatków, ale poza tym moje informacje były bardzo skąpe. Ograniczały się do tego, co przeczytałam w gazetach. A czasami czytałam, że członkowie Wyzwolenia działający w innych okręgach byli łapani i odsiadywali długie wyroki w więzieniach, bo rząd próbował pokazać, że naprawdę nie aprobuje ich działań. Poza tym czytałam o członkach Wyzwolenia, którzy przekroczyli granicę i nie wrócili. W jednym wypadku wróciły tylko ich głowy, w sumie pięć, zapakowane do worka wyrzuconego przed dworcem kolejowym w Padapadzie. Było mi żal człowieka, który otworzył ten worek. I ludzi, których głowy tam zobaczył.

No więc cała czwórka zastanawiała się w mojej kuchni, co zrobić z bandą zbirów zmierzającą w naszym kierunku, żeby gwałcić, zabijać, palić, plądrować albo - co najbardziej prawdopodobne - zajmować się tym wszystkim naraz. Podobno kuchnie są sercem domu, ale musiałabym ugotować mnóstwo jedzenia poprawiającego humor, żeby pozbyć się stamtąd tej złej energii.

Zdziwiłam się, kiedy zauważyłam, że w najmniej bojowym nastroju jest Lee.

- Może poczekamy po naszej stronie granicy, aż tu przyjdą, a wojsko będzie mogło ich pojmać zgodnie z prawem? - zapytał. Po chwili sam sobie odpowiedział: - Pewnie nie wiemy, w którym miejscu przekroczą granicę. - Spojrzał na Jeremy'ego. - Zgadza się?

- Na to wygląda.

- Ale wiemy, że w pewnym momencie skorzystają z Rawson Road. A raczej z tego, co dawniej nazywaliśmy Rawson Road. Więc moglibyśmy ich śledzić, a kiedy wejdą na nasze terytorium, skorzystać z tego nowoczesnego sprzętu radiowego i wezwać wojsko, które ich złapie.

- Tak. Problem w tym, że będzie noc, więc istnieje dość duże ryzyko, że ich zgubimy.

Wtedy Lee zamilkł. To było mniej zaskakujące.

Zauważyłam sens argumentów Jeremy'ego. Rzeczywiście pozostawały tylko dwie możliwości. Jedną było dorwanie tych gości w ich bazie, jeszcze zanim ją opuszczą. Takiej opcji nie sprzyjał czas i fakt, że na własnym terenie zawsze ma się przewagę. Dobrze zna się

okolice. Z drugiej strony, atakując kogoś w jego domu, ma się przewagę w postaci elementu zaskoczenia. Widziałam to z obu stron: jako atakująca i atakowana.

Innym rozwiązaniem była zasadzka. To też nie jest idealne wyjście, ale podczas wojny raczej nie dąży się do ideałów. Takie rzeczy tylko w szkole. Dlatego wiele przemawiało za zasadzką.

- Pod palmą kokosową - powiedział Jeremy.

Nie miałam pojęcia, co to znaczy, ale zanim zdążyłam spytać, odezwał się Lee:

- No, skoro mamy to zrobić, to lepiej bierzmy się do pracy.

I nagle wszyscy zaczęli krążyć po kuchni. Po chwili Jeremy zadał pytanie, które niedawno tak mnie rozbawiło:

- Macie wystarczająco dużo amunicji?

- Jasne - odpowiedział Homer, wstając z krzesła, które obiecywał naprawić od jakichś trzech miesięcy.

Potem nagle zastygł, jak filmowy bohater, który odwraca się i widzi, że tym, kto chucha mu na kark, nie jest jego dziewczyna, lecz niedźwiedź grizzly, choć jeszcze przez chwilę się ludzi, że to jednak ona i po prostu przydałoby jej się golenie. - O matko - jęknął. - Zostawiłem ją na stole.

Okazało się, że mówi o stole w szopie obok swojego domu. Dlatego nastąpiła mała przerwa i Homer pojechał z Jess po amunicję.

Podejrzewałam, że Homer przechowuje u siebie sporo sprzętu Wyzwolenia. I mogłam się założyć, że jego rodzice nic o tym nie wiedzą. Prawdopodobnie schował to wszystko pod łóżkiem. Nie mogłam sprawdzić, bo nie miałam zamiaru zbliżyć się do jego łóżka. Ale oczyma duszy widziałam, jak Homer śpi na stercie granatów, detonatorów i bomb.

Jeremy najwyraźniej był już gotowy. Mieli do dyspozycji pikapa, którego nigdy wcześniej nie widziałam, samochód Homera, a na pace ich obu po motorze. Więc środków transportu im nie brakowało.

Lee był na zewnątrz. Zostałam w kuchni i poczęstowałam Jeremy'ego kawą. Zjawiała się Pang. Spacerowała nad stawem, pewnie rozmawiała z kaczkami. Znając jej dziwaczne upodobania, myślę, że biegała wokół wody, machała rękami i kwakała.

Gavin nadal się nie pokazywał, ale Pang widziała, jak wlewał benzynę do motorów w dużej szopie. No jasne. Kiedy zjawia się dziewczyna, idziesz do szopy, żeby pogrzebać przy motorach.

Zapytałam Jeremy'ego, jak długo jego zdaniem będziemy potrzebowali takich ugrupowań jak Wyzwolenie. W odpowiedzi nagle wygłosił zadziwiający wykład o historii.

- Wiesz, Ellie, kiedy w 1940 roku Churchill został premierem Wielkiej Brytanii, uświadomił sobie jedną rzecz: skoro toczy się wojna, trzeba walczyć. Trzeba tam być. Niemcy, naziści, doskonale o tym wiedzieli. Wpadli do Francji z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Francuzi okopali się i czekali na nich. Wiesz, mieli te wszystkie wspaniałe fortyfikacje i tkwili za murami, gotowi bronić Francji. Co zrobili Niemcy? Po prostu ich otoczyli. Przeszli przez las w Ardenach. Wszyscy myśleli, że będzie dla Niemców zbyt gęsty, więc nie ustawili tam większych sił, i ciężkie czołgi bez problemu się tamtędy przebiły. Same zrobiły sobie drogę. Francuzi nadal siedzieli za linią Maginota i czekali na inwazję, a kiedy się połapali, co się dzieje, zobaczyli tylne światła czołgów. Francja poddała się po dwóch tygodniach. Potem Hitler był pewien, że Wielka Brytania też jest skończona, więc traktował ciąg dalszy wojny jako czystą formalność. Zamierzał razdwa rozprawić się z Anglikami i zagarnąć całą zachodnią Europę. I wtedy pojawił się Churchill. Od razu kazał Angolom zaatakować francuską flotę i rozwalić ją w drobny mak, żeby Niemcy nie mogli wykorzystać okrętów. To było jak deklaracja: „Wojna nadal trwa. Nie spisujcie nas na straty”. Rozumiesz, o co mi chodzi? Churchill nie ograniczył się do wzniesienia murów i posadzenia za nimi ludzi, którzy mieli czekać na inwazję. Ruszył do ataku, wykorzystując wszystkie dostępne możliwości. Zatopił Bismarcka, nie pozwolił uciec krążownikowi Admirał Graf Spee, zbombardował Berlin, był tu, był tam, był wszędzie.

- I uważasz, że powinniśmy postępować tak samo?

- To jedyne wyjście. Musimy być twardymi sąsiadami. Sprawić, żeby to oni bali się nas, a nie my ich. Zadawać im cios za każdym razem, kiedy myślą, że zyskali przewagę. Nie pozwolić im na odzyskanie równowagi.

- Wydawało mi się, że jesteś spokojnym i bezkonfliktowym facetem.

- Bo jestem. Ale dostaję szalu, kiedy widzę, że historia niczego ludzi nie uczy. Uwielbiam historię. Daje odpowiedzi na wszystkie pytania, pod warunkiem że ludzie zadają sobie trud, żeby ją poznać. Bycie słabym jest równie złe jak tyranizowanie innych. Chamberlain był słaby, Hitler był tyranem, Churchill był tyranem.

- Kim był ten Chamberlain?

- Premierem Wielkiej Brytanii przed Churchillem. Chciał wierzyć, że Hitler nie stanowi zagrożenia, więc pozwolił mu zagarnąć Czechosłowację. Myślał, że nazistowskie Niemcy się tym zadowolą.

- Jak można oddać kraj, który nie należy do ciebie?

- No cóż, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Chyba po prostu oświadczył, że nie pomoże Czechosłowacji, a Czesi nie byli w stanie pokonać Niemców sami, więc w zasadzie

ich wystawił.

Filozofia Jeremy'ego nie do końca mnie przekonywała, ale zaimponował mi wiedzą. Ludzie z rozległą wiedzą mają w sobie coś naprawdę atrakcyjnego. W zasadzie to nawet nieważne, kim są: nauczycielem fizyki, kucharzem występującym w telewizji czy starym postrzygaczem opowiadającym o systemie strzyżenia zwanym „tallyhi” i o jego przewadze nad strzyżeniem szeroką maszynką.

Homer i Jess szybko wrócili, a potem była już tylko akcja, akcja i akcja. W ciągu czterech minut wszyscy sobie poszli, zostawiając mnie z Pang i Gavinem. Nagle poczułam się bardzo dziwnie. Jak kobieta zostawiona z dziećmi, podczas gdy inni idą na wojnę. Na domiar

- Bo jestem. Ale dostaję szału, kiedy widzę, że historia niczego ludzi nie uczy. Uwielbiam historię. Daje odpowiedzi na wszystkie pytania, pod warunkiem że ludzie zadają sobie trud, żeby ją poznać. Bycie słabym jest równie złe jak tyranizowanie innych. Chamberlain był słaby, Hitler był tyranem, Churchill był tyranem.

- Kim był ten Chamberlain?

- Premierem Wielkiej Brytanii przed Churchillem. Chciał wierzyć, że Hitler nie stanowi zagrożenia, więc pozwolił mu zagarnąć Czechosłowację. Myślał, że nazistowskie Niemcy się tym zadowolą.

- Jak można oddać kraj, który nie należy do ciebie?

- No cóż, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Chyba po prostu oświadczył, że nie pomoże Czechosłowacji, a Czesi nie byli w stanie pokonać Niemców sami, więc w zasadzie ich wystawił.

Filozofia Jeremy'ego nie do końca mnie przekonywała, ale zaimponował mi wiedzą. Ludzie z rozległą wiedzą mają w sobie coś naprawdę atrakcyjnego. W zasadzie to nawet nieważne, kim są: nauczycielem fizyki, kucharzem występującym w telewizji czy starym postrzygaczem opowiadającym o systemie strzyżenia zwanym „tallyhi” i o jego przewadze nad strzyżeniem szeroką maszynką.

Homer i Jess szybko wrócili, a potem była już tylko akcja, akcja i akcja. W ciągu czterech minut wszyscy sobie poszli, zostawiając mnie z Pang i Gavinem. Nagle poczułam się bardzo dziwnie. Jak kobieta zostawiona z dziećmi, podczas gdy inni idą na wojnę. Na domiar złego towarzyszyła im Jess. Trzech chłopaków i dziewczyna. Nie powinna była się znaleźć w gronie twardzieli, wojowników, którzy wyruszają na wyprawę i ryzykują życiem. Nie miała doświadczenia. Oficjalnie jechała z nimi po to, żeby zapewniać coś w rodzaju wsparcia, bo niewiele wiedziała o broni palnej. Ale czułam, że to się może szybko zmienić, jeśli wpakują się w jakieś tarapaty. Jak ona sobie wtedy poradzi? Przecież mogła pogrzebać sprawę.

Narażając na niebezpieczeństwo życie trójki moich przyjaciół.

Nie wiedziałam, jak duża część pustki, którą czułam, wynika z osobistej urazy. Trzej faceci pojechali i mogli już nie wrócić. Trzej faceci pojechali z Jess, jedną z najładniejszych dziewczyn w liceum w Wirrawee. Zrozumiałam, że jestem zła, bo znowu czułam się jak na wojnie, że jestem wściekła na Homera i Lee, którzy tak chętnie dali się porwać tej sytuacji, i wkurzona na Jess, która ciągle wchodziła mi w drogę. Poza tym uświadomiłam sobie, że gdyby nie Gavin, pewnie przystąpiłabym do Wyzwolenia i pojechałabym razem z nimi. Może nawet teraz powinnam była pojechać. Ale nie mogłabym znieść myśli, że Gavin został sam. Miał tylko mnie. Gdyby mnie dorwali, w najlepszym razie mógłby zamieszkać w budzie z Marmie. Chciałam, żeby Homer, Lee i oczywiście Jeremy jak najdłużej pozostali cali i zdrowi, ale sama byłam potrzebna Gavinowi jeszcze przez co najmniej dziesięć lat. Zabawne, za dziesięć lat Gavin będzie starszy niż ja teraz.

A skoro mowa o Gavinie, przyszła pora, żeby go znaleźć i zaplanować coś na wieczór, zanim zrobi się ciemno.

Przynajmniej szukanie Gavina i Pang mogło odciągnąć moje myśli od niebezpieczeństwa, do którego zbliżała się tamta czwórka. Zawołałam Pang. Gdy tylko się odezwała z pokoju gościnnego, w którym ucięła sobie drzemkę, zadzwonił telefon.

Zupełnie się tego nie spodziewałam. Podskoczyłam jak oparzona i podniosłam słuchawkę, myśląc - zupełnie bez sensu - że to Homer albo Lee. Dzwoniła Bronte, pytała, czy może mnie odwiedzić. Była parę kilometrów od mojej farmy i telefonowała z komórki. Jej mama zaproponowała, że ją do mnie podrzuci, a następnego dnia rano mogłybyśmy pojechać razem do szkoły.

Bardzo lubiłam Bronte, ale szczerze mówiąc, pomyślałam, że już i tak mam dużo spraw na głowie. Ale przecież nie mogłam odmówić, skoro była tak blisko.

Pang czekała na progu.

- Ghodźmy poszukać Gavina - powiedziałam. - Za chwilę przyjedzie moja przyjaciółka, więc chyba powinniśmy coś wymyślić na kolację.

Kiedy szłyśmy przez podwórze, Pang wzięła mnie za rękę. Zabawne - dotyk jej małej rączki sprawił, że poczułam się jak opiekunka. Gavin nie lubił trzymać mnie za rękę. Pomyślałam, zresztą nie po raz pierwszy, że miło byłoby mieć siostrę. Tylko że to już niemożliwe. Wiedziałam, że na zawsze pozostanę jedynaczką.

Patrząc, jak opiekuję się Gavinem, wielu ludzi uznałoby, że jestem nieodpowiedzialna. Pewnie już teraz niektóre osoby z Wirrawee tak twierdzą, chociaż nie mają bladego pojęcia, co robimy i jak żyjemy. Najdziwniejszą rzeczą, jaka mnie spotkała w

ciągu ostatniego roku, było to, że po śmierci moich rodziców sąd wyznaczył dla mnie opiekuna prawnego, lecz jednocześnie zupełnie zignorował Gavina. Taka sytuacja była mi w zasadzie na rękę: opiekunowie prawni właściwie nie ingerowali w moje życie, nie licząc przynoszenia zapiekaneł mięsnych i doradzania w sprawach rolnictwa. Jeśli twoimi opiekunami zostają rodzice Homera, którzy w pewnym sensie byli nimi przez całe twoje życie, to w zasadzie niewiele się zmienia. Ale gdy o tym pomyślisz, czujesz się trochę dziwnie.

No dobra, dam argument tym, którzy uważają mnie za nieodpowiedzialną opiekunkę, i powiem wprost: tamtego wieczoru zgubiłam Gavina. Nie było go w szopie. Nie było go też w mniejszych szopach ani nawet w szopie na drewno. Nie było go w szopie na wełnę, w kojcach dla psów ani w kurniku. Normalnie wcale bym się tym nie przejęła. To znaczy jasne, w tamtym czasie musieliśmy bardzo dbać o bezpieczeństwo i strasznie uważać podczas mycia zębów i pikników, ale prawda wygląda tak, że przeważnie zdarzały się chwile, minuty, a nawet godziny, kiedy zupełnie o tym zapominaliśmy, popełnialiśmy różne błędy albo zwyczajnie myśleliśmy: „Olać to, przecież nie będę się codziennie ukrywała pod łóżkiem”.

Ale tamtego dnia było inaczej. W powietrzu wisiało takie napięcie, że nawet Gavin nie mógł go nie poczuć i wypuścić się na pastwiska. Poza tym na pewno chciał być jak najbliżej akcji. Pragnął być tam, gdzie Homer i Lee. Jasne, przyjazd Pang mógł go wytrącić z równowagi, ale nie aż tak. Przeklełam się w duchu, że spuściłam go z oka, że nie zauważyłam nic złego w tym, że gdy Homer i pozostała trójka odjeżdżali, nigdzie nie było widać Gavina.

Nie umiałam ukryć tych obaw przed Pang. Przyspieszyłam kroku i zagładałam w każdy kąt. Zamilkła i zaczęła biec truchcikiem, żeby za mną nadążyć. Byłam jej wdzięczna, że przestała trajkotać. Pod wszystkimi innymi względami zupełnie różniła się od Lee, więc z pewnym zdziwieniem odkryłam, że ma taką samą wrażliwość jak jej brat.

Biegiem wpadłam do warsztatu. Rozejrzałam się uważniej. Od razu zobaczyłam to, czego się obawiałam. Brakowało motoru - ulubionej yamahy Gavina. Przypomniałam sobie, że Pang widziała, jak Gavin wlewa benzynę do baków, i zapytałam ją, do których. Gdzie to robił? Mówił coś? Jak wyglądał?

- Nie zwracał na mnie uwagi.

- Wiedział, że na niego patrzysz?

- O tak, spojrział na mnie, ale od razu się odwrócił. Był niezbyt miły. Jakby nie chciał mnie tam widzieć. Pomyślałam: „Dobrze, jeśli nie chcesz się ze mną zaprzyjaźnić, to trudno”. I poszłam.

To niczego nie dowodziło. Gavin prawdopodobnie potraktowałby Pang w ten sposób

bez względu na okoliczności. Stojąc w miejscu, w którym tankował - tam, gdzie zazwyczaj naprawiamy motory - szybko się rozejrzałam. Wtedy coś zauważyłam. Drzwi w głębi warsztatu były otwarte. Ktoś je uchylił najwyżej o metr, więc nie od razu rzuciły mi się w oczy. Podeszłam do nich. Do środka wpadał zimny wietrzyk. Pang przemknęła obok mnie i wyszła na zewnątrz, a ja nadal przyglądałam się drzwiom. „Miejsca w sam raz dla dzieciaka na yamasze” - pomyślałam.

- Ellie, popatrz - powiedziała Pang. - To ślad motoru, prawda?

Pokazywała na ziemię. W błocie odcisnął się bieżnik opon. Pang miała rację. Jak na Australijkę o tajsko-wietnamskich korzeniach byłaby całkiem niezłą aborygeńską tropicielką.

Usłyszałam warkot samochodu i domyśliłam się, że przyjechała Bronte. Zanim wróciłam do domu, żeby ją powitać, pobiegłam z Pang drogą za warsztatem. W zimowym błocie i mokrej trawie ślady opon były dość dobrze widoczne. Prowadziły prosto w stronę bramy, za którą było pole, za którym był staw, za którym było drugie pole, za którym było następne pole, za którym była droga, którą można było dojechać aż do granicy. To wcale nie dowodziło, że plany Gavina dotyczyły granicy, ale z pewnością nie dotyczyły odrabiania lekcji, przygotowywania kanapek ani oglądania telewizji.

Ciężko dysząc - raczej ze strachu niż z wysiłku - pobiegłam przez warsztat na drugą stronę budynku. Między warsztatem a domem zobaczyłam Bronte. Samochód jej mamy już odjeżdżał. Chciałam zatrzymać tę kobietę, ale potem sobie uświadomiłam, że musimy działać same, przynajmniej na razie. Złapałam Bronte za rękę i próbowałam jej wyjaśnić, co się stało. Był jednak pewien problem. od razu rzuciły mi się w oczy. Podeszłam do nich. Do środka wpadał zimny wietrzyk. Pang przemknęła obok mnie i wyszła na zewnątrz, a ja nadal przyglądałam się drzwiom. „Miejsca w sam raz dla dzieciaka na yamasze” - pomyślałam.

- Ellie, popatrz - powiedziała Pang. - To ślad motoru, prawda?

Pokazywała na ziemię. W błocie odcisnął się bieżnik opon. Pang miała rację. Jak na Australijkę o tajsko-wietnamskich korzeniach byłaby całkiem niezłą aborygeńską tropicielką.

Usłyszałam warkot samochodu i domyśliłam się, że przyjechała Bronte. Zanim wróciłam do domu, żeby ją powitać, pobiegłam z Pang drogą za warsztatem. W zimowym błocie i mokrej trawie ślady opon były dość dobrze widoczne. Prowadziły prosto w stronę bramy, za którą było pole, za którym był staw, za którym było drugie pole, za którym było następne pole, za którym była droga, którą można było dojechać aż do granicy. To wcale nie dowodziło, że plany Gavina dotyczyły granicy, ale z pewnością nie dotyczyły odrabiania lekcji, przygotowywania kanapek ani oglądania telewizji.

Ciężko dysząc - raczej ze strachu niż z wysiłku - pobiegłam przez warsztat na drugą



stronę budynku. Między warsztatem a domem zobaczyłam Bronte. Samochód jej mamy już odjeżdżał. Chciałam zatrzymać tę kobietę, ale potem sobie uświadomiłam, że musimy działać same, przynajmniej na razie. Złapałam Bronte za rękę i próbowałam jej wyjaśnić, co się stało. Był jednak pewien problem.

Nie wiedziałam, jak dużo ona wie. Ale była bystrą dziewczyną. Miałam wrażenie, że zawsze wie więcej, niż przypuszczam.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. Ellie, na pewno nigdzie by nie pojechał bez pytania. Myślisz, że chciał dołączyć do pozostałych? Do Homera?

- Nie! No, w sumie tak, ale nie tylko o to chodzi. Gavin myśli, że oni pojechali rzucić okiem na... szczerze mówiąc, na to, co dzieje się po drugiej stronie granicy. A jeśli Gavin myśli, że szykuje się jakaś walka, to na pewno chce w niej uczestniczyć. Ma świra na tym punkcie. Już od czasów wojny.

- Ellie, przecież on ma dopiero...

- Oj, to nieważne. Wiesz, jak dorośli lubią mówić o tym, że mają w sobie dziecko? No więc Gavin ma w sobie dorosłego.

- Co konkretnie może według ciebie zrobić?

Musiałam zamilknąć i pomyśleć. Czego konkretnie się spodziewałam?

- Najprawdopodobniej zaczeka na nich gdzieś przy drodze - zaczęłam ostrożnie - i albo do nich dołączy, albo, co bardziej prawdopodobne, pojedzie za nimi, przekroczy granicę, a potem, kiedy już nikt nie będzie w stanie nic na to poradzić, dogoni ich i powie: „Jadę z wami”. Jeśli zauważą go wcześniej, odeślą go do domu. Na przykład z Jess. Jest wystarczająco bystry, żeby o tym wiedzieć.

- Okej, więc jakie masz możliwości?

Zaimponowała mi, zresztą nie po raz pierwszy. Patrzyłam na nią i myślałam: „Boże, właśnie kogoś takiego mi teraz potrzeba”. Nie zadawała żadnych zbędnych pytań. W zasadzie nie wydawała się zbyt zaskoczona tym, co usłyszała. Chyba doskonale wiedziała, jacy stuknięci bywają ludzie pokroju Homera, i pewnie obity jej się o uszy jakieś plotki. Nie po raz pierwszy się zastanawiałam, czy przypadkiem sama nie należy do Wyzwolenia.

- No wiesz, chyba mogłabym za nim pojechać. Albo zostać w domu i nic nie robić. Ale to żadne rozwiązanie. Problem w tym, że jest u mnie Pang i muszę się nią zająć.

- Nie wymagam opieki - oświadczyła Pang. - W domu bez przerwy opiekuję się dziećmi, kiedy nie ma Lee. - Przewróciła oczami. - Kiedy ugania się za dziewczynami.

- Ugania się za dziewczynami? - Na chwilę zaburzyła tok moich myśli i musiałam potrząsnąć głową, żeby poukładać je z powrotem.

- Mogę się zająć Pang - zaproponowała Bronte. - Albo zaprowadzić ją do domu Homera. Na pewno jej się tam spodoba. Jego rodzice to twoi opiekunowie prawni, zgadza się?

- Tak - potwierdziłam.

Oczyszczałam umysł z problemu Pang. Już wcześniej zauważyłam, że mózg nie przechowuje niczego, co przestaje mu być potrzebne. Skoro Bronte mogła się zaopiekować Pang, ja mogłam wymazać Pang z pamięci i skupić się na ważniejszych sprawach. To brzmi trochę brutalnie, ale podejrzewam, że dzięki temu nasze mózgi skutecznie działają. W dziewiątej klasie wiedziałam mnóstwo o masakrze Aborygenów w Cape Grim i o protektorze Tasmanii, ale zaraz po klasówce zapomniałam wszystko oprócz nazwiska tego człowieka. Robinson.

Pobiegłam z powrotem do warsztatu, odpaliłam quada i podprowadziłam go do zbiornika z benzyną.

- Możesz zatankować? - spytałam Bronte.

Pokiwała głową. Wróciłam do domu po ciepłe ubrania dla siebie i Gavina. Byłam pewna, że owładnięty szalonym pędem ku akcji nie pomyślał o tego typu praktycznych sprawach. Złapałam dwa banany, trzy jajka na twardo i jabłko, a potem napełniłam kieszenie kurtki herbatnikami. Pozostałe kłopoty wrzuciłam do plecaka, a następnie wzięłam strzelbę i amunicję. Kiedy otworzyłam sejf z bronią, na chwilę stanęło mi serce, bo brakowało w niej jednej śrutówki. Ten przeklęty Gavin naprawdę przeginał. Udało mu się wiele przetrwać, więc myślał, że jest niezwyciężony. Podejrzewam, że im więcej nam się w życiu udaje, tym bardziej rośnie nasza pewność siebie i tym wyżej sięgamy. Ale ja wiedziałam coś, czego młodszy ode mnie Gavin jeszcze nie rozumiał. Że im wyżej sięgasz, tym bardziej ryzykujesz. Jeśli będziesz się wspinać bez końca, pewnego dnia zostaniesz Bogiem. Dla większości ludzi to niewykonalne - między innymi dla mnie i Gavina. Duże ryzyko można podejmować na początku, kiedy masz mało do stracenia i twoje szczęście jeszcze się nie wyczerpało. A gdy pójdziesz ci świetnie, pora zwiększyć ostrożność. Każdy sukces zbliża cię do porażki. Ze względu na Gavina musiałam mieć nadzieję, że został mu w zapasie jeszcze jeden sukces i jeszcze trochę szczęścia. Oraz modlić się, żeby tak było.

Bronte zatankowała polarisa, sprawdziła olej, wytarła reflektor i - co najbardziej zadziwiające - przywiązała do bagażnika z przodu butelkę wody. Podziękowałam jej, pożegnałam się z nią i z Pang, dodałam gazu i pojechałam, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek je zobaczę.

Bronte zatankowała polarisa, sprawdziła olej, wytarła reflektor i - co najbardziej

zadziwiające - przywiązała do bagażnika z przodu butelkę wody. Podziękowałam jej, pożegnałam się z nią i z Pang, dodałam gazu i pojechałam, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek je zobaczę.

## Rozdział 5

Mówiąc w skrócie, wybrałam najszybszą znaną mi trasę do Rawson Road, albo - jak powiedział Lee - do czegoś, co przed wojną nazywaliśmy Rawson Road. Na błotnistych odcinkach zatrzymywałam się trzy razy, żeby poszukać jakichś śladów. I za trzecim razem, mniej więcej dwa kilometry od granicy, zobaczyłam piękny, wyraźny obrazek tego, co się stało. To było jak czytanie z otwartej książki. Za drzewem stały dwa pikapy. W niektórych miejscach droga wyglądała lepiej; niż kiedy tamtędy jechałam poprzednim razem, ale poza tym była mocno zniszczona i wyraźnie zobaczyłam, w którym miejscu Homer i reszta zjechali z niej i zaparkowali. Dalej droga stawała się kamienista i pikapy nie dałyby jej rady. Za samochodami było wydeptane miejsce z mnóstwem śladów butów i opon motocyklowych. Najwidoczniej wsiedli tam na motory i odjechali. I choć zajęło mi to trzy albo cztery minuty - trzy albo cztery minuty, których nie powinnam była marnować - w końcu znalazłam ślady trzeciego motoru. Były z lewej strony, z dala od tamtych dwóch, które biegły środkiem. Takie same jak te, które widziałyśmy z Pang za warsztatem: gruby bieżnik z większymi wgłębieniami niż u tamtych motorów. Słabiej odcisnął się w błocie, jakby pojazd był mniej obciążony. I podobnie jak tamte ślad wyglądał na świeży.

Zawróciłam i pokonałam biegiem dwieście metrów, szukając kolejnych dowodów. Musiałam wiedzieć, czy Gavin dołączył do grupy. Niedaleko ogromnego eukaliptusa, na kolejnym długim odcinku miękkiej ziemi, zobaczyłam miejsce, w którym yamaha zjechała z drogi. Poszłam po śladach i prawie od razu je zgubiłam, ale gdy podeszłam do eukaliptusa, odkryłam kryjówkę Gavina. Było tam parę plam oleju i kawałek opakowania po dropsach owocowych. Zanotowałam w myślach, żeby w bliżej nieokreślonej przyszłości obejrzeć motor i sprawdzić, czy nie gubi dużo oleju. Domyśliłam się, że Gavin zaczął się trochę wcześniej, zjechał, aż pikapy przejadą, a potem pojechał za nimi. Kiedy nasi przyjaciele zaparkowali, zjechał ukryty za tym drzewem, a potem znowu za nimi pojechał. Był zbyt blisko domu, żeby się ujawnić. Gdyby zauważyli, że ich śledzi, odesłaliby go z powrotem.

Ruszyłam w dalszą drogę. Wiedziałam, że jestem daleko w tyle, ale nie mogłam na to nic poradzić. Wjechałam w ciemność. Światło dnia szybko gasło. Na szczęście robiło się trochę cieplej, bo ustał wiatr. Na pierwszym skrzyżowaniu skręciłam w lewo. Wydawało mi się, że dawniej tę drogę nazywano Sutherland's, ale nie byłam pewna. Zresztą to i tak nie miało większego znaczenia, bo doskonale wiedziałam, dokąd jadę.

Próbowałam ułożyć jakąś strategię, która mogłaby mi się przydać na Rawson Road.

Pomysł ułożenia planu w sytuacji, nad którą nie miałam żadnej kontroli, był głupi, ale wydaje mi się, że w pewnym sensie planowanie w ogóle jest głupie. Biorąc pod uwagę to, że nie da się przewidzieć przyszłości ani kontrolować innych ludzi, nie wspominając o pojazdach, zwierzętach, zwalonych drzewach, pogodzie i przeważnie o samym sobie, planowanie jest chyba... no czym? Czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej. Sposobem na poprawienie sobie humoru, bo można przynajmniej udawać, że kontroluje się swoje życie i świat wokół. To bardzo pokrzepiające, kiedy człowiek pakuje się w niebezpieczne, okropne sytuacje.

Właśnie o tym rozmyślałam, jadąc w zimny, wilgotny wieczór i starając się nie korzystać ze świateł. Przeważnie zamiast nich używałam latarki, która oczywiście świeciła o wiele słabiej. Zapewniała większe bezpieczeństwo, jeśli chodzi o przyciąganie uwagi, ale była potwornie niebezpiecznym rozwiązaniem z perspektywy bezpieczeństwa na drodze. Wiedziałam jednak, że reszta prawdopodobnie postępuje tak samo, więc przynajmniej nie zostawałam jeszcze bardziej w tyle.

Myślałam, że bez większego trudu znajdę Rawson Road, ale pewna ważna rzecz uległa zmianie. Nie chcę, żeby to zabrzmiało, jakbym była nawiedzona, ale teren, który już nie należał do nas, wydał mi się teraz zupełnie inny. Dziwnie było się znaleźć w obcym kraju, który jeszcze niedawno należał do naszej codzienności. Na przykład droga, którą jechałam: niewiele ponad rok temu mogłam nią jechać albo iść i nie byłoby w tym nic godnego uwagi. Po prostu jeszcze jedna droga otoczona z dwóch stron eukaliptusami, ogrodzenie domagające się pilnej naprawy, wybetonowany bród w strumieniu, a w oddali gospodarstwo, w którym paliło się światło i mieszkali ludzie. Powinnam była czuć się tam jak w domu. Ale nad tą ziemią unosił się już jakiś nowy duch i jadąc tamtędy, drżałam, wiedząc, że choć to wszystko wygląda jak mój kraj, już nim nie jest. Zmienił się zapach. Wyczuwało się inną energię. Byłam na obcym terenie. Nie musiałam wsiadać na pokład samolotu i lecieć milion godzin, żeby zmienić klimat, bo teraz wystarczyła czterogodzinna przechadzka.

Już wkrótce musiałam się skupić na bardziej przyziemnych sprawach. Takich jak przetrwanie. Te wszystkie dni w Wirrawee - chodzenie do szkoły, praca na farmie, hodowla bydła, próby okiełznania Gavina - to wszystko nagle ze mnie uleciało i znów stałam się łowcą i zwierzyną łowną. Czułam się tak, jakbym się zmieniła w zwierzę - chyba w lisa - i bez najmniejszego wysiłku skupiłam się na tym, żeby znaleźć ofiarę i ująć z życiem. Wiem, że lisy są zdolne do różnych okropieństw, ale podziwiam ich przebiegłość. Potrafią złapać kaczkę w biały dzień, mimo że pracuję niespełna pięćdziesiąt metrów od niej. Umieją znaleźć jedyną dziurę w siatce, podkopać się do kurnika. Zachowują się tak, jakby wiedziały, czy trzymasz strzelbę, czy tylko kij. A kiedy jeden jedyny raz zdarzy ci się zapomnieć o

zamknięciu bramy wybiegu dla drobiu, jakimś cudem się o tym dowiadują, zakradają się i zabijają wszystko, co się rusza.

Tak, musiałam być lisem, włożyć lisią skórę i zostać lisem na quadzie. Quad potrafi jechać bardzo wolno, jeśli utrzymuje się niskie obroty. Pomyślałam, że na razie moim największym problemem nie są agresywni wrogowie, lecz znalezienie Rawson Road. Spróbowałam sobie wyobrazić mapę i uznałam, że Rawson Road biegnie z północy na południe, od mojej prawej do lewej, przez płaskie, monotonne tereny, do których już dotarłam. Spieszyłam się, jak mogłam, ale kiedy przekraczałam trzydzieści, trzydzieści pięć kilometrów na godzinę, warkot silnika robił się zbyt głośny. Zastanawiałam się, jak rozgrywają to moi przyjaciele. Może zostawili motory i dalej idą piechotą? Z dwoma motorami - i jednym, o którym nie wiedzieli - mieli oczywiście większy problem z hałasem niż ja.

Czas biegł nieubłaganie i stresowałam się, myśląc o tym, że powinnam jechać szybciej. Światła sunące z prawa na lewo podpowiedziały mi, że zbliżam się do skrzyżowania. Wyglądało na duże i ruchliwe. Czyżby Rawson Road? Zaczekałam, aż samochody przejadą, a potem musiałam poczekać jeszcze dłużej, bo pojawiły się dwa pojazdy zmierzające w przeciwną stronę. Ruchliwa droga. Może rzeczywiście Rawson. Wjechałam na asfalt i rozejrzałam się, czując jakąś dziwną odwagę. Nie miałam pojęcia, czy jestem na właściwej drodze. Jechałam ostrożnie, zastanawiając się, jak daleko powinnam się posunąć. Jeśli skręciłam w złą stronę, ta przejażdżka mogła mnie drogo kosztować. Poza tym nagle sobie przypomniałam, że nie wolno jeździć quadem po utwardzonych drogach. W każdym razie nie moim polarisem. To ma coś wspólnego z oponami. Kiedy jeździłam quadem po polach, koła ryły ziemię. Przed warsztatem, w którym trzymałam polarisa, widać było tylko błotniste ślady i sprasowaną trawę. Opony quada miały gruby bieżnik i nie mam pojęcia, dlaczego nie nadawały się na asfalt, ale najwidoczniej się nie nadawały.

Trudno, pech to pech. Dziś wieczorem nie było innego wyjścia.

Mniej więcej półtora kilometra dalej zobaczyłam jedną z tych zielonobiałych tablic. Dzięki Bogu. Miałam szczęście, że nie napotkałam więcej samochodów. Pomyślałam, że jeśli dopisze mi prawdziwe szczęście, okaże się, że jestem na Rawson Road. Że Homer, Lee i reszta będą tam na mnie czekać z Gavinem i usłyszę: „Cześć, Ellie, okazało się, że to fałszywy alarm i możemy wracać do domu”.

Ale nie miałam aż tak wielkiego fartu. Napis na tablicy nie był po angielsku, lecz zauważyłam na nim też cyfry i wyglądało na to, że sąsiedzi zachowali nasz system numeracji dróg. Nie wiedziałam, jaki numer powinna mieć Rawson Road, ale na pewno nie była

autostradą numer trzy, na której właśnie się znajdowałam.

Cholera, cholera, cholera. Czasami dobrze jest sobie zakląć. Zawróciłam, a potem musiałam czym prędzej zjechać z drogi, bo zbliżał się jakiś samochód. W zasadzie ciężarówka, za którą ciągnął się sznur samochodów, więc musiałam się przyczaić na jakieś cztery minuty i poczekać, aż wszyscy się przetoczą. Gdy tylko ruch ustał, pojechałam z powrotem na skrzyżowanie. Tym razem nie musiałam się martwić hałasem - przecież byłam na autostradzie.

Skręciłam w lewo i jeszcze raz zjechałam z asfaltu. Krajobraz wyglądał dokładnie tak samo. Czasami robi się strasznie nudno. Zero urozmaicenia. To bywa dołujące. Wieki temu mówili w telewizji o niemieckiej inwazji na Rosję podczas drugiej wojny światowej i o tym, jak krajobraz Rosji doprowadzał niektórych żołnierzy do szaleństwa. Codziennie rano budzili się, ruszali w dalszą drogę, maszerowali cały dzień, ale nic się nie zmieniało. Nic się nie zmieniało! Dzień za dniem, miesiąc za miesiącem szli przez świat, w którym czuli się tak, jakby w ogóle się nie przemieszczali. Szli, szli i szli, a horyzont wcale się nie przesuwał i wszystko wokół pozostawało takie samo.

Nie, nie widziałam tego w telewizji. Słyszałam o tym w radiu, jadąc z mamą samochodem. Pamiętam, jak usłyszawszy to, spojrzała na las i powiedziała: „Święta racja. Święta racja!”.

Nie zgadzałam się z nią - nasz krajobraz nigdy tak na mnie nie działał - i martwiłam się, że mama widzi to inaczej. Przynajmniej wydawało mi się to nielojalne. Ale wiedziałam, co ma na myśli. Z drugiej strony, jeśli poznało się las albo weszło do niego i spędziło w nim trochę czasu - a przynajmniej otworzyło się oczy, żeby dobrze się rozejrzeć - trudno było uznać ten krajobraz za monotony. Tylko gdy jechało się samochodem, pokonując niezliczone kilometry, mógł się wydawać odrobinę dołujący.

Poczułam, że znalazłam się na Rawson Road. Nie jestem pewna, jak to się stało, ale nagle pomyślałam: „Tak, to chyba tu”. Upłynęły ze trzy lata, odkąd tu byłam po raz ostatni, a nawet wtedy jechałam samochodem, z rodzicami.

Skręciłam w lewo i szybko pojechałam po żwirowym poboczu, wypatrując następnej zielonobiałej tablicy. Nie znalazłam jej, ale parę kilometrów dalej minęłam bramę, na której widniał namalowany farbą adres, niezmienny po wojnie: „Rawson 1274”.

Co za ulga. Jechałam dalej. Moim następnym zadaniem było dowiedzenie się, czy zmierzam w odpowiednim kierunku. Domyśliłam się, że jestem na przeciwprostokątnej trójkąta. Dwa pozostałe boki tworzyła droga z mojego domu do Sutherland's i sama Sutherland's. Przeciwprostokątna nie zaprowadziła mnie z powrotem do domu, bo skończyła

się jakieś osiem kilometrów wcześniej. Całkiem blisko.

Wiedziałam, że kwadrat długości przeciwprostokątnej jest równy sumie kwadratów długości przyprostokątnych. Dziękuję ci, liceum w Wirrawee, za tę cenną informację. Ale teraz na niewiele się ona zdała. Potrzebowałam czegoś innego. Potrzebowałam intuicji i czujności lisa. Przypomniałam sobie, jak lisy skłaniają koguta, żeby wystawił głowę przez siatkę kurnika, żeby mogły mu ją odgryźć. Nie mam pojęcia, jak to robią, ale parę razy widziałam to na własne oczy, a u Yannosów zdarzało się to samo. To znaczy nie widziałam samego zajścia, ale jego skutki. Idziesz rano do kurnika i w środku widzisz koguta bez głowy. Jak to możliwe? Mieliliśmy dość duży kurnik, a mimo to lisowi udało się skłonić koguta, żeby podszedł aż do siatki i posłusznie wystawił głowę, oferując ją lisowi na kolację.

Musiałam znaleźć równie pomysłowy sposób. Chyba potrzebowałam czegoś w rodzaju wykorzystania rozpędu piłki do zmiany kierunku jej lotu i zdobycia punktu. Niewyraźnie pamiętałam, jak pewnego razu objaśniała mi to Robyn podczas gry w tenisa. Nigdy nie rozumiałam sportu tak dobrze jak ona. Mówiła, że nie należy uderzać takiej piłki mocno. Trzeba pozwolić, żeby odbił ją drugi gracz, a potem wystarczy odpowiednio ustawić raketę, żeby piłka wróciła z prędkością nadaną przez przeciwnika.

Jeśli kogut podejdzie do siatki i wystawi głowę, lis nie musi się za bardzo napracować. Nie chciałam rozpętać wojny. Pragnęłam jedynie sprowadzić Gavina na właściwą stronę granicy.

Jechałam dalej, ale zauważyłam, że pakuję się w poważne tarapaty. Rawson Road szybko przeobrażała się w przedmieścia. Miałam przed sobą domy stojące w bliskiej odległości. Jechanie przez pola było mi na rękę, ale nie mogłam przejeżdżać quadem obok zabudowań. Na niebie świecił księżyc w pierwszej kwadrze, dzięki czemu wszystko było dość dobrze widoczne - nie tak dobrze jak przy pełni czy za dnia, ale wystarczająco dobrze, by narazić mnie na niebezpieczeństwo.

Po cichu przejechałam obok pierwszego skupiska domów, pokonałam zakręt, zobaczyłam następny, jeszcze większy rząd domów i obok nich też przemknęłam, ale zaczynałam tracić zimną krew i wiedziałam, że niedługo stracę też szczęście. Nie chciałam czekać, aż resztką mojego szczęścia zniknie jak morska piana na piasku. Zatrzymałam się na kawałku spękanej ziemi i siedziałam, rozpaczliwie próbując coś wymyślić. Nie znosiłam takich sytuacji: podejmowania decyzji, od których zależy życie, w kilka sekund i praktycznie przy braku jakichkolwiek informacji. Lubię panować nad tym, co się dzieje. Przygryzałam dolną wargę, a potem knykcie. Co robić? Co robić? Mój umysł groził, że wymknie się spod kontroli i zacnie biec jak wariat, tratując ogrodzenia i pędząc samopas we wszystkich



kierunkach naraz.

„No dobra - pomyślałam. - Przynajmniej się zastanów, na czym najbardziej ci teraz zależy. Po co tu przyjechałaś?”

Od razu wiedziałam, jak brzmi odpowiedź. Przyjechałam tu z misją, chciałam odnaleźć Gavina, zapewnić mu bezpieczeństwo i odwieźć go całego i zdrowego do domu. Miło byłoby pomóc Homerowi, Lee, Jeremyemu i Jessice ocalić niewinnych ludzi przed atakiem zgrai terrorystów i najlepiej przy tym nie zginąć, ale najważniejszy cel mojej misji wyglądał prosto: ocalić Gavina.

Okej, tylko jak?

Na to nie miałam prostej odpowiedzi. Pozostawało mi jechać dalej, rozglądać się i mieć cholernie wielką nadzieję, że go znajdę.

Musiałam jednak zostawić quada. Zaprowadziłam go za drzewo. Wiedziałam, że nie będzie tam długo bezpieczny, ale zaczynały się przedmieścia i nie mogłam jechać dalej. Zarzuciłam strzelbę na plecy i pobiegłam poboczem, trzymając się ciemniejszej strony drogi i wypatrując czegoś, czegokolwiek, jakiejś wskazówki, jakiegoś znaku, jakiejś podpowiedzi.

Czasami dostajemy w życiu to, czego chcemy. Ja o mało tego nie przeoczyłam.

Miałam przed sobą kolejną tablicę - tym razem sprzed wojny. Zielone logo na musztardowym tle. Chyba postawiono ją dla turystów. Nie widniała tam żadna nazwa, tylko obrazek przedstawiający palmę i napis: „800 metrów”.

Byłam tak zajęta szukaniem samochodu, który mogłabym ukraść, albo jakiegoś innego środka transportu, że dopiero sto metrów za tablicą pomyślałam o palmie. Otaczały mnie już mieszkania, skromne domy, beton i cement. Przed sobą zobaczyłam światła skrzyżowania. Zaczynałam się naprawdę denerwować. Było cicho, ale od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód, widziałam dzieciaka na deskorolce i parę osób, które wchodziły do domów albo z nich wychodziły. Dziwne. To nie przypominało terenu działań wojennych. Czułam się jak terrorystka. Tylko ja miałam strzelbę.

Palma. Zaraz, zaraz. Palma. Głos Jeremy ego. Zasadzka. „Pod palmą kokosową” - tak powiedział. Co miał na myśli? Zasadzkę pod palmą kokosową?

Zaczęłam biec. Musiałam okrążyć skrzyżowanie, więc nadrobiłam kawał drogi. Na szczęście połowa latarń nie działała, więc nie było tak jasno jak za dawnych czasów. Wszystko tak wyglądało: zniszczone, zapuszczone. Dziury w drodze, zapchane rynsztoki i wielkie kałuże, przystanek autobusowy bez dachu. Zignorowałam to i pobiegłam dalej. Jakieś pół kilometra dalej zobaczyłam palmę kokosową. Trudno było powiedzieć, co to za miejsce. Z lewej stał stary dom, jakiś zabytek, który przed wojną był pewnie otwarty dla

zwiedzających, a po prawej zbudowano centrum handlowe. Z przodu rósł rząd palm. Wszystkie wyglądały trochę staro i mało atrakcyjnie. A nad głównym wejściem umieszczono wielką neonową palmę, w której nie działało trzy czwarte świateł. Dlaczego, na litość boską, ktokolwiek miałby wybrać takie miejsce na zasadzkę? Na środku był pasaż handlowy, mnóstwo sklepów otoczonych parkingiem. Dalej działał supermarket z wielkimi koszami jakichś warzyw albo owoców przy wejściu. Melonów, ziemniaków - nieważne. Tu też oświetlenie pozostawiało wiele do życzenia i nie widziałam połowy szyldów, więc tym bardziej nie byłam w stanie dojrzeć, co jest w koszach: melony, puszki karmy dla psa czy może szczoteczki do zębów. Najbliżej mnie były salon fryzjerski i sklep z ciuchami. Wszędzie kręcili się klienci. Ci ludzie traktowali wieczorne zakupy bardzo poważnie.

Po chwili zauważyłam Jeremy ego.

To był szok. Lustrowałam wzrokiem parking, wszystko wydawało się obce i zmienione nie do poznania, a pośrodku znalazła się twarz, która była znajoma, przyjazna i należała do mojego życia. Skupiłam wzrok na Jeremym i poczułam, jak w mojej piersi eksploduje dzika radość. Szukałam przyjaciół od wielu godzin i ledwo mogłam uwierzyć własnym oczom. Jeremy przemknął po drugiej stronie parkingu i schował się za rzędem śmietników ustawionych pod kątem prostym do supermarketu. Starał się zachowywać naturalnie, jakby był jednym z tych ludzi, ale moim zdaniem nie wypadł zbyt przekonująco. Przede wszystkim szedł trochę za szybko. A to chyba zawsze przyciąga uwagę.

Po reszcie nie było ani śladu. Zostałam na miejscu, za małym drzewem, i próbowałam zrozumieć, co się dzieje. Pewnie pozostali też schowali się za śmietnikami. A może ukryli się w różnych punktach wokół parkingu i szykowali zasadzkę na terrorystów? Mimo wszystko wybrali sobie dziwne miejsce na taką akcję.

Znowu zauważyłam jakiś ruch. Tym razem nie chodziło o zbyt szybki krok. Raczej o zbyt wolny. Patrzyłam, czując, jak powoli ogarnia mnie przerażenie. Po drugiej stronie parkingu jakiś człowiek zakradał się w kierunku śmietników - i wcale nie był to Homer ani Lee. Trudno to wyjaśnić, ale gdy tylko go zobaczyłam, prawie natychmiast ujrzałam inny obraz. Nie patrzyłam już na parking, na klientów z wózkami, na rodzinę stojącą przy bagażniku daihatsu i na unoszące się nad tym wszystkim mewy, które wypatrywały jakichś kąsków. Teraz widziałam coś innego: tego człowieka z karabinem, drugiego mężczyznę, który zbliżał się z przeciwnej strony i też był uzbrojony, trzech innych, idących tuż za nim, i co najmniej trzech kolejnych, którzy skradali się przez parking, od samochodu do samochodu. Wszyscy trzymali karabiny i poruszali się jak zawodowcy.

Nawet nie miałam czasu, żeby zakląć. Na chwilę straciłam kontrolę nad nogami,

próbowałam się ruszyć, ale tylko się zakołysałam. Później zmusiłam się do przejścia przez drogę. „Po co kurczaki przechodzą przez drogę?” - zapytałam się w duchu. To była jedna z tych głupich myśli, które wpadają mi do głowy w najgorszych i najdziwniejszych sytuacjach. Nie potrafiłam sobie odpowiedzieć. „Pewnie po to, żeby zjadł je lis”. Nie miałam żadnego planu. Ale odzyskałam kontrolę nad nogami i nagle znowu przełączyłam się na tryb wojenny. Pochyliłam głowę, ścisnęłam strzelbę tak mocno, że aż zabolęła mnie ręka, a potem pobiegłam na parking od prawej, korzystając z osłony zapewnionej przez przerośnięty żywopłot.

Wszyscy byli skupieni na śmietnikach i aż dziw, że nikt mnie nie zauważył. Jednak wcale o tym nie myślałam. Miałam tylko nadzieję, że chociaż ten jeden raz w życiu będę niewidzialna. Modliłam się, żeby nikt nie spojrzął w moją stronę. Dopadłam do następnego drzewa, dysząc, jakbym przebiegła trzy kilometry na olimpiadzie.

Miałam mniej więcej cztery sekundy, żeby postanowić, co dalej. Pobiec za śmietniki, dołączyć do Jeremy'ego i tego, kto tam z nim jest? Zaatakować żołnierzy? Raczej nie. Lis by tego nie zrobił. Za parkingiem była stara droga prowadząca na wzgórze. Zauważyłam tam plac budowy. Pewnie zamierzali powiększyć centrum handlowe, ale wyglądało na to, że prace od dawna stoją w miejscu. Zastanawialiście się kiedyś, dlaczego wybudowany budynek nie nazywa się wybudynkiem? No cóż, w tym wypadku budowie daleko było do końca, bo powstały tylko fundamenty. Co robić? Co robić? To pytanie łomotało w ściany mojego mózgu. Paraliżowało mnie. Biec za śmietniki? Nie. W ten sposób tylko dołączyłabym do Jeremy'ego i oboje moglibyśmy zginąć.

Zaatakować? Nie - to by oznaczało błyskawiczne samobójstwo.

Musiałam zrobić dywersję, odwrócić uwagę tych uzbrojonych ludzi. Okej, może w takim razie pobiec przez parking i strzelać, żeby zaczęli mnie gonić? To też potwornie kojarzyło się z samobójstwem. Ale leżenie na wilgotnej, zimnej ziemi nie mogło nikomu uratować życia ani ułatwić mi odnalezienia Gavina. Ellie, pamiętasz, po co tu przyjechałaś? Pamiętasz, co sobie powiedziałaś zaledwie kilka minut temu? Nie możesz odłożyć tego problemu na później. Masz go już teraz.

Był tylko jeden sposób, żeby dywersja się udała. Wzięłam głęboki oddech, ale mimo to czułam się tak, jakby do moich płuc nie dotarła ani odrobina tlenu. Nieważne. Musiałam założyć, że moje ciało samo zajmie się oddychaniem. Do tej pory radziło sobie z tym całkiem nieźle. Musiałam zaryzykować.

## Rozdział 6

Dzięki Bogu nie zastanawiałam się nad tym ani chwili dłużej. Inaczej nigdy nie wystawiłabym nosa zza tego drzewa. Na szczęście czasami moje głupie stare nogi i ręce ruszają się całkiem szybko i tym razem też pokazały, na co je stać. Ponownie sprawdziłam bezpiecznik, wymierzyłam w witrynę salonu fryzjerskiego i oddałam trzy strzały, kierując lufę wysoko, żeby nikogo nie zabić.

A potem jeszcze dwa w stronę sklepu z ciuchami.

W salonie fryzjerskim od razu zgasło światło. Sześć osób niedaleko sklepu odzieżowego rozpięzchło się i zaczęło uciekać we wszystkich kierunkach. Rozległ się dzwonek, jakbym uruchomiła największy budzik na świecie. Nagle moje wnętrzości stały się zimne i poskręcane, jakby ścisnęły je czyjeś bardzo zimne dłonie. Pochyliłam się i pobiegłam prosto do centrum handlowego. Ludzie zaczęli się wylewać przez boczne wejście jak milion mrówek, które właśnie usłyszały, że w fabryce kawałek dalej doszło do wycieku dżemu. Nie było to zbyt inteligentne z ich strony, ale kto myśli logicznie w takich sytuacjach? Widziałam, jak się popychają, poganiając się nawzajem. Automatyczne drzwi głównego wejścia otworzyły się, zapraszając mnie do środka. Ludzie w głębi budynku nadal zachowywali się normalnie, jakby jeszcze do nich nie dotarło, co się dzieje. Biegłam dalej. Moje wnętrzości przestały być zimne i poskręcane, zamiast tego zrobiły się mokre i gąbczaste. Nagle przypomnieli mi się żołnierze w koszarach na lotnisku, ci, których zastrzeliłam i którzy wyglądali jak zwierzęta rozjechane na drodze. Zdecydowanie nie chciałam nikogo zabijać. Ci ludzie wpadli do sklepu po papier toaletowy, jedzenie i odplamiacz. Oddałam cztery strzały w stronę sufitu, cały czas biegnąc przed siebie. Nagle wszyscy zaczęli uciekać i chować się. Na podłodze między porzuconymi wózkami leżały torby pełne zakupów. Były tam kubki w kałużach kawy, upuszczone lody i przewrócona spacerówka. Specjalnie strzeliłam w kierunku witryny drogerii po lewej stronie, a potem w stronę sklepu z ciuchami, następnego po prawej. Szyby zsunęły się jak woda wodospadu. Widok tej płynnej lawiny szkła podziałał na mnie prawie kojąco.

Byłam w supermarkecie. Teraz już miałam plan. Niezbyt dopracowany, ale lepszy taki niż żaden. Pobiegłam w lewo. Chyba specjalnie wyłączyli główne oświetlenie, lecz zadziałał system awaryjny, dzięki czemu wprawdzie panował półmrok, ale wszystko było widoczne. Wbiegłam na halę. Nikt nie podszedł, żeby zajrzeć mi do torebki. Wokół panował spory ruch. Nie zamierzałam się zatrzymać, żeby się rozejrzeć, ale kątem oka zauważyłam jakiegoś

staruszka z lewej, ekspedientkę z prawej i młodego mężczyznę za stojakiem z pieczywem. Chowanie się za chlebem było niezbyt mądre. Lepszą osłonę zapewniłyby puszki z karmą dla psów. Albo z owocami. Boże, można oberwać rykoszetem, jeśli zacznie się strzelać w pobliżu puszek z owocami. Minęłam chipsy ziemniaczane. Niektórych produktów spożywczych w tym sklepie nie znałam, ale chipsy ziemniaczane wyglądają bardzo podobnie w każdym kraju.

Kiedy biegłam obok butelek z wodą, nagle wyskoczył na mnie jakiś facet w garniturze. Przyciął się za półką. Chciał zostać bohaterem. Rzucił się na mnie i jednocześnie odwrócił twarz, jakby chciał uniknąć ciosu. Prawie zamknął oczy. Miał jednak silne ręce i dobrze mnie złapał. Tak bardzo mnie wystraszył, że o mało nie upuściłam strzelby. Ale gość zachowywał się, jakby nie do końca wiedział, co robić. Walcząc ze mną, ryzykował życiem. Przypominał zawodnika grającego w softball, któremu udało się zaliczyć parę baz, ale za bardzo się boi, żeby porwać się na home run. Niestety, kiedy ja wyczułam ten jego brak zaangażowania, on zauważył, że ma do czynienia z dziewczyną. Spojrzał na mnie z ukosa, wytrzeszczył oczy i jeszcze mocniej zacisnął ręce. Trzymał mnie w pasie, staliśmy twarzą do siebie i wiedziałam, że jeśli nie uwolnię się z jego uścisku, będzie po mnie.

Jakie to dziwne, że po wszystkim, przez co przeszłam, mogłam skończyć tutaj, nagle, w jednej chwili, w tym zapyziałym supermarkecie, obok butelkowanej wody i torebek z ryżem, zabita przez faceta z nijaką twarzą, przez faceta w garniturze i nudnym niebieskoszarym krawacie.

Próbował mnie dokądś ciągnąć. Zaciekle się szamotaliśmy. Nadal trzymałam strzelbę, więc od razu zbliżyłam palec do spustu i oddałam strzał. Wiedziałam, że lufa jest skierowana w górę i nikomu nie zrobię krzywdy, ale byłam pewna, że porządnie go tym wystraszę i być może zapewni mi to przewagę. Byłam przyzwyczajona do tego dźwięku, a ten facet nie - a w niskim budynku huknęło naprawdę głośno. Kiedy strzeliłam, ciałem mężczyzny gwałtownie wstrząsnęło i przez chwilę myślałam, że jednak go trafiłam. Jego uścisk zelżał, a wtedy szarpnęłam się mocno i brutalnie, licząc na to, że straci równowagę. Runął do tyłu, wypuszczając mnie, i zaczął machać rękami jak gracz w netball próbujący zatrzymać przeciwnika. Szybko do niego doskoczyłam i popchnęłam go, prosto na stojak z jakimiś puszkami. Nie wiem, co w nich było. Może pomidory? Uderzył w nie plecami i tyłkiem, wywołując coś w rodzaju eksplozji. Podniosłam puszkę, która potoczyła się w moją stronę, rzuciłam w niego, spudłowałam, chwyciłam następną i mocno rzuciłam jeszcze raz, mierząc w głowę. Rozbryzgnęło się coś czerwonego. Jakby puszka gwałtownie się otworzyła, opryskując wszystko swoją zawartością. Tylko że ona pozostała zamknięta. Czerwona ciecz, na którą patrzyłam, to nie były pomidory. Facet złapał się za twarz i jego głowa opadła na

bok. Nie wiedziałam, czy nadal jest przytomny, ale musiałam założyć, że nie będzie mi zagrażał przez co najmniej kilka następnych minut.

Pobiegłam w stronę drzwi prowadzących na zaplecze. Spojrzałam przez ramię i zauważyłam, że kilka osób wychyla się z kryjówek. Wyglądały na niezdecydowane. Mamy ją gonić czy jak? Przecież to tylko dziewczyna. W dodatku jest sama. Ale ma broń.

Drzwi były dwuskrzydłowe, ciężkie i zrobione z gumy, plastiku albo czegoś w tym rodzaju. Częściowo przezroczyste. Gdy tylko je otworzyłam, znalazłam się w innym świecie. Nie było tam efektownych wystaw, muzyki z taśmy ani pań częstujących małymi porcjami tofu. Panował jeszcze większy mrok niż w supermarkecie. Na betonowej podłodze stały setki kartonów ułożonych w wielkie sterty. Zapach też był inny, ale całkiem przyjemny - przypominał herbatniki w pierwszej chwili po otwarciu opakowania.

Zobaczyłam jakiegoś faceta, młodego pracownika mniej więcej w moim wieku. Myślę, że był sparaliżowany strachem. Przywarł plecami do wielkiej chłodziarki i gapił się na mnie. Poruszały się tylko jego oczy. Uznałam, że można go spokojnie zignorować, więc pobiegłam dalej.

W głębi magazynu była strefa wyładunku. Nie trafiłam na żadną dostawę - chyba ze względu na późną porę - więc wszystko było pozamykane i spowite ciemnością. Zeskoczyłam z rampy i pobiegłam do dużych drzwi żaluzjowych. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby otworzyć to cholerstwo. Rozglądałam się gorączkowo. Na podłodze leżał kawał nowego łańcucha, a obok niego były narzędzia i duża puszka smaru. Wyglądało na to, że ktoś zamierzał naprawić albo wymienić te drzwi. Miałam nadzieję, że nadal są sprawne. Z boku był duży czerwony przycisk ze starym brudnym napisem po angielsku na kawałku kartonu: „Naciśnij dwa razy, żeby otworzyć”. Nacisnęłam dwa razy. Drzwi ze szczękiem ruszyły w górę, powoli, ciężko i hałaśliwie. Pomyślałam, że to potrwa z pół godziny. Dysząc, spojrzałam przez ramię. Czy już się zorganizowali? Kiedy drzwi trochę się podniosły, usłyszałam strzały z karabinu. Blisko. Jakbym otwierała drzwi strzelnicy. Krawędź była już na wysokości mojego pasa. Pochyliłam się i zaczęłam się gorączkowo rozglądać. Gdzie czyhało niebezpieczeństwo? Z której strony? Szybko, szybko, znajdź je, zanim ono znajdzie ciebie. Nagle, dzięki Bogu, zobaczyłam Homera i Jeremy'ego. Tak jak podejrzewałam, byli za śmietnikami, obydwaj lekko ode mnie odwrócen i przyczajeni tak jak ja. Kiedy ich zauważyłam, strzelili, prawie równocześnie. Nie widziałam pozostałych, ale zauważyłam błysk ognia, sugerujący, że są bardziej z prawej strony. W każdym razie miałam nadzieję, że to oni.

Też po prawej, tyle że bliżej drogi, stały cztery pojazdy: trzy pikapy i mała ciężarówka

z odsłoniętą paką. Ukrywali się tam jacyś ludzie, którzy wykorzystywali te samochody, skały i drzewa jako osłonę. Syknęłam pod nosem, widząc, jak kiepsko to wygląda. Miałam nad nimi pewną przewagę, bo stałam wyżej niż oni, ale ich było więcej i wyglądali na dość dobrze osłoniętych.

Z lewej, na skraju parkingu, sytuacja wyglądała lepiej. Znów zauważyłam żołnierzy, może tych samych co wcześniej, ale teraz skupiali się na wejściu do centrum handlowego, dokładnie tak, jak chciałam. Pomyślałam, że dzięki temu zyskaliśmy mniej więcej pół minuty względnego spokoju z przodu i z lewej strony.

W ciemności karabiny wyglądały jak małe miotacze ognia, z luf bez przerwy tryskały gorące pomarańczowożółtobiałe strumienie. Dzięki nim łatwiej było zobaczyć, gdzie są uzbrojeni ludzie, ale problem polegał na ustaleniu, kto jest kim. Na przykład wiedziałam, że z warzywniaka, gdzie panowała całkowita ciemność, strzelają co najmniej dwie osoby. Domyśliłam się, że nie przyszły tam, żeby kupić awokado.

Pochyliłam się i pobiegłam w stronę Homera i Jeremy ego. Zbliżając się do nich, nie zdołałam się powstrzymać i zawołałam:

- Cześć, chłopaki!

I wtedy otarłam się o śmierć. Gdybym otarła się bardziej, pewnie już bym nie żyła. Jeremy gwałtownie się odwrócił i uniósł karabin do ramienia. Miał minę faceta, który jest tak zahipnotyzowany, że można go poprosić, żeby zmienił się w kurę, a natychmiast znieś jajko albo wystawi głowę za siatkę. Zrozumiałam, że nie zdąży mnie w porę zobaczyć. Zawołałam: „Jeremy!”, i podniosłam ręce, żeby zasłonić twarz przed kulą, co oczywiście na nic by mi się nie zdało. Zawdzięczam życie Homerowi. Nie miał czasu, żeby cokolwiek powiedzieć. Rzucił jedno spojrzenie w moją stronę, wyciągnął rękę i podbił karabin Jeremyego, gdy ten oddawał strzał. Kula śmignęła obok mnie jak banshee - tyle że nie mam pojęcia, czym właściwie jest banshee, a już na pewno nie wiem, jakie wydaje dźwięki. Ale coś w słowie „banshee” wskazuje na pewne pokrewieństwo ze świszczącą kulą.

Jeremy pobladł, widząc, że to ja. Wyglądał, jakby zobaczył ducha i jakby sam stał się duchem. Po prostu stał i gapił się. Za to Homer był spokojny jak nigdy. Jego naturalna śniada skóra nie straciła ani odrobiny koloru. Pokręcił głową i powiedział:

- Znalazłaś tam jakieś fajne sklepy?

- Po lewej jest czysto i będzie tak jeszcze parę minut - odparłam. - To chyba wasza jedyna szansa.

Homer nie wahał się ani chwili.

- Sprowadzę resztę. Osłaniajcie mnie. Ocknij się, Jeremy.

Pobiegł w prawo. Dyszałam jak koń po galopie. Z niepokojem wyteżałam wzrok, próbując dojrzeć Homera, próbując zobaczyć, co się dzieje. Ostrzał przybrał na sile mniej więcej dziesięciokrotnie. Teraz był już prawie ciągły. To oznaczało, że albo atakują, albo szykują się do ataku. Ktokolwiek tam był - Lee i Jessica, a może nawet Gavin - mógł nie doczekać przyścia Homera. Nieustanny huk karabinów rozbrzmiewał mi w uszach. Wydawał się coraz głośniejszy, ale nie byłam pewna, czy wróg się zbliża. Odgłos wystrzałów tłumił wszystkie inne dźwięki i doznania. Chciałam, żeby ucichł. Czułam się jak operator młota pneumatycznego cierpiący na migrenę.

Pośród tego wszystkiego próbowałam myśleć. Czwórka moich przyjaciół częściowo osiągnęła cel: jeśli żołnierze planowali jakiś napad, to z pewnością musieli zrezygnować z tych zamiarów. Przynajmniej dzisiaj. Pozostawało nam jedynie sprawnie się wycofać, ale okoliczności sprzysięgły się przeciwko nam. Czy Homer i reszta zaplanowali odwrót? Może Jess czekała przy motorach, gotowa czym prędzej odjechać? Może nawet był z nią Gavin? Idealnie nadawałby się do takiej roboty. Specjalista od ucieczek.

Czy oni w ogóle wiedzieli, że Gavin tu jest? Czy Gavin tu był?

W ciemności mignął mi Homer, więc oddałam dwa strzały nad jego głową. Był prawie przy sąsiednich śmietnikach.

Szło mu całkiem nieźle, ale czułam, że za kilka sekund żołnierze, którzy wbiegli do centrum handlowego, zjawią się z powrotem.

W moim sercu trwały zawody w przeciąganiu liny. Podobno woda w obserwowanym czajniku nigdy się nie zagotuje. Dlatego nie chciałam się gapić na tamte śmietniki. Powstrzymywałam się całą siłą ciała i umysłu, pragnąc, żeby Homer zebrał pozostałych i wrócił. Nie chciałam też patrzeć w lewo i modliłam się, żeby i tam nie zjawił się wróg. Przesądnie myślałam, że jeśli będę tam patrzyła, przybiegnie jeszcze więcej żołnierzy. Mój umysł i moje ciało zmagaly się z potwornym stresem. Jeremy nadal był blady i jeszcze nie odezwał się słowem. Chyba obydwójce byliśmy w szoku pourazowym, ale trauma wciąż trwała. Nagle sobie o czymś przypomniałam i krzyknęłam do Jeremy'ego:

- Jest z wami Gavin?!

Przez chwilę się zastanawiał, nie wiedząc, kogo mam na myśli - pewnie nawet nie wiedział, kim jestem - a potem powiedział:

- Nie. A powinien?

Jęknęłam. Myślałam, że nie może być gorzej, a jednak było. Przynajmniej głos Jeremy'ego zabrzmiał mocniej, niż się spodziewałam.

- A powinien? - powtórzył.



Nie było czasu na wyjaśnienia. Strzały z prawej strony trochę się uspokoiły i teraz słyszałam tylko pojedyncze huki. Nie wiedziałam, czy to dobrze, ale uznałam, że raczej tak, bo najwidoczniej nie udało im się nas dopaść i nie mieli dobrej pozycji. Jednak nagle znowu dało się słyszeć terkotanie karabinów przypominające warkot samochodu jadącego na bardzo wysokich obrotach główną ulicą Stratton. Zobaczyłam dwóch żołnierzy wybiegających przez drzwi centrum handlowego. Szybko spojrzałam w prawo. O co tyle hałasu? Potem zauważyłam Jess, która zgrabnym zygzakiem biegła od śmietnika do śmietnika. „Szkoda, że te śmietniki nie mają kółek” - pomyślałam. Silniki do kompletu też by się przydały. Zastanawiałam się, czy w takim śmietniku bylibyśmy bezpieczni, czy kule mogą go przebić, czy raczej będą się od niego odbijały. Może odbiłyby się rykoszetem i uśmierciły ludzi, którzy do nas strzelają? Miło byłoby jechać sobie w śmietniku jak w czołgu i czuć się bezpiecznie.  $a + b + c = d$ . To algebra. Algebra naśladuje życie. Algebra to życie. A może życie naśladuje algebrę? a to śmietnik, b to toyota land cruiser stojąca jakieś piętnaście metrów dalej, po mojej lewej. Miała otwarte drzwi po stronie kierowcy, który porzucił samochód na początku strzelaniny. Prawdopodobnie. W środku było mnóstwo klamotów. Duże kartonowe pudła zajmowały tylną część, a także tylne siedzenie i miejsce pasażera. d było w tym równaniu możliwością, nadzieją, cieniem szansy.

I jeśli się nie myliłam, c mogło być łańcuchem leżącym obok drzwi żaluzjowych.

W dodatku toyota miała hak holowniczy.

Musicie zrozumieć, że w tej sytuacji zwyczajnie nie było innych opcji, więc gdy pomyślałam o tych trzech przedmiotach razem, wypaliły tak mocny ślad w mojej głowie, że nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Z prawej strony odcięto nam drogę, z tyłu mieliśmy centrum handlowe, teraz już pewnie pełne wrogich żołnierzy, a nie było szans, żebyśmy zdołali się przedrzeć przez rozległą pustynię parkingu po lewej, nie narażając się na opór i śmierć. Dlatego w tej sytuacji, widząc toyotę, śmietnik i łańcuch, byłam jak umierający na pustyni facet, który nagle dostrzega automat z napojami, gniazdko elektryczne i stosik monet. Nie mogłam się oprzeć obrazowi, który te trzy przedmioty utworzyły w mojej głowie.

Skoro nagle wszystko zaczęło występować trójkami, zrozumiałam, że mamy co najmniej trzy duże problemy. I to naprawdę duże. Na skali Richtera osiągnęłyby dziewiątkę. Kiedyś facet, który opróżnia moje śmietniki, powiedział, że każdy z nich waży sześćset kilo. Oczywiście nie miałam pojęcia, co jeszcze leży w takim śmietniku. Mógł być pełny kawałków betonu wyrzuconych przez jakiegoś budowlańca z sąsiedniego placu. Więc po pierwsze, śmietnik mógł być za ciężki.

Z drugiej strony, Toyota twierdzi, że jej pojazdy pociągną wszystko. Nawet słonia na

Mount Everest.

Poza tym obawiałam się, że kule mogą przebić stalową ściankę, zabijając wszystkich w środku po tysiakkroć. I trzecia sprawa: wiedziałam, że ten, kto okaże się na tyle głupi, żeby usiąść za kółkiem, będzie narażony na ogromne niebezpieczeństwo.

Z drugiej strony jedna osoba w samochodzie miała większe szanse niż pięć osób w samochodzie. Nie wiedziałam, co jest w kartonowych pudłach wypełniających toyotę. Jeśli zawierały balony na jakąś imprezę, niewiele by mi pomogły. Jeśli jednak były w nich poduszki, porcelanowe talerze albo telewizory, mogły posłużyć za zaporę przeciwogniową. Najlepsze byłyby książki. Och, marzyłam o tym, żeby to były książki. Zawsze lubiłam czytać, ale w tej chwili kochałam książki bardziej niż kiedykolwiek. Miałam nadzieję, że właściciel toyoty uwielbia je równie mocno.

Tak czy inaczej, siedząc za kółkiem toyoty, byłabym widoczna jak na dłoni. Snajper nie musiałby się wysilać, żeby we mnie trafić. Ani snajperka. Ani mały snajper. Ani nawet snajperzątko.

Co oznaczało d w moim równaniu? Na przekór małym szansom, na przekór nikłej nadziei, oznaczało ucieczkę, bezpieczeństwo, wydostanie się z tego parkingu, d potrzebowało czegoś więcej niż tylko a, b i c. Wymagało też przejezdnych dróg, braku pułapek, zasadzek i śmigających kul. To wszystko musiało jednak poczekać. Teraz liczyły się rozwiązania krótkoterminowe. Liczyło się to, co tu i teraz. Nigdy nie byłam dobra w takich grach jak szachy, gdzie należy wyprzedzać sytuację o pięć albo dziesięć ruchów. Z drugiej strony w rolnictwie robi się to bez przerwy, więc może się nie doceniam. Zresztą i tak nie miałam wpływu na to, co będzie później, bo na razie byłam na parkingu obok centrum handlowego.

- Oślaniaj Homera, zaraz wracam! - zawołałam do Jeremy'ego i pobiegłam w stronę drzwi żaluzjowych.

Niesienie łańcucha jest okropnie trudne. Ten był naprawdę ciężki. Nie miałam do czynienia z takimi drzwiami żaluzjowymi, w jakie wyposaża się garaże na przedmieściach. Te były drzwiami z prawdziwego zdarzenia. Ale nie tylko ciężar łańcucha sprawił mi kłopot. Niesiony łańcuch przypomina boa dusiciela. Ślizga się, przesuwa, wymyka z rąk i próbuje uciec, a kiedy już złapiesz jedną część, drugiej udaje się zwiać.

Złapałam tyle, ile dałam radę, i zaczęłam ciągnąć łańcuch w stronę śmietnika. Pociłam się jak bardzo wystraszona Świnia. Dwadzieścia, trzydzieści sekund później już prawie odchodziłam od żaluzjowych drzwi, pokonawszy pięć wspaniałych metrów. Wspaniale! W takim tempie mogłam dotrzeć do toyoty na Boże Narodzenie.

Zdesperowana spojrzałam w górę i o mało znowu nie upuściłam łańcucha. Na rampie

pojawiło się trzech żołnierzy. Stali w szeregu. Dziwne - wyglądali jak tancerze w teatrze. Ich ruchy wydawały się zsynchronizowane. I mieli na sobie mundury. Homerowi, Lee, Jeremyemu i Jess udało się zadrzeć z całą armią.

Zamarłam. W następnej chwili zagrzmiała za mną seria z karabinu. Kule z pewnością śmignęły obok mnie, ale byłam tak ogłuszona, że nawet ich nie usłyszałam. Jeden z żołnierzy poleciał do tyłu, w stronę magazynu, jakby dostał cios od mistrza świata wagi ciężkiej. Pozostali dwaj uciekli w mrok.

Odwróciłam się. Zobaczyłam Lee. Klęczał. Widocznie ukląkł na jedno kolano, żeby strzelić. Zanim zdążył wstać, powiedziałam:

- Takiego cię lubię.

Szybko się podniósł, choć wątpię, żeby mnie usłyszał - po hałasie, jakiego narobiły kule, nawet ja siebie żaluzjowymi, w jakie wyposaża się garaże na przedmieściach. Te były drzwiami z prawdziwego zdarzenia. Ale nie tylko ciężar łańcucha sprawił mi kłopot. Niesiony łańcuch przypomina boa dusiciela. Ślizga się, przesuwa, wymyka z rąk i próbuje uciec, a kiedy już złapiesz jedną część, drugiej udaje się zwiać.

Złapałam tyle, ile dałam radę, i zaczęłam ciągnąć łańcuch w stronę śmietnika. Pociałam się jak bardzo wystraszona Świnia. Dwadzieścia, trzydzieści sekund później już prawie odchodziłam od żaluzjowych drzwi, pokonawszy pięć wspaniałych metrów. Wspaniale! W takim tempie mogłam dotrzeć do toyoty na Boże Narodzenie.

Zdesperowana spojrzałam w górę i o mało znowu nie upuściłam łańcucha. Na rampie pojawiło się trzech żołnierzy. Stali w szeregu. Dziwne - wyglądali jak tancerze w teatrze. Ich ruchy wydawały się zsynchronizowane. I mieli na sobie mundury. Homerowi, Lee, Jeremyemu i Jess udało się zadrzeć z całą armią.

Zamarłam. W następnej chwili zagrzmiała za mną seria z karabinu. Kule z pewnością śmignęły obok mnie, ale byłam tak ogłuszona, że nawet ich nie usłyszałam. Jeden z żołnierzy poleciał do tyłu, w stronę magazynu, jakby dostał cios od mistrza świata wagi ciężkiej. Pozostali dwaj uciekli w mrok.

Odwróciłam się. Zobaczyłam Lee. Klęczał. Widocznie ukląkł na jedno kolano, żeby strzelić. Zanim zdążył wstać, powiedziałam:

- Takiego cię lubię.

Szybko się podniósł, choć wątpię, żeby mnie usłyszał - po hałasie, jakiego narobiły kule, nawet ja siebie nie słyszałam. Złapał pół łańcucha, który próbowałam wynieść. Nie zapytał, do czego go potrzebuję. Cały Lee. Można mu było zaufać - chyba że chodziło o dziewczyny. W obliczu dwóch osób boa dusiciel postanowił się poddać i kilka sekund później

znowu byliśmy za śmietnikiem.

Na szczęście pozostali też tam byli. Wszyscy oprócz Gavina. Jeremy, Jess i Homer. Czyli nasza sytuacja trochę się poprawiła. Moi przyjaciele byli bladzi. Próbowaliśmy się do siebie uśmiechnąć, ale okazało się to w zasadzie niemożliwe. Już wcześniej zauważyłam, że kiedy robi się naprawdę strasznie i niebezpiecznie, tracę zdolność uśmiechania się. To przez napięcie twarzy. Mięśnie zastygają i mam wrażenie, że jeśli spojrzę w lustro, zobaczę lśniąca różową skórę, jak u człowieka wracającego do siebie po poparzeniu. Taka twarz nie nadaje się do uśmiechów. U pozostałych było chyba podobnie. Uśmiechali się tylko oczami.

Poza tym sytuacja wcale nie była lepsza. Była wręcz znacznie gorsza. Na parkingu po lewej znów roiło się od zagrożeń. Zobaczyłam czterech facetów z karabinami. Zbliżali się do nas, biegnąc od samochodu do samochodu. W dodatku się rozproszyli, stając się bardzo trudnym celem. Nawet nie zadałam sobie trudu, żeby spojrzeć w prawo, bo wiedziałam, co tam zobaczę. Zostawiłam strzelanie pozostałym, a sama zaniósłam koniec łańcucha do haka u podstawy śmietnika.

Był tylko jeden hak, po lewej stronie. Kiedy podczepiłam do niego łańcuch, skinęłam do Lee, a potem w stronę haka holowniczego toyoty. Lee od razu zrozumiał, o co mi chodzi, i zaczął podczepiać drugi koniec. Uznałam, że im krótszy łańcuch, tym lepiej, bo będzie mniej zarzucało śmietnikiem. Mimo to pasażerów śmietnika czekała nieprzyjemna przejażdżka.

Nie byłam pewna, czy Lee do końca zrozumiał moje zamiary. Zawahał się, kiedy krzyknęłam:

- Właźcie do środka! Do środka!

Homer, Jess i Jeremy spojrzeli na mnie jak na wariatkę.

- Kule go nie przebiją! - zawołałam, biegnąc do drzwi po stronie kierowcy.

To było śmiałe oświadczenie, ale wiedziałam, że nawet jeśli się mylę, nigdy nie zobaczę ich oskarżycielskich min i do końca życia nie usłyszę ich oskarżycielskich słów, choć z pewnością będę je widywała i słyszała w koszmarach.

Uświadomiłam sobie, że zostawiłam strzelbę, i zawahałam się, nie wiedząc, czy po nią wrócić, i zastanawiając się, czy nikt nie potrzebuje większej zachęty, żeby wejść do śmietnika. Wtedy zobaczyłam, że Lee podnosi moją strzelbę. W tej samej chwili Homer wgramolił się do śmietnika. Zapowiadała się niezła jazda. Ale to był ich problem.

Wskoczyłam za kierownicę. Na widok kluczyków zrozumiałam, że był co najmniej jeden czynnik, którego zapomniałam uwzględnić w równaniu. Powinnam była dodać literę E oznaczającą kluczyki do land cruisera. Gdyby kierowca je zabrał, bylibyśmy ugotowani. Nie umiem uruchamiać samochodu, zwierając kable, i wątpię, żeby ktokolwiek z pozostałych to

potrafił. To jedna z tych małych perełek wiedzy, którą nie obdarzono nas w liceum w Wirrawee.

Uruchomiłam silnik. Obejrzałam się i zobaczyłam tylko Jeremy'ego i Lee. Ucieszyłam się, bo to oznaczało, że Homer i Jess są już w środku. Normalnie nie byłabym zbyt zachwycona, wiedząc, że Jess znajduje się w zamkniętej, ciemnej przestrzeni z Homerem albo z Lee, ale założyłam, że jeśli w śmietniku cokolwiek jest - oby nie kawałki betonu - to najprawdopodobniej gnijące owoce albo warzywa, zawartość koszy na śmieci z centrum handlowego albo przeterminowane kiełbaski z supermarketu.

Zresztą mieli ważniejsze sprawy na głowie. Podobnie jak ja. Zobaczyłam, że Jeremy wślizguje się do śmietnika. Wyglądało na to, że poleciał głową w dół. Potem znad krawędzi wychyliły się głowa i ramiona Homera. Widocznie znalazł coś, na czym można było stanąć - na przykład Jess - i wciągał do środka Lee, który odpychał się nogami, próbując znaleźć dla nich jakieś oparcie.

Tak, przyszła pora, żeby przetestować c z równania. Czy land cruiser uciągnie śmietnik?

Elementy a i b też czekała próba - i to ciężka. Algebra nie dopuszcza wątpliwości ani dwuznaczności. Albo  $x$  jest równe 1,7852801, albo nie. Tak samo było na tym parkingu. Albo śmietnik oprze się kulom, albo siedzący w nim ludzie zginą. Albo kierowca land cruisera uniknie kulki, albo nie i skaże pozostałych na śmierć. Albo land cruiser pociągnie śmietnik, albo będzie po nas.

Tu też nie było żadnych wątpliwości ani dwuznaczności.

Włączyłam napęd na cztery koła, zredukowałam przełożenie do biegu terenowego, przesunęłam drążek na L. Gdyby istniał przycisk „uruchomienie zaprzęgu wołów”, pewnie też bym go wcisnęła. Samochód miał automatyczną skrzynię biegów, więc niewiele więcej mogłam zrobić. Pozostało mi jedynie łagodnie ruszyć. Prawą nogą zaczęłam wciskać pedał gazu.

## Rozdział 7

Nadal niewiele słyszałam, ale kiedy napiął się łańcuch, poczułam ciężar. Od początku wyobrażałam sobie, jak łańcuch się prostuje, napręża, zaczyna drżeć i odskakuje od haka holowniczego, wyrywa hak przy śmietniku, całą ścianę śmietnika albo... pęka. Moje myśli zaczęły biec, szukając innych możliwości ucieczki, w razie gdyby łańcuch nie wytrzymał. Kompletnie nic nie przychodziło mi do głowy.

Śmietnik jakby drgnął, prawie jęknął. To usłyszałam bardzo wyraźnie. Poczułam, że uda mi się go przeciągnąć przynajmniej o kilka centymetrów. Gdybym tylko mogła nabrać trochę rozpędu! Holownik jest w stanie pociągnąć liniowca transoceanicznego, prawda? Te traktorki na lotniskach ciągnące odrzutowce musiały być wzorem dla projektantów land cruisera, prawda? Boże, dlaczego wymyśliłeś kółka i nie przyczepiłeś ich do wszystkich śmietników?

Powoli posuwaliśmy się naprzód. Mieliśmy szczęście, bo kula trafiła w prawą tylną szybę land cruisera. Nigdy więcej nie chciałam siedzieć w samochodzie, w którym pocisk rozwała szybę. To przerażające. Człowiek ma wrażenie, że w samochodzie coś wybuchło, jakby ktoś spuścił bombę. Między kartonami a oknem było wystarczająco miejsca, żeby huk wybrzmiał. Cokolwiek znajdowało się w tych pudłach, musiało jednak zatrzymać kulę, bo nie dotarła do drugiej szyby. Uznałam, że to całkiem pocieszające. Ale tak naprawdę skupiłam się na śmietniku i na tym, czy uda mi się go pociągnąć. Powoli zaczął się przesuwac i wreszcie nastąpiła ta magiczna chwila, kiedy czujesz, że coś ciągniesz, i wiesz, że nabierasz rozpędu, że wystartowałeś.

Niestety, nie poszło tak łatwo. Szybko zrozumiałam, że nie mogę liczyć na nic takiego jak siła rozpędu. Słyszałam stękanie silnika i znowu zaczęłam się zastanawiac, co było w śmietniku. Powiedzmy, że samochód jest wypakowany książkami, a śmietnik kawałkami betonu. Zabrakłoby nam benzyny, zanim dotarlibyśmy na skraj parkingu. Zaczęło mi jednak świtać, że nie chodzi tylko o wagę, ale też o asfalt. W środku upalnego dnia nie miałabym szans. Ugrzęźlibyśmy w asfaltowej zupie. Miałam okropne wrażenie, że śmietnik ryje w asfalcie i odsuwa go jak dłuto długą skręconą strużynę z kawałka drewna. Wyobraziłam sobie marszczący się asfalt, który rośnie i robi się coraz bardziej kleisty, aż w końcu nas zatrzymuje.

Te wszystkie myśli przebiegły mi przez głowę w kilka sekund, a przez cały czas na samochód sypał się grad pocisków. Robiły „bum, bum, bum” jak grad na blaszanym dachu,

tyle że dwadzieścia razy głośniej. Jak popcorn strzelający o pokrywkę patelni, tyle że tysiąc razy głośniej. Nabieraliśmy trochę prędkości, ale zastanawiałam się, jak długo wytrzyma sprzęgło. Jęk, napięcie, impas, „bum, bum, bum”, pchnięcie, stęknięcie, „bum, bum”, szarpnięcie. Każdy nerw w moim ciele był naprężony jak struna fortepianu. Gdyby ktoś mnie delikatnie trącił, na pewno wydałabym dźwięk.

Ale jedno się zmieniało. Na samochód nie sypało się już tak wiele kul. Miałam czas, żeby się nad tym zastanowić. Może Homer i reszta wystawili głowy ze śmietnika i zaczęli strzelać do żołnierzy? Miałam nadzieję, że tego nie robią, ale jednocześnie wiedziałam, że to może być konieczne, jeśli chcemy ocalić skórę. Problem w tym, że przez kartonowe pudła niczego nie widziałam we wstecznym lusterku, a boczne lusterka też nie obejmowały śmietnika. Niewykluczone, że był już naszpikowany kulami i moi przyjaciele nie żyli.

Może powinniśmy byli się poddać. Zabawne, ale wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

A może żołnierzom po prostu kończyły się naboje? Zużyli ich tysiące. Bóg mi świadkiem, że my też nie narzekaliśmy na ich nadmiar. Aż do teraz skupiałam się na kierownicy, drążku skrzyni biegów, pedale gazu i hamulcu. Chyba liczyłam na to, że w ten sposób zaczaruję samochód i skłonię go do poddania się mojej woli. Teraz zaczęłam się rozglądać, próbując jak najwięcej zobaczyć. To zadziwiające, ale poruszaliśmy się szybciej niż biegnący człowiek, choć skrzypienie, stukanie i szcęknięcie łańcucha i śmietnika sugerowały, że daleko tak nie zajedziemy. W oddali widziałam żołnierzy, ale tylko z lewej. Chyba trochę się od nich oddaliliśmy.

Było tylko jedno miejsce, które mogłam obrać za cel: droga gruntowa, którą widziałam już wcześniej, ta prowadząca na plac budowy. Nie miałam pojęcia, gdzie moi przyjaciele zostawili motory, ale droga gruntowa zdawała się prowadzić na bardziej odludne tereny. Asfaltowe drogi oferowały jedynie śmierć na przedmieściach oraz podróż, która wcześniej czy później zostałaby przerwana blokadą drogową, pojazdem opancerzonym albo kulą snajpera. Musiałam pojechać drogą gruntową.

Zdołałam się rozpędzić do jakichś czterdziestu, pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Z warkotem posuwaliśmy się naprzód.

Smutki białego dymu wydobywające się spod maski ostudziły mój optymizm. Zawsze należałam do ludzi, którzy wolą nie patrzeć na coś złego, żeby nie okazało się naprawdę złe. Mój tata wolał patrzeć. „Lepiej wiedzieć! - mówił. - Jeśli spojrzysz i okaże się, że jest dobrze, możesz przestać się martwić. Jeśli spojrzysz i okaże się, że faktycznie jest kiepsko, możesz spróbować temu zaradzić”.

Jakoś mnie nie kusiło, żeby się zatrzymać, wyjść z samochodu i zajrzeć pod maskę. Wiem jedno: dym zawsze oznacza kłopoty. Ale zmusiłam się do tego, żeby spojrzeć na kontrolki, i natychmiast pożałowałam tej decyzji. Nigdy wcześniej nie widziałam wskazówki termostatu na czerwonym polu. A już z pewnością nie widziałam, żeby dotarła na sam koniec, wyginając się jak cięciwa, z której za chwilę wyleci strzała. Zdarzało mi się wyprawiać z samochodami różne straszne rzeczy, ale nigdy nie zagotowałam silnika. Raz zrobiła to mama, ale ja nigdy.

Smużki dymu robiły się coraz szersze, upodabniając się do gęstych słupów. Miałam nadzieję, że właściciel samochodu wykupił dobre ubezpieczenie. Silnik zaczął się dławić i krztusić, jakby zamierzał zwymiotować. Mnie też było niedobrze. Mocniej wciskałam pedał gazu, ale i tak zwalnialiśmy. Całkiem jak w tym filmie o ściganym facecie w ciężarówce: próbuje wjechać pod górę, ale silnik odmawia mu posłuszeństwa. Jedyna różnica polegała na tym, że w filmie trwało to z dziesięć minut. A na parkingu jakieś czterdzieści pięć sekund. Nagle samochód zaczął dyszeć i umierać.

A my nadal byliśmy niedaleko skraju parkingu. Zaczęłam tracić nadzieję. Zastanawiałam się, czy uda nam się pokonać jeszcze kilka metrów toyotą, czy może lepiej byłoby zdać się na własne nogi. Zakładając, że ktokolwiek z moich przyjaciół ocalał i jest w stanie biec. Chyba właśnie dlatego się zatrzymałam. Nie mogłam znieść dłuższej niepewności. Musiałam zobaczyć, czy reszta żyje. Musiałam sprawdzić, czy mój pomysł i moja decyzja pozabijały ich, ocaliły czy może zrobiły coś pośredniego. Akurat w tej sytuacji lepiej było spojrzeć.

Oto garść historycznych ciekawostek. Kiedy armia Stanów Zjednoczonych przeprowadziła zwycięską inwazję na japońskiej wyspie Okinawa podczas drugiej wojny światowej, straciła blisko czterdzieści tysięcy żołnierzy. Ale ponad dwadzieścia sześć tysięcy żołnierzy trzeba było stamtąd ewakuować z powodu załamania nerwowego. Kiedy usłyszałam o tym od generała Finleya w Nowej Zelandii w czasie wojny, naprawdę byłam w szoku. Ale zanim wojna dobiegła końca, przestało mnie to dziwić.

Kiedy Homer, Lee, Jeremy i Jess zaczęli się gramolić ze śmietnika, pomyślałam: „Mój Boże, co ja im zrobiłam?”.

Byli rozczochrani, jakby ktoś ich poraził prądem, mieli napięte twarze, ale najbardziej wstrząsające okazały się ich oczy. Zastanawiałam się, jak długo jeszcze będą członkami Wyzwolenia. Czy po tej akcji Szkarłatny Pryszcz będzie miał z nich jeszcze jakiś pożytek? Na widok ich oczu przypominałam sobie krowę, którą wyciągnęłam ze stawu. Tak mocno ugrzęzła i była tak zmęczona, że chcąc ją uratować, dałam jej garść nielegalnych pigułek.



Kiedy dotarła na brzeg, miała źrenice wielkości frisbee.

Jeszcze bardziej niepokojące było to, że nie mogłam się zdecydować, czy ta czwórka bardziej przypomina wymęczoną krowę, która jeszcze nie dostała escstasy, czy może tę odurzoną, której już wcisnęłam pigułki do mordy.

Nie powinnam sobie z tego żartować, bo z ich perspektywy to nie było nic śmiesznego, i jestem pewna, że sama wyglądałabym o wiele gorzej, gdybym odbyła tę przejażdżkę razem z nimi. Ale wystarczył jeden rzut oka, żebym stwierdziła, że ściany śmietnika pozostały nietknięte. Były powgniatane i poobijane, odprysła z nich prawie cała farba, ale brakowało dziur po kulach. Poczulałam w piersi mały przypływ radości.

Przynajmniej wszyscy byli gotowi do biegu. Homer szybko się rozejrzył, żeby ocenić nasze położenie.

- Szybko! - wydyszał.

Ciężkim krokiem ruszył w stronę drogi gruntowej.

- Dokąd biegniemy?! - krzyknęłam do niego.

Obejrzał się i zrobił zaskoczona minę.

- Myślałem, że Jeremy ci powiedział.

- Jechałam we właściwym kierunku? - zapytałam, zadowolona z siebie.

Nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Przynajmniej odzyskałam strzelbę. Przez jakiś czas ustawienie toyoty i śmietnika osłaniało nas przed ostrzałem. Ale gdy tylko trochę się oddaliliśmy, znowu posypały się kule. Wymowałam ostatnie naboje, jakie znalazłam w kieszeniach, i wpychałam je do magazynka. Problem w tym, że jeśli robi się to za szybko, powstaje bałagan i naboje blokują się nawzajem. „Grunt to cierpliwość” - mawiał mój tata. I tak zostało mi mało amunicji. Wyjęciu ostatnich nabojów z kieszeni towarzyszy uczucie lekkości połączone z ulgą, bo strasznie dużo ważą. Ale z drugiej strony człowiek zaczyna panikować, bo kiedy je zużyje, naprawdę jest już zdany tylko na siebie.

## Rozdział 8

Mieliśmy szczęście, że wszyscy byli w stanie bieć. Nie jestem pewna, co zrobili amerykańscy żołnierze na Okinawie, kiedy załamali się psychicznie. Przypuszczam, że zwinęli się w kłębek, zaczęli płakać i nie mogli się ruszać ani mówić. A może wyrzucili broń i pobiegli na wroga z gołymi rękami, krzycząc na całe gardło? Albo ogarnięci ślełą paniką skoczyli do oceanu, rozpaczliwie pragnąc dopłynąć do Australii, na Hawaje albo do Kalifornii?

Mieliśmy szczęście, że żadne z nas nie było w takim stanie.

Gdy dopadliśmy do pierwszego muru, zrozumiałam, że biegniemy w stronę pięciodrzwiowego pikapa. Jakimś cudem udało im się go ukraść i pojazd już na nas czekał. Na pace miał beczki, chyba z benzyną, co - biorąc pod uwagę ceny paliwa - mogło oznaczać dodatkową korzyść. Homer wyjął kluczyki ukryte na przednim kole, rzucił mi je, a sam wsiadł od drugiej strony. Zająłem miejsce kierowcy. Jess i Lee wsiedli do tyłu po mojej stronie. Kiedy zobaczyłam, jak strasznie się trzęsą, mogłam tylko mieć nadzieję, że syndrom śmietnika nie potrwa długo.

Jeremy usiadł z przodu. Dygotał tak mocno, że aż podskakiwał na siedzeniu. Homer wyglądał niewiele lepiej.

Ruszyłam z piskiem opon, wzbijając w powietrze pył izwir za pikapem. Sama też dość mocno się trzęsłam, ale pomagało mi kurczowe trzymanie się kierownicy. Siedząca z tyłu Jess zawołała:

- Zapnijcie pasy!

To była dobra rada, a poza tym mi ulżyło, bo uznałam ten okrzyk za dowód, że Jess nie jest całkowicie oszołomiona. Zapięłam pas jedną ręką, dodając gazu w drodze na szczyt wzgórza.

Rozpędzanie się na pagórku to raczej kiepski pomysł. Na wiejskich potańcówkach w Wirrawee słyszałam wiele opowieści o czołowych zderzeniach, do których doszło dlatego, że ludzie z rozpędem wjeżdżali na wzgórze. Tych historii było tyle, że nie wiem, czy wszystkie są prawdziwe. Ale ogólnie rzecz biorąc, wiedziałam, że wjeżdżanie na wzgórze na pełnym gazie nie leży w niczyim interesie.

Tym razem uznałam jednak, że takie rozwiązanie jest nam na rękę. No i nie spodziewałam się spotkania z buldożerem. Na placu budowy panował bałagan, wszędzie wałały się materiały budowlane i stały jakieś pojazdy, więc chyba nie powinien był mnie

zdziwić widok buldożera zaparkowanego jak gdyby nigdy nic na środku drogi. To był normalnej wielkości buldożer, ale mnie wydał się mechanicznym tyranozaurom. Jess krzyknęła, a Jeremy wydał z siebie dźwięk, który w repertuarze faceta jest chyba najbardziej zbliżony do krzyku. Skręciłam kierownicą. Wpadliśmy w długi ślizg, w porównaniu z którym tamten pierwszy przypominał delikatne kroki tańca towarzyskiego. Bałam się, że w każdej chwili możemy zacząć koziółkować. O dziwo, nie zaczęliśmy. Jeśli Jeremy już wcześniej trochę się trząsł, to teraz zmagął się z wichurą o sile dziesięciu stopni.

Pojechaliśmy dalej.

Im bardziej oddalaliśmy się od placu budowy, tym mocniej zarośnięta była droga. Kierowaliśmy się w stronę pola, które wyglądało na teren wydzielony pod budownictwo mieszkaniowe. Nie było tu bram> więc przynajmniej z nimi nie mieliśmy kłopotu. Za to napotkaliśmy wiele innych problemów. W samym środku naszej wielkiej ucieczki przypominałam sobie o największym z nich.

- Widział ktoś z was Gavina? - zawołałam.

Odpowiedziały mi tylko warkot silnika i świst powietrza wpadającego przez opuszczone szyby. Poczułam rozpacz.

- Nikt?

- Ściga nas parę motorów - powiedział Lee.

Nie znosiłam go w takim wydaniu. Musiałam jednak uwzględnić tę informację. Motory. Trudniej je zgubić niż samochody. Są strasznie ruchliwe i ciężko je zatrzymać. To przypomina opędzanie się od komarów. Motory dają sobie radę na znacznie trudniejszym terenie niż samochody, mogą korzystać z innych szlaków.

- Gavin za nami pojechał? - zapytała Jess.

Pokochałam ją za tę troskę równie mocno, jak zniecierliłam Lee za jego bezdusność.

- Ile jest tych motorów? - zapytałam Lee. - Tak - odpowiedziałam Jess.

- Trzy - odparł Lee.

- To okropne - powiedziała Jess.

Pokochałam ją jeszcze mocniej. Potem zdałam sobie sprawę, że miała na myśli motory.

- Daleko są? - zapytałam.

- Niewystarczająco daleko - powiedział Homer.

- Jakież sto metrów za nami - dodał Lee.

Spojrzałam w boczne lusterko i zobaczyłam jeden z nich. Jasne, w lusterku wszystko

wyduje się bardziej oddalone, ale ten facet był naprawdę blisko. Bliżej niż sto metrów za nami. Jęknęłam, ale tylko w duchu. Na głos zakląłam. Ostatnio moje życie wydawało się pasmem problemów i przeważnie istniało tylko jedno rozwiązanie. Śmierć. Miałam okropne przeczucie, że ktoś tu zginie. Bo jak inaczej mogliśmy zatrzymać te komary na motorach? Zacisnęłam zęby, odsunęłam na bok wątpliwości i wspomnienia i postanowiłam, że nawet jeśli ktoś musi to przypłacić życiem, to nie dopuszczę do tego, żebym tym kimś była ja albo któreś z moich przyjaciół.

Tylko jak zatrzymać pościg? Nie umiałam prowadzić i jednocześnie myśleć. Jeśli prowadzisz i myślisz, jesteś cholernym kretyńcem. Nie, przesadzam. Ale mój mózg już i tak pracował na maksymalnych obrotach. Gdyby mu kazano dmuchnąć w balonik, stężenie myślenia przekroczyłoby normę. Jechałam w nocy z wyłączonymi światłami, omijając slalomem skały, koleiny, zwalone drzewa i rowy. Droga była coraz gorsza. Potem zauważyłam, że nagle zostawiliśmy motory w tyle. Zwiększyliśmy dystans. Wyglądało nawet na to, że zupełnie się zatrzymały. Czyżbyśmy naprawdę mieli aż tyle szczęścia? Nie, po chwili znów podjęły pościg. Ale byliśmy już o wiele dalej. Wiedziałam, że nasza przewaga nie potrwa długo, lecz i tak się z niej cieszyłam, bo dała nam kilka dodatkowych chwil życia, a w obliczu śmierci chwile stają się naprawdę ważne. Tak samo jak z pieniędzmi: gdyby ci został ostatni dolar, pewnie cenilibyś każdego centa.

O mało nie wypadłam z trasy i musiałam ostro odbić w lewo z nadzieją, że niewyraźna linia, którą widzę kątem oka, to nasza droga. Te nieutwardzone szlaki są strasznie zwodnicze. Słuchasz muzyki i podziwiasz widoki, a one biegną jak gdyby nigdy nic, aż nagle bez żadnej widocznej przyczyny zaczynają zanikać. Zanim się obejrzyysz, widzisz przed sobą zaledwie ścieżki udekorowane kangurzymi odchodami i króliczymi norami i nie możesz mieć pewności, czy w ogóle korzystają z nich ludzie. Wyglądają raczej jak szlaki zwierząt prowadzące do smaczniejszych kęp trawy. Po chwili milkną wszystkie stacje radiowe i zaczynasz się zastanawiać, gdzie się podziała cywilizacja.

Mimo to uznałam, że jadę drogą zrobioną przez człowieka. Wyglądało na to, że zmierzamy w stronę widocznej w oddali autostrady, na której panował zwykły ruch. Pokonaliśmy szczyt pagórka. Po drugiej stronie droga skręciła i zaczęła prowadzić w dół.

- To skały? - zawołał Lee.

- Chyba tak.

- Kiedy tam dojedziemy, hamuj. I bądź gotowa. Nie wysiadaj.

Wcześniej od czasu do czasu rozmawiał z Homerem, ale nie słyszałam, co mówią, i nawet nie próbowałam się dowiedzieć. Byłam zbyt zajęta ratowaniem nam życia. Jednak

dzięki doświadczeniom z czasów wojny wiedziałam, że jeśli ktoś taki jak Lee każe ci coś zrobić, kiedy jesteś w niebezpieczeństwie, to lepiej go posłuchać. W każdej innej sytuacji można go zignorować i pewnie dobrze się na tym wyjdzie.

Gdy tylko dotarliśmy do skał, gwałtownie się zatrzymałam. Już wiedziałam, dlaczego Lee kazał mi zahamować. Przez chwilę motory były poza zasięgiem naszego wzroku. Chłopaki wyskoczyły z samochodu. Pikap zakołysał się, kiedy któryś z nich wszedł na pakę. Usłyszałam szuranie beczki o metalową podłogę.

- Co oni wyrabiają? - zapytała nerwowo Jess.

Spojrzałam na nią, ale nie odpowiedziałam. Przynajmniej przestała się trząść. No, prawie. Skąd miałam wiedzieć, co oni wyrabiają? Wiedziałam tylko, że ma to coś wspólnego z beczkami z benzyną. Pikap znowu się zakołysał, kiedy Lee i Homer zeskoczyli z paki. Nagle poczułam się jakby lżejsza.

W oknie pokazała się twarz Lee.

- Ruszaj - powiedział. - Zatrzymaj się kawałek dalej, kiedy zrobimy swoje.

Kiedy robią swoje?

Lee odwrócił się do chłopaków i powiedział:

- Wy to rozlećcie, a ja podpalę. Lepiej, żebyśmy się nie pochlapali.

Gdy tylko dokończył zdanie, ruszyłam.

Kołysaliśmy się i podskakiwałyśmy, bo droga znów wiodła pod górę. Było ciężko. Dobrze, że Lee wziął pod uwagę każdy szczegół. Inaczej mógłby się zmienić w żywą pochodnię. Skręciłyśmy w prawo, nadal jadąc drogą. Znowu pokazały się motory. Jechały dość szybko, nadrabiając stracony czas. Nie widziałam chłopaków. Przy jednym z motorów pojawił się znajomy błysk. Ktoś strzelał. Więc nadal chcieli nas zabić. Oczywiście, nie było innego wyjścia. Nie mogli nas wziąć do niewoli. Byli za bardzo wystraszeni, żeby tego spróbować w środku nocy, po tym jak pokazaliśmy, że jesteśmy naprawdę niebezpieczni.

Nie do końca rozumiałam, jak Lee zamierza ich zatrzymać za pomocą niewielkiej ilości benzyny. Przecież motory mogły ominąć płonące beczki. To nic trudnego. Chłopaki nie zabrały nawet broni, więc nikt nie zamierzał zastrzelić motocyklistów, odwróciwszy ich uwagę płomieniami. Nagle zrozumiałam i krzyknęłam.

- Co? - zapytała wystraszona Jess.

Zatrzymałam pikapa i spojrzałam na wzgórze. Nie byłam pewna, czy Jess ma dobry widok. Ja widziałam całkiem sporo. Oczywiście to Lee zgłosił się na ochotnika do rzucenia zapalki. Tylko on mógł to zrobić. Ja nie.

Motory zbliżały się jak mała sfera. Rzeczywiście były trzy. Zauważyłam co najmniej

jednego pasażera na tylnym siodełku. Może zatrzymali się, żeby zabrać posiłki. Teraz już pewnie zdążyli zobaczyć, że samochód stanął na wzniesieniu. Jechali w zwartym szyku. Lee dobrze wybrał miejsce, a przecież miał na to niewiele czasu. Nachylenie terenu po obu stronach drogi zmusiło kierowców do zbiecia się w grupkę, a na widok skał musieli zwolnić.

Zastanawiałam się, czy wyczuli benzynę i czy mieli choć chwilę, żeby się nad tym zastanowić. Zapalili się powoli, a przynajmniej tak się wydawało. Oczywiście wszystko rozegrało się w ciągu sekundy. Kiedy to sobie przypominam, widzę coś w rodzaju filmu w zwolnionym tempie. Nie zauważyłam zapalki. Od razu ukazał się blask, niemal fosforyzujący. Unosił się jak tancerz, który wstaje, żeby zacząć przedstawienie. Dziwne, że coś tak potwornego może być takie piękne. Ogień rozlał się na trawie i prawie natychmiast dotarł do pierwszego motoru. Tam się zatrzymał. Wszystko jakby zawisło w powietrzu. Ten motor i motor jadący za nim wiozły pasażerów na tylnych siodełkach. Kierowca gwałtownie podniósł ręce, jakby pojazd przestał go obchodzić. Jakby pozwalał mu upaść, rzucając płomieniom siebie i pasażera. Nagle wszystkie trzy motory, wszystkich pięciu mężczyzn, zmieniło się w płonące posągi. Wyczucie czasu Lee było równie doskonałe jak jego wybór miejsca.

Odwrociłam się. Było mi niedobrze, nie mogłam na to dłużej patrzeć. Nawet mimo warkotu pikapa słyszałam krzyki. „Zemsta za Shannon” - pomyślałam, próbując nadać temu sens, sprawić, żeby stało się znośne. Wrzuciłam wsteczny, chcąc wrócić po chłopaków. Wystarczyło trzydzieści metrów i już byli przy samochodzie.

Tym razem mieli wystarczająco dużo oleju w głowie, żeby skorzystać z różnych drzwi: Jeremy i Homer z jednej strony, Lee z drugiej. Cuchnęli benzyną. Myślę, że potworność tego, co właśnie zrobili, wywołała u nich megaszok. Ale dzięki nim mieliśmy szansę uciec. Postawiłam nogę na podłodze. Dotarliśmy na szczyt wzniesienia. Droga stała się bardziej widoczna. W oddali znowu zobaczyłam autostradę i kilka jadących po niej samochodów. Jakie to dziwne, że tam toczyło się normalne życie, podczas gdy za nami miotali się płonący ludzie, którzy próbowali się ugasić. No cóż, może czasami wszyscy musimy być lisami i nie przejmować się losem swoich ofiar. Za to przez kilka minut przejmowałam się zapachem benzyny w samochodzie. Okropnie śmierdziało, nawet przy opuszczonych szybach i mimo że jechałam najszybciej, jak się odważyłam. Krzycząc do Jeremy ego, żeby opuścił szybę, użyłam słowa „okropny”, co wiele mówi o mnie, o moim języku albo o jednym i drugim, bo w tamtej chwili naprawdę okropne było coś zupełnie innego.

Przejechaliśmy przez dwie bramy i dotarliśmy do autostrady. Otwieraniem bram zajęła się Jess. Uznałam to za dobry znak, ale zaniepokoiłam się, kiedy próbowała zamknąć

pierwszą z nich. Boże, co za strata czasu! A może pomyślała, że dzięki temu opóźni pościg? W każdym razie chyba wszyscy wydarliśmy się na nią chórem. Wiedzieliśmy, że zanim pojawią się następni żołnierze, będziemy już na autostradzie. „Zawsze zamykaj za sobą bramy”. Jasne, zostawianie ich otwartych było wbrew zasadom. Ale dlaczego mieliśmy się przejmować bydlętem tych ludzi? Pewnie i tak ukradli je nam.

Kiedy człowiekowi uda się uciec, zawsze czuje się lżejszy. Jasne, to logiczne, ale prawie wszystkie ucieczki w czasie wojny miały w sobie jakąś lekkość i szybkość. Może ulga dodawała skrzydeł naszym stopom, wzbogacała paliwo w naszych gaźnikach. Kiedy zniknęły wszystkie samochody, po cichu wjechałam na autostradę - która w zasadzie nie była autostradą, tylko dość ruchliwą drogą - a potem przy pierwszej okazji odbiłam w lewo. Znaleźliśmy się na długiej prostej drodze prowadzącej mniej więcej w kierunku, który chcieliśmy obrać. Zjechałam na pobocze, otworzyłam drzwi i wysiadłam, mówiąc:

- No dobra, życzę wam miłej drogi do domu. Ja wracam po Gavina.

## Rozdział 9

W Jess najbardziej nie podoba mi się to, że chce, aby życie było wielkim dramatem z nią w roli głównej i próbuje wszystko podporządkować właśnie takiej wizji. Nie ma tragedii, widziałam gorsze przypadki, ale ostatecznie wszystko kręci się wokół niej. Steve też potrafił taki być - między innymi dlatego ze sobą zerwaliśmy - ale Jess jest jeszcze gorsza.

Znam się na tym, bo czasami też tak mam, co być może wyjaśnia, dlaczego Jess tak bardzo mnie wkurza.

Muszę przyznać, że moje wyjście z samochodu tamtego wieczoru to bardzo dobry przykład takiego zachowania. Wiedziałam, że muszę znaleźć Gavina, więc to nie były żadne fochy, ale wybierając taki sposób... Okej, dobra, wiedziałam, że po czymś takim moi przyjaciele nie pozostaną obojętni. Szczerze mówiąc, bardziej przypominało to scenę z filmu niż z prawdziwego życia. Pozostali chyba też o tym wiedzieli. Lee zasłonił twarz dłonią i jęknął, Jeremy powiedział: „Chyba żartujesz”, a Homer spojrzał mi prosto w oczy i dodał: „Mam propozycję: może po prostu nam zdradzisz, co się dzieje?”. Jess, ku mojemu zaskoczeniu, wysiadła z samochodu i podeszła do mnie. Nie wiem, co zamierzała zrobić, raczej nie planowała do mnie dołączyć, ale z pewnością nie uciekła.

Poczułam, że nie byłam wobec nich w porządku. Trochę się skrzywiłam i przeprosiłam. Dopiero po chwili wykombinowałam, jak im to wszystko wytłumaczyć. Tyle się wydarzyło, że prawie zapomniałam o Gavinie, a tym bardziej o jego postępkach. Zmuszając umysł, żeby sięgnął kilka godzin wstecz, czułam się tak, jakbym wyruszyła w podróż do miejsca oddalonego o tysiące kilometrów. To było naprawdę męczące i wcale tego nie potrzebowałam - wystarczyło mi zmęczenie, przez które czułam się sflaczała i słaba. Ale jakimś cudem pokonałam te tysiące kilometrów, wszystko sobie przypomniałam i powiedziałam:

- Gavin zniknął, zanim ode mnie wyjechaliście. Zabrał motor, zaczął się gdzieś na polach i ruszył za wami. Zgubiłam jego ślad niedaleko granicy. Ale zabrał śrutówkę.

- Może pojechał zapolować na króliki? - podsunęła Jess.

Przecząco pokręciłam głową.

- Może już jest w domu? - powiedział Jeremy.

- Gdybyście znali Gavina... - zaczął Homer. - Ujmijmy to tak: pamiętacie tego japońskiego żołnierza, którego znaleźli w dżungli czterdzieści lat po zakończeniu drugiej wojny światowej? Tego, który nadal walczył?



Nie pamiętałam go, ale domyśliłam się, co chce powiedzieć Homer. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Problem w tym, że w takiej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, nie można siedzieć i dyskutować. W końcu zrobiłam coś, co nie zdarza mi się zbyt często.

- Jak myślisz, co powinnam zrobić? - zapytałam Lee.

Lekko uniósł brwi, co było jego odpowiednikiem histerycznego śmiechu. Chyba po raz pierwszy w życiu poprosiłam go wprost o radę w prywatnej sprawie. Bo to była dla mnie prywatna sprawa.

- Nie wiem - powiedział. - On może być wszędzie. Mówimy o obszarze liczącym z tysiąc kilometrów kwadratowych. To jak szukanie konkretnego ziarnka piasku na plaży. Jak zauważył Jeremy, Gavin może już być w domu. Chyba powinnaś zacząć szukać właśnie tam. Jeśli nadal go nie będzie, możemy spróbować zdobyć jakieś informacje za pośrednictwem Szkarłatnego Pryszcza albo Wyzwolenia.

Lee był sprytny. Znalazł powód, żeby mnie ściągnąć do domu. A nawet dwa powody. Gavin rzeczywiście mógł już tam być, a nawet jeśli nie, w domu prawdopodobnie miałam większe szanse na odnalezienie go, niż gdybym zaczęła przeczesywać pola.

Wsiadłam z powrotem do pikapa. Jess też.

Kiedy ruszyliśmy, z jakiegoś powodu poczułam, że wcale się nie boję. Po tym, przez co przeszliśmy, i biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo, które nadal nam groziło, taka odwaga wydaje się trochę śmieszna, ale myślałam tylko o Gavinie i dzięki temu zapomniałam o strachu. Poza tym po zwycięskiej bitwie pod palmą kokosową chyba poczułam się niezwyciężona. Wydostaliśmy się z prawie beznadziejnej sytuacji, więc uznałam, że Bóg nie będzie tak okrutny i nie pozwoli, żeby nas złapał jakiś ogrodnik po pracy uzbrojony w nożyce do żywopłotu.

Mieliśmy jednak poważniejszych przeciwników niż ogrodnicy po pracy. Postąpiliśmy głupio, zatrzymując się i tak długo rozmawiając. No tak, to ja postąpiłam głupio, ale reszta okazała się na tyle uprzejma, by mi tego nie wytknąć. Szczerze mówiąc, prawdopodobnie nie doceniłam wroga. Całkiem jak podczas tych meczów netballu, kiedy Robyn była kapitanem drużyny. Wirrawee uchodziło za netballową potęgę i nierzadko wygrywałyśmy przewagą czterdziestu punktów. W pewnym sezonie, w piątej klasie, wygrałyśmy wszystkie mecze co najmniej dwudziestoma pięcioma punktami. Ale w szóstej i siódmej klasie nabrałyśmy brzydkich zwyczajów. Mówiąc konkretniej, w prawie każdym meczu zdobywałyśmy dużą przewagę w pierwszej połowie, a potem albo przegrywałyśmy w drugiej, albo grałyśmy naprawdę nierówno. Przyplącałyśmy to kilkoma porażkami. A Robyn o mało nie zwariowała. Och, te jej przemowy w przerwie! Och, te jej miotane bez przerwy oskarżenia!

Tamtej nocy Robyn na pewno by się nam przydała. Przydałaby nam się w każdej chwili. Ale zwłaszcza tamtej nocy, bo dobrze by nam zrobiło przypomnienie o meczach netballu i o szkodliwości nadmiernego wyluzowania, spoczywania na laurach.

Mniej więcej kilometr dalej zaczęliśmy wjeżdżać pod górkę. Homer odwrócił się i powiedział:

- Wiecie co, słyszę jakieś dziwne bzyczenie.
- Boże - przeraził się Jeremey. - Masz rację.
- Co się dzieje? - zapytałam, myśląc, że powinnam się skupić na prowadzeniu.
- Helikoptery - powiedział Homer.

Jechałam z włączonymi światłami, bo uznałam, że powinniśmy wyglądać jak zwyczajny samochód na drodze, ale Lee powiedział:

- Lepiej wyłącz światła.

Natychmiast to zrobiłam i prawie natychmiast odezwał się Homer:

- To chyba błąd - powiedział cicho.

Nie ufałam mu, kiedy mówił tak cicho. Zwalniałam najszybciej, jak się dało, bez używania hamulców, bo wiedziałam, jak jasno świecą światła hamowania. Odbijałam w lewo, ale kiedy usłyszałam słowa Homera, podskoczyłam, lekko zaciągnęłam hamulec ręczny i zjechałam jeszcze bardziej w lewo, szukając schronienia wśród kilku rozwichrzonych drzew przy drodze. Nagle siedzący z tyłu Homer wrzasnął tak głośno, że znowu podskoczyłam, ale tym razem tak wysoko, jakby w tyłku wybuchła mi petarda.

- Jedź!

Wcisnęłam pedał gazu. Ruszyliśmy, wzbijając w powietrze żwir i pył. Tyłem pikapa zaczęło gwałtownie zarzucać. Podczas wojny często musiałam prowadzić nocą bez świateł, w zupełnej ciemności. To było przerażające, ale na szczęście zazwyczaj świecił księżyc. Tym razem też świecił, choć niezbyt mocno, ale w tej chwili przysłoniły go chmury, a moje oczy nie miały czasu przywyknąć do ciemności. Jeśli masz wystarczająco dużo czasu, istnieje szansa, że twoje oczy się przyzwyczają i nie zabijesz się na pierwszych stu metrach. Jednak tym razem nagle spowiła mnie głęboka ciemność, moje oczy nadal pracowały w trybie „ze światłami”, a ja nie miałam pojęcia, przed czym właściwie uciekam, i słyszałam pobrzękujące mi w uszach słowo „helikopter”.

Jess zaczęła krzyczeć, rozmyśliła się, zacharczała i powiedziała:

- O Boże.

A potem jednak krzyknęła.

Doganiał nas szumiący i wyjący helikopter.

Nie ma nic bardziej przerażającego niż ścigający cię helikopter. Ten wydawał się mały, ale to tylko zwiększało jego zwrotność. Zanurkował nad nami jak sroka, wzbijając w powietrze jeszcze więcej pyłu i żwiru. Byłam na jezdni, ale nie miałam pojęcia, dokąd ona prowadzi, a światła helikoptera znowu mnie oślepiły. Wtedy pilot włączył reflektor, który na chwilę oświetlił drogę, i zobaczyłam, że jedziemy w stronę drzew. Droga odbijała w lewo szerokim łukiem. Skręciłam kierownicą i też odbiliśmy w lewo, ale ledwo zdążyłam. Znaleźliśmy się na żwirowym poboczu i niska gałąź smagnęła przednią szybę. Światło reflektora przesunęło się w naszą stronę i na chwilę się zatrzymało. Wreszcie widziałam, dokąd jadę, ale nie byłam pewna, czy to dobrze, czy źle, bo choć zrobiło się jaśniej, blask reflektora mnie oślepiał. A z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa na pewno nie była to zaleta.

Przez jakiś głośnik w helikopterze krzyknął do nas czyjś głos.

- O Boże, to Bóg! - zwołał Homer z tylnego siedzenia.

Właściwie wydawał się całkiem zadowolony, ale chyba nawet Homer nie jest aż tak głupi.

- Jak to możliwe, że nie mówi po angielsku? - zapytał Jeremy.

Zachciało im się kabaretu! Jeśli myśleli, że mi tym pomogą, to grubo się pomylili, ale nie było czasu im tego wyjaśniać. Światło reflektora podskakiwało i kołysało się, bo operator tego sprzętu musiał nadążać i za pilotem, i za mną, więc chwilami widziałam drogę, a chwilami nie. Kiedy reflektor nas oświetlał, przypominał żywą istotę: przestawał być jedynie światłem i upodabniał się do oślepiającego białego smoka, który atakuje z ciemności. Gdy widziałam kawałek drogi, przyspieszałam, a gdy docierałam do końca widocznego kawałka - albo tak mi się wydawało - wciskałam hamulec. To była ostra jazda dla moich pasażerów. Na szczęście nie wieźliśmy na pace Marmie, która siedziałaby tam na pewno, gdybym robiła objazd swoich pastwisk. Spadłaby po piętnastu metrach.

Głos z helikoptera wykrzykiwał różne rzeczy, ale nie zrozumieliśmy ani słowa oprócz „stop” powtórnego z sześć razy, kiedy pokonywaliśmy ostry zakręt. Potem reflektor zgasł. Boże, co za chwila. Tak mocno ścisnęło mnie w żołądku, że o mało nie zwymiotowałam. Musiałam wdepnąć hamulec: nie pozostawało mi nic innego. Wcisnęłam go dość mocno, bo nie miałam pojęcia, czy nadal jesteśmy na drodze. Gdybyśmy mieli czas na głosowanie, zapięcie pasów zostałoby chyba jednomyślnie uznane za wspaniały pomysł. Włączyłam światła. Przed nami rósł rząd twardych eukaliptusów. Wycofałam, skręciłam i spojrzałam na drogę. Wyglądała podejrzanie - jeszcze więcej zakrętów. Ale być może to właśnie one i drzewa zmusiły helikopter do lekkiego oddalenia się. Zastanawiałam się, dlaczego wyłączyli

reflektor. Czyżby uznali, że za bardzo nam pomaga?

Pędem pokonaliśmy dwa następne zakręty. Jechałam właściwie wyłącznie na pamięć. Jess wyrwał się piskliwy krzyk, kiedy jakaś gałąź huknęła w samochód po jej stronie. Znowu włączyłam światła. Zobaczyłam prosty odcinek drogi. Dobrze. Gaz do dechy. Pędziliśmy przez ciemność jak szaleni, w samochodzie hulał wiatr, czułam totalny obłąd, jakbyśmy jechali skrajem urwiska z prędkością stu kilometrów na godzinę. Nie żebyśmy gnali aż tak szybko. Mieliśmy na liczniku raczej osiemdziesiąt kilometrów. No, może dziewięćdziesiąt.

Oczyma duszy zobaczyłam królika uciekającego przed jastrzębiem po płaskiej, gołej ziemi. Wszystko sprowadza się do prostych zawodów, w których liczy się szybkość. Czy królik zdąży ukryć się w zaroślach, zanim jastrząb go dopadnie? Królik mknie po ziemi, złożywszy uszy po sobie, a jastrząb rozwija prędkość, pędząc nad polem. To trójkąt prostokątny i jastrząb frunie po przeciwprostokątnej.

Helikopter ma pewną przewagę. Nie musi po ciebie sięgnąć, by złapać cię ostrym okrutnym dziobem. Ma kule, które pokonają dzielącą was przestrzeń. Gdy za nami znów rozległ się jego warkot, prawie natychmiast usłyszeliśmy strzały. W lusterkach zobaczyłam światła - nie reflektora, tylko nawigacji - którym towarzyszyły świetliste, kolorowe płomienie.

- Strzelają! - zawołałam.

Choć przecież nikt nie był w stanie nic na to poradzić.

Jechałam prosto. Dzięki doświadczeniom zebranym na wojnie - i podczas polowań na króliki - wiedziałam, że jeszcze przez chwilę będziemy bezpieczni. Trudno trafić w taki cel jak my z helikoptera, który kołysze się, hušta i próbuje do nas wymierzyć. Ale wyglądało na to, że facet korzysta z jakiegoś nowego sprzętu, jest świetnym strzelcem albo zwyczajnie ma szczęście. Kule wydarły w pikapie dziury, jakby olbrzymi metalowy dziurkacz nagle wybił nierówny rząd od tyłu do przodu karoserii. Jak na ironię, okazało się, że doskonały strzelec nikogo z nas nie trafił. Linia przeszła przez środek. Lee i Jess wcisnęli się w jeden kąt - Jess próbowała przytrzymać karabin, żeby Lee mógł oddać kilka strzałów - a Homer przywarł do drugiej strony i też miał nadzieję postrzelać. Dziury po kulach przypominały szew chirurgiczny. Gdyby przeszły jakieś pół metra dalej, dosięgłyby przynajmniej dwoje z nas. To się nazywa pech, co? Oczywiście z perspektywy strzelającego. My mieliśmy podwójny fart, bo nie tylko chybił, ale w żaden sposób nie uszkodził silnika. Samochód nawet nie czknął.

Przez chwilę myślałam, że jakimś cudem ocalały nawet szyby, ale wtedy tylna zapadła się z okropnym trzaskiem, a sekundę później w geście solidarności dołączyła do niej przednia. Jestem pewna, że w przednią szybę nie trafiła żadna kula. To chyba miało coś wspólnego ze

zmianą ciśnienia w kabinie po stłuczeniu tylnej szyby. Firma Windscreens O'Brian byłaby zachwycona moimi dokonaniem, gdyby miała filię po tej stronie granicy. Obiecałam sobie, że nikomu więcej nie pozwolę rozwałać szyb w moich samochodach. Ale ta obietnica nie wytrzymała próby czasu.

Jedynym dobrym skutkiem wojny było chyba to, że nauczyliśmy się nie panikować w sytuacjach, w których da się tego uniknąć, ale muszę przyznać, że tym razem mało nam brakowało. Zresztą i tak nie jestem pewna, czy moja teoria jest słuszna, bo Jeremy i Jess spędzili wojnę w całkiem miłej atmosferze, a teraz też nie panikowali. Myślałam tylko: „Popanikuję sobie później, ale teraz musimy się stąd wydostać”.

- Okej - zawołałam przez lewe ramię - jeśli zahamuję, wytoczcie się i spróbujcie do niego strzelić, kiedy będzie nad nami przelatywał!

Chyba usłyszałam, jak Homer mówi: „Okej”, choć sekundę później zdałam sobie sprawę, że to mogło być: „O nie”. Hałas był tak wielki, że szkodził moim uszom. Musiałam mieć nadzieję, że to jednak było: „Okej”, więc krzyknęłam: „Trzymajcie się!”, i z całej siły - naprawdę z całej siły - cisnęłam hamulec. Oprócz tego zaciągnęłam ręczny i na dokładkę przesunęłam drążek skrzyni biegów na L. Pikap praktycznie stanął na przednim zderzaku. „Hmm, niezłe hamulce - pomyślałam - muszę zapamiętać, żeby napisać do Toyoty”. Nie zdziwiłabym się, gdybyśmy zaczęli koziołkować do przodu. Chłopaki chyba już otworzyły drzwi, ale zatrzymaliśmy się tak gwałtownie, że zamiast wysiąść z gracją, zwyczajnie wypadli. Całe szczęście, że nie wystrzeliły im karabiny.

W pewnym sensie wyszło nam to pięknie, bo po chwili helikopter przeleciał tuż nad nami, prawie szorując podwoziem po ziemi. Gdybyśmy słuchali radia, pewnie skosiłby antenę. No dobra, trochę przesadzam, ale leciał naprawdę nisko. Gdybym nie zahamowała, pewnie byłoby już po nas, więc w tym sensie wyszło nam to pięknie. W innym sensie wcale nie było tak kolorowo, bo choć Homerowi i Lee udało się oddać kilka strzałów, nie zdążyli dobrze wymierzyć i kule nawet nie drasnęły śmigłowca.

Wpakowali się z powrotem do samochodu i delikatnie ruszyłam. Helikopter znów rzucał wystarczająco dużo światła, żebym widziała następny kawałek drogi. Biegła dość prosto, kilkaset metrów dalej zaczynał się lekki zakręt w prawo. Helikopter zawracał i szykował się do następnej rundy. Przynajmniej zyskałam trochę czasu. Próbowałam jechać szybciej, ale przeważnie sunęliśmy zygzakami, bo po pierwsze, nie wiedziałam, którą drogą biegnie droga, a po drugie, jeśli już wiedziałam, nie chciałam, żeby nas zastrzelili.

- Gdzie on jest? - zawołałam przez ramię do Homera.

- Znowu atakuje. Od tyłu.

- Jakieś pomysły?

- W tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy.

To wszystko brzmi jak spokojna inteligentna rozmowa, ale toczyła się urywanymi fragmentami, bo ciągle zwalniałam, przyspieszałam, odbijałam w bok, prawie się zatrzymywałam i jechałam zygzakiem. Nie mam pojęcia, jak uniknęliśmy choroby lokomocyjnej.

- Nadlatuje! - krzyknęła Jess. - Boże, ale jazda!

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. To znaczy tak naprawdę wcale na nią nie spojrzałam - zrobiłam to tylko w wyobraźni. Kończyły mi się pomysły. Nie planowałam tego zrobić, ale w ostatniej sekundzie zrobiła to moja stopa. Widocznie instynktownie wyczułam, że to dobre rozwiązanie. Dałam gaz do dechy. Pikap przez chwilę się wahał, a potem wystartował. Pikapy nie mają takiego przyspieszenia jak porsche, ale ta maszyna wyrwała do przodu całkiem szybko. A to oznaczało, że nagle zaczęliśmy pędzić na mur ciemności. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, że mam światła, następna chwila upłynęła mi na zastanawianiu się, czy powinnam ich użyć, a kolejna na szukaniu włącznika. I chyba zanim w końcu rozbłysły, minęło jeszcze z ćwierć sekundy.

Jeśli mam zachować ściśle matematyczne podejście, powinnam dodać kilka jednostek czasu na zauważenie zbliżającego się ogrodzenia i kilka kolejnych na uaktywnienie się moich odruchów. Kiedy panikujesz, odruchy działają wolniej, bo są sparaliżowane. Byliśmy już spory kawałek od drogi - i chyba kawałek nad ziemią - więc choć wreszcie zaczęłam skręcać, było już stanowczo za późno. Jess wrzasnęła jak Courtney, kiedy po raz pierwszy dostała okres. Chyba już nie była zachwycona tą „jazdą”. Uderzyliśmy w płot. „Nie potrzebujemy helikoptera, żeby zginąć - pomyślałam. - Sama oto zadbam”. W mojej głowie pojawił się wyraźny obraz Chrisa.

Ogrodzenie nie było wielkie, ale całkiem niezłe. Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby niedawno wzmocniono je drutem kolczastym. Farmer wiedział, że płot nie jest najnowszy, ale widocznie nie był gotów go naprawić. Wjechaliśmy na tę konstrukcję praktycznie przodem, bo nie zdążyłam skręcić, i wpadliśmy na jakieś pole, ciągnąc za sobą mnóstwo drutu, drążków i parę słupków.

Mocno podskakiwaliśmy na dość wyboistym gruncie. Szybko wyłączyłam światła. Zdążyłam zobaczyć tylko tyle, że pastwisko jest dość szerokie i długie. Miałam pole manewru, ale byłam pewna, że jeśli napotkam na swojej drodze typową ilość bydła, pni, koryt, króliczych kolonii i innych niebezpieczeństw, znajdę mnóstwo okazji do wpakowania się w tarapaty. Dogoniło nas światło helikoptera, więc gwałtownie odbiłam w lewo, a potem

w prawo. Znowu mrugnęłam światłami, żeby zobaczyć, co mnie czeka, ale również po to, żeby odwrócić uwagę pościgu. Gdy gasły, wydało mi się, że coś zauważyłam. Jasne, że coś zauważyłam. Na przykład trawę. Ale było coś jeszcze. Przez chwilę konałam z niezdecydowania. Ostatecznie uznałam, że nie mogę ryzykować ponownego włączenia świateł. Musiałam zaufać swojej ocenie i założyć, że widziałam to, co wydawało mi się, że widzę.

## Rozdział 10

Kule zabębniły o samochód. W ciemności nic nie widziałam, ale pomimo hałasu usłyszałam ten dźwięk. Samochód zadrżał i dwa razy coś walnęło w dach. Skuliłam się i znowu przyspieszyłam. Na tylnym siedzeniu ktoś zaklął i usłyszałam, jak Jeremy pyta:

- Oberwałeś?

- Nie - powiedział Homer. - Nie do wiary, że spudłowali.

Nadal myślałam o tym, co zobaczyłam w oddali, kiedy mignęłam światłami. To był tylko ułamek sekundy. Zauważyłam olbrzymie słupy wysokiego napięcia, te, które maszerują przez kraj jak ogromni żołnierze. Jeśli to nie było przywidzenie, jeśli pilot ich nie widział, jeśli jakimś sposobem uda mi się go na nie naprowadzić... No, ujmijmy to tak: w przeciwnym razie nie było dla nas nadziei.

Musiałam odwrócić role. Musiałam stać się lisem i skłonić kurę, żeby zrobiła to, co chcę. Musiałam sprawić, żeby pilot skupił się na nas i nie zauważył kabli. Zakładając, że kable w ogóle tam były. Miałam poważne wątpliwości. W nocy widać niestworzone rzeczy - być może patrzyłam na wielki eukaliptus. Albo na olbrzymiego kangura.

Nie mogłam znowu włączyć świateł, bo jeśli słup wysokiego napięcia rzeczywiście tam stał, tylko bym go oświetliła. Opierając się na tym, co zobaczyłam, uznałam, że od słupa dzieliło mnie jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów, ale od tamtej pory zdążyliśmy pokonać mniej więcej połowę tej odległości. Więc byliśmy już całkiem blisko.

Helikopter zrobił duży przechył i zbliżał się od prawej strony. Odbiłam w lewo i jednocześnie zawołałam do Homera:

- Zatrzymam się, a ty i Lee wyskoczcie i pobiegnijcie tam, skąd przyjechaliśmy!

Chciałam odwrócić uwagę pilota, dać mu kolejne zajęcie. Podejrzywałam, że nadal będzie leciał za samochodem, ale postara się mieć chłopaków na oku, będzie się zastanawiał, co jest grane, będzie próbował zgadnąć, dokąd biegną, i dzięki temu cała jego uwaga skupi się na lewej stronie.

Dość mocno wcisnęłam hamulec. Kiedy drzwi się otworzyły, dudniący helikopter zbliżył się jeszcze bardziej. Był tak blisko, robił tyle hałasu i wyglądał tak groźnie, że czułam się ogłuszona. Samochód zakołysał się od podmuchu powietrza. Usłyszałam kolejne strzały, ale facet chyba zupełnie spudłował, pewnie dlatego, że tak niespodziewanie się zatrzymałam.

Dałam chłopakom tylko sekundę, a potem znowu ruszyłam. Musiałam pokazać pilotowi, że samochód jedzie dale), że go nie porzuciliśmy. Chciałam, żebyśmy pozostali jego



głównym celem. Zaczęłam zawracać szerokim łukiem, mając nadzieję, że dobrze oceniłam odległość. Jeśli słupy wysokiego napięcia były sto metrów dalej, moje starania na nic by się nie zdały. I nie dostałabym drugiej szansy.

Okazało się, że słup był bliżej, niż sądziłam, i wyrósł przede mną tak niespodziewanie, że obie z Jess krzyknęłyśmy. Wyglądał jak olbrzymi robot stojący na polu. Gość z innej rzeczywistości, z jakiegoś odległego wszechświata. Musiałam skrócić w drugą stronę, żeby go ominąć, i mniej więcej w tej samej chwili helikopter wleciał na kable. Gdybyśmy wjechały na słup, pewnie poraziłby nas prąd.

Nagle na ciemnym i pustym polu odbyły się Dzień Guya Fawkesa, Święto Niepodległości, Dzień Australii oraz ceremonie otwarcia i zakończenia olimpiady w jednym. Helikopter zmienił się w świetliste, oślepiające kwiaty. Zobaczyłam co najmniej sześć kul ognia, lecących dość powoli, każda w inną stronę. Z kabli sypało się tyle iskier, że wyglądały jak wodospad Niagara z płomieni. Wnętrze helikoptera rozblysło i przez chwilę widziałam wszystkich i wszystko w środku. Trzech mężczyzn, każdy w innej pozycji, zajaśniało od ognia i iskier.

Helikopter spadł, pokonując małą odległość dzielącą go od ziemi. Byliśmy jakieś osiemdziesiąt metrów dalej i teraz znów widziałam go po prawej stronie, bo zdążyłam skrócić. Zobaczyłam eksplozję. Usłyszałam ją i poczułam drzenie ziemi, samochodem wstrząsnął potężny podmuch, posypały się na nas słupy ognia, a po chwili odniosłam wrażenie, że unoszę się i przewracam, jakby samochód złapała jakaś olbrzymia ręka. Nagle spojrzałam na Jeremy ego z góry, jakbym wisiała wysoko nad nim.

Oczywiście wcale nie wisiałam wysoko, dzieliła nas taka sama odległość jak przed chwilą, tyle że w nietypowej aranżacji. Po raz kolejny pomogły nam stare dobre pasy bezpieczeństwa. Dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że samochód przewrócił się na bok. Niewiele widziałam z tego, co działo się na zewnątrz, ale obok pikapa nadal śmigwały ogniste odłamki, a jakieś dwadzieścia metrów dalej paliła się trawa.

Poświęciłam chwilę i pomyślałam o Homerze i Lee. Nie miałam pojęcia, że zgotuję im takie piekło, i miałam nadzieję, że przeżyli. Tylko czy to w ogóle możliwe? Wokół świszczalo i gwizdało. Zrozumiałam, że to kawałki metalowych części helikoptera przelatują obok nas jak pociski.

Kiedy wszyscy troje wygramoliliśmy się z pikapa, przedstawienie właściwie się skończyło. W czterech oddalonych od siebie miejscach płonęła trawa, a helikopter trawiły jaskrawe płomienie, nad którymi unosił się czarny dym. Najwidoczniej śmigłowiec miał mnóstwo plastikowych i trujących części. Nie było sensu sprawdzać, czy ktoś przeżył.

Pasażerowie nie mieli szans. A kiedy o nich myślałam, nadbiegli Homer i Lee.

Chyba obydwaj wpadli w coś w rodzaju hysterii. Śmiali się i paplali, tyle że nie w normalny sposób. Zastanawiałam się, czy ich nie spoliczkować. Często miewałam na to ochotę, ale nawet w tych okolicznościach obawiałam się, że coś takiego może się dla mnie źle skończyć. Uświadomiłam sobie, że sama zachowuję się trochę jak histeryczka, bo paplałam razem z nimi. Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy byliśmy roztrzęsieni i przerażeni. Marzyłam jedynie o tym, żeby się stąd wynieść, zanim nadciągną ekipy ratunkowe.

Spojrzałam na pikapa i zaczęłam się zastanawiać, czy udałoby nam się go postawić z powrotem na kołach. Nie miałam pojęcia, jak to zrobić, bo nie wzięliśmy ze sobą ani lin, ani łańcucha. Homer zaczął krzyżeć: „Szybciej, wynośmy się stąd!”, więc chyba uznał, że nie warto zawracać sobie głowy pikapem. Założyłam, że wie, co mówi, pomyślałam, że prawdopodobnie z gaźnika wyciekło paliwo (na tym kończyła się moja wiedza z zakresu mechaniki), a zresztą te wszystkie kule z pewnością coś uszkodziły. Pobiełam więc za nim i wszyscy pięcioro ruszyliśmy w stronę drogi, a potem skręciliśmy w lewo i biegliśmy dalej prawym poboczem. Miałam wrażenie, że pokonaliśmy z pięćdziesiąt kilometrów, ale pewnie tylko jeden.

Kiedy opadliśmy z sił, zatrzymaliśmy się pod dużym eukaliptusem. Było bardzo ciemno i nadal nie widzieliśmy żadnych samochodów. W pewnym sensie bieg dobrze nam zrobił, bo choć doprowadził mnie na skraj wytrzymałości fizycznej, to dzięki niemu zdołałam się uspokoić - i pozostali chyba też.

- Boże, Ellie, wiedziałaś, że tam są te kable? - odezwał się Jeremy.

- Wydawało mi się, że je widzę, ale nie byłam na sto procent pewna.

Wiedziałam jednak, że nie ma sensu o tym rozmawiać.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Homer. - Potrzebujemy jakiegoś pojazdu, ale nic tędy nie jeździ.

- Możemy tylko iść najszybciej, jak się da, dopóki czegoś nie znajdziemy - powiedział Lee. - Jeśli wszyscy są tak wykończeni jak ja, daleko nie zajdziemy, ale im dalej stąd, tym lepiej.

Nikt nie miał lepszego pomysłu, więc szliśmy i biegliśmy, a po drodze trochę rozmawialiśmy.

- To niesamowite - powiedziała do mnie Jess. - Nigdy nie przypuszczałam, że wezmę w coś takim udział. Nie do wiary. To takie dziwne, szalone i przerażające.

Roześmiałam się. Ale wcale nie było mi do śmiechu.

- Hej, witaj w moim świecie - odparłam.

Jakieś dwa kilometry dalej minęliśmy dom, ale nie zauważyliśmy w nim żadnej oznaki życia. Doszłam do wniosku, że właściciele wyjechali albo śpią. Kiedy podeszliśmy, zaczął szczekać pies, więc nie szukaliśmy samochodu ani motorów i pobiegliśmy dalej.

Byłam zmęczona i naprawdę obolała. Zaczęłam dyszeć, z trudem łapałam powietrze. Pozwoliłam, żeby mówili inni, bo sama nie miałam siły na rozmowy.

Minęliśmy jeszcze trzy budynki, zanim dotarliśmy do domu jakiegoś miłego bałaganiarza. Czasami kocham bałaganiarzy i właśnie nastąpiła jedna z takich chwil.

Zauważyłam kort tenisowy, ale druciane ogrodzenie było mocno podziurawione. Na trawniku przed domem stała półciężarówka z rozrzebanym silnikiem, a dzieci właścicieli nie zabrały zabawek z podwórka. Półciężarówka na niewiele nam się zdała, bo złożenie silnika, zatankowanie i uruchomienie jej nie wydawało się zbyt praktycznym rozwiązaniem. Ale chodząc na paluszkach w ciemności, znaleźliśmy dwa rowery i rolki. Niewiele, lecz nie odważyliśmy się podejść bliżej i poszukać drugiego samochodu. Poza tym zniknięcie auta od razu rzuciłoby się w oczy. A tak mieliśmy szansę, że właściciele rowerów i rolek zauważą ich brak dopiero po śniadaniu.

W oddali usłyszałam następnego helikopter i domyśliłam się, że zaczęli nas szukać. To była dobra pora na wycofanie się, nawet jeśli nie mieliśmy samochodu, który mógłby nam w tym pomóc.

Homer i Lee wzięli się do pedałowania, a Jeremygo zainteresowały rolki, więc dla mnie i Jess pozostały miejsca na bagażnikach. Nastąpiła niezręczna chwila, kiedy stałam w równej odległości między Homerem i Lee, a oni na mnie patrzyli, czekając, aż się zabiorę z którymś z nich. Wybrałam Homera. Lee tylko się odwrócił.

Chyba przez chwilę jechaliśmy niewiele szybciej, niż gdybyśmy szli. Widocznie chłopaki dość długo nie jeździły rowerami, a wiezienie pasażera nie ułatwiało im zadania. Jeremy zostawił nas w tyle, ale kiedy Homer i Lee złapali rytm, zaczęli go doganiać i wkrótce znów jechaliśmy razem. Nie była to tak efektowna ucieczka jak w hollywoodzkich filmach, ale nie mieliśmy innej możliwości i poszło nam całkiem niezłe. Trzy razy musieliśmy się chować w krzakach na widok świateł nadjeżdżających samochodów, ale było je widać z daleka, więc mieliśmy wystarczająco dużo czasu.

Około trzeciej w nocy dotarliśmy do drogi, którą jechałam wcześniej. Zwyczajny zakręt w prawo zaprowadził nas z powrotem do granicy. Chłopaki znowu pedałowali powoli i niezdarne. Musieliśmy zrobić dwie przerwy na odpoczynek. Do granicy dojechaliśmy tuż po czwartej.

Mniej więcej o piątej wspinaliśmy się na wzgórze. Lee pchał jeden rower, a ja drugi.

Jeremy jakiś czas wcześniej rzucił rolki w krzaki. Był kilkaset metrów za nami. Szliśmy ze spuszczoneymi głowami i przemieszczaliśmy się bardzo wolno.

Sytuacja była tak rozpaczliwa, że Homer zaczął opowiadać kawały, żebyśmy nie zasnęli i szli dalej. Właśnie opowiedział o trzech dziewczynach, które mówią matkom, z kim wychodzą wieczorem i co będą robiły. Pierwszą zaprosił Cody na lody, drugą Iwo na piwo, a trzecia dostała szlaban, bo przyszedł po nią Dex. Jess się roześmiała, ja jęknęłam, a Lee w ogóle nie zareagował. Jeremy miał szczęście: niczego nie słyszał.

Nagle w naszą stronę świsnęła kula, rozrywając ciemność i naszą małą grupkę. Przeszła dokładnie między mną i Homerem, jak nóż rozcinający noc na dwa światy. Nóż z płomieni. Dźwięk przypominał uderzenie pioruna.

O mało nie nabawiłam się przepukliny. Podskoczyłam i jednocześnie się odwróciłam. Dając nura w prawo, nie mogłam się powstrzymać i krzyknęłam. Nie widziałam, w którą stronę odskoczyli pozostali, ale miałam nadzieję, że nikt nie oberwał.

Po chwili dał się słyszeć czyjś cichy głos:

- Przepraszam.

Tylko że „r” brzmiało bardziej jak „l”.

Przewróciłam się na plecy i usiadłam. Otarłam prawy policzek o skałę, a jakiś patyk dźgnął mnie w kolano. Wstałam i ruszyłam przed siebie, gotowa udusić właściciela tego głosu.

Nie, nie udusiłam go, choć pewnie powinnam była to zrobić. Kiedy go zobaczyłam, tylko pokręciłam głową i zapytałam:

- Gdzieś ty się podziewał?

Gavin był głuchy, więc nie mógł tego usłyszeć, ale najwidoczniej ucieszył się na mój widok. Podbiegł i przytulił się do mnie, wbijając mi twarde dłonie w plecy. Nawet nie płakał, tylko tak stał. I nic dziwnego. Wiedział, że postąpił źle, jadąc za pikapami. Zgubił motory, przebił obie opony w yamasze i spędził noc sam jak palec. Prawdopodobnie zabłądził, choć się do tego nie przyznał. Pewnie pamiętał, jak zgubił się w lesie poprzednim razem i jak strasznie się to skończyło. A strzelenie do niewyraźnych postaci wyłaniających się z ciemności i odkrycie po chwili, że to my, mogło wstrząsnąć nawet kimś takim jak Gavin.

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko pozwolić, żeby trzymał mnie w objęciach, głaskać go po plecach, poklepywać po głowie i odsunąć na bok myśl o uduszeniu go. Nie chciałam przyznać przed sobą oczywistej rzeczy: że na jego widok ucieszyłam się jeszcze bardziej niż on na mój. Jasne, przyszła mi do głowy straszna myśl, że kula, która minęła nas troje, mogła trafić Jeremy'ego, ale po chwili Jeremy przybiegł i nie zauważyłam w nim

żadnej dziury.

Przez moment wszyscy poklepywali Gavina, powstrzymując się od mówienia, że przed pociągnięciem za spust warto się przyjrzeć celowi. To musiało poczekać na inną okazję. Tymczasem czekała nas jeszcze długa droga do domu.

Porzuciliśmy rowery, zaprowadzając je w gęste paprocie i ukrywając za zwalonymi pniami. Nie mieliśmy jeszcze czasu zastanowić się, jakie będziemy mieli kłopoty, jeśli ktoś nas skojarzy ze strzelaniną w centrum handlowym, ale wiedzieliśmy, że jeśli uciekniemy, zabierając ze sobą pikapy i yamahe, to raczej nas z tym nie powiążą. Równie dobrze mogliby nas obwiniać za efekt cieplarniany, mdłe truskawki albo za drugą wojnę światową.

Kiedy schowaliśmy rowery, zaczął się mozolny marsz - znajomy element wojny, o którym prawie zapomniałam, ale który tworzył chyba większość moich doświadczeń z czasów inwazji. Człap, człap, człap. Noga za nogą. Gavin trzymał się tak blisko mnie, że ciągle na siebie wpadaliśmy. Chciałam go ochrzanić, ale ugryzłam się w język na myśl o tym, że przeżył samotną noc w lesie. Nawet jeśli sam był sobie winien.

Człap, człap, człap. Ciągle myślałam o domu. Dom to miejsce, gdzie się wraca i gdzie muszą cię wpuścić. Dom to ludzie, którzy cię kochają. Nie ma drugiego takiego miejsca. To wszystko brzmiało prawdziwie, tyle że w moim domu nikt na mnie nie czekał i nikt mnie już nie kochał. Bez rodziców dom wydawał się strasznie pusty. Był za duży, a Gavin i ja brzęczeniśmy w nim jak dwa ziarenka w silosie z pszenicą. Chodząc po korytarzach, słyszałam echo. Nigdy wcześniej nie słyszałam tam echa.

Kiedy w oddali ukazała się farma, z przerażeniem zauważyłam światło w domu. Czyżby ktoś się włamał? Czy już nastąpił odwet? Ale pozostali nadal szli i wtedy przypomniałam sobie o Bronte i Pang.

Pang zignorowała pokój gościnny i spała w moim łóżku, ale Bronte jakimś cudem czuwała. Otworzyła drzwi. Dziwne: w moim własnym domu witał mnie ktoś, kogo właściwie za dobrze nie znałam.

Wciągnęła nas do środka i bez zbędnego zamieszania podała nam miło, zupki chińskie i grzanki. Nie wiem, na czym dokładnie polega urok grzanek. Wydzielają najbardziej pokrzepiający zapach na świecie. Nawet jeśli człowiek nie jest głodny, wystarczy mu zapach opiekanego chleba, by jak zahipnotyzowany podszedł do bochenka, wyjął dwie kromki i wrzucił je do tostera. Zapach lukrecji spowijający Darrell Lee's - gdzie podobno podgrzewają olejek lukrecjowy w specjalnym kominku do aromaterapii - też silnie na mnie działa, podobnie jak kurczaki z rożna w supermarkecie, ale nic nie przebije grzanki. Powiedziałabym, że tam dom twój, gdzie grzanka twoja.

Nieważne. Choć ledwie otwierałam oczy i poruszałam ustami, niesamowicie miło było siedzieć przy stole i rozmawiać. Wiedziałam, że kto jak kto, ale Bronte dochowa tajemnicy. Ma tyle spokoju i siły, że można jej spokojnie zdradzić imię najnowszej sympatii, hasło do skrzynki pocztowej i rozwiązanie tajemnicy rękopisów z Qumran. Jasne, nie chcieliśmy, żeby wieści o naszych akcjach rozeszły się po całym Wirrawee, ale ze strony Bronte nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo. Mimo to nadal nie wiedziałam, jak dużo możemy jej wyjawić, bo przecież chodziło o sprawy Wyzwolenia. Ale reszta wcale się nie krępowała. No więc zdałam się na ich ocenę.

Przeważnie mówił Homer, lecz tym razem Jess postanowiła mu zrobić małą konkurencję.

- Wywiad spisał się całkiem dobrze - zaczął Homer. - Znaleźliśmy ich mniej więcej tam, gdzie się spodziewaliśmy. Mieli trzy domy tuż obok centrum handlowego i co najmniej cztery pojazdy. Obserwowaliśmy ich przez jakieś czterdzieści pięć minut. Było ich mnóstwo, szykowali się. Widocznie planowali duży atak. Ale jako dobrzy chłopcy i dziewczynki zrobiliśmy tak, jak kazał Szkarłatny Prysycz, i nie zaatakowaliśmy, tylko obserwowaliśmy dalej.

- Naliczyliśmy osiemnastu gości - podjęła Jess. - Wcale się nie kryli. Chodzili z karabinami i ładowali amunicję do samochodu. Każdy przechodzeń mógł się zatrzymać i popatrzeć.

- Zgadza się, właściwie nawet my - potwierdził Homer. - W każdym razie postanowiliśmy przejść do trzeciego etapu: pokonać jeszcze kilkaset metrów autostradą i tam się na nich zaczaić. Wcześniej znaleźliśmy dobre miejsce. Ale wtedy sprawy potoczyły się fatalnie. Pożyczyliśmy dwa pikapy, więc wpakowaliśmy się do jednego z nich, a drugi zostawiliśmy na wszelki wypadek. Najkrótsza droga prowadziła przez parking obok supermarketu i uznaliśmy, że w ciemności jesteśmy wystarczająco bezpieczni. No więc ruszyliśmy, ale niestety nie zajechaliśmy daleko.

- Lepiej się wtrąć w tym momencie - powiedział Lee - bo inaczej Homer będzie gadał przez pół godziny, zanim dojdzie do sedna. A sedno wygląda tak, że potrafiłem kobietę na parkingu.

Kiedy to usłyszałam, przestałam jeść grzanekę. Siedziałam, trzymając ją w połowie drogi do ust, i gapiłam się na Lee.

- Spokojnie - dodał Lee. - Nie rozgniotłem jej na pizzę. Odbiła się od ziemi i od razu wstała. Ale wiesz, jak to jest. Po czymś takim nie można po prostu odjechać, chociaż gdybym mógł cofnąć czas, pewnie bym to zrobił. Ale byłem w takim szoku, że zatrzymałem

samochód i otworzyłem drzwi. Kobieta stała przed maską i wyglądała na oszołomioną, co zresztą zrozumiałe, więc nie przyszło mi do głowy, żeby ją przejechać po raz drugi.

- Wtedy - wtrąciła się Jess - zanim się obejrzelśmy, zjawił się jej mąż albo ktoś taki i zaczął trajkotać. Coraz bardziej się nakręcał, a my ze strachu dostaliśmy sraczki.

Wreszcie się roześmiałam. Zrozumiałam, dlaczego cały plan wziął w łeb.

- Mówiąc w skrócie - powiedział Homer - musieliśmy porzucić samochód. Stały za nami dwa auta, co, jak możesz sobie wyobrazić, było dość niewygodne i oznaczało, że nie możemy wycofać. Lee wskoczył z powrotem i wykonał odjazdowy manewr, dowożąc nas w róg parkingu. Tam wyskoczyliśmy z samochodu i uciekliśmy co sił w nogach. Schowaliśmy się jakieś sto metrów dalej przy drodze i czekaliśmy, aż sytuacja się unormuje. Potem po cichu wróciliśmy, ciesząc się, że jest tak spokojnie.

- Zbyt spokojnie - wtrąciła Jess.

- Wygląda na to, że na nas czekali - powiedział Jeremy.

- I wtedy - ciągnął Homer - zjawiała się Ellie.

Lee wydał dźwięk trąbki.

- Ona ciągle to robi - powiedział Homer do Bronte i Jess.

Miałam wrażenie, że Homer i Lee mają już dość tego, że ratuję im skórę, a co gorsza, zbieram za to wyrazy uznania. No cóż, w każdej chwili byłam gotowa przestać.

Jess się za mną wstawiła.

- Boże, to było niesamowite - zachwyciła się - Ellie, jesteś niesamowitą babką. Zjawiałaś się w idealnym momencie i miałaś mnóstwo świetnych pomysłów. Przysięgam, gdyby nie ty, skończylibyśmy w śmietniku, i to nie dlatego, żeby w nim uciec. Bylibyśmy w drodze na wysypisko i podróżowalibyśmy w kawałeczkach.

- Kurczę - powiedziałam. - Wiecie, czego mi brakuje w dzisiejszym świecie? Budek telefonicznych, w których mogliby się przebierać superbohaterowie. Wszyscy noszą komórki. Miałam z tym poważny problem.

- Co się stało? - zapytała Bronte.

- Namierzyłam chłopaków niedaleko tej palmy kokosowej - wyjaśniłam - bo zapamiętałam, że wspominali o niej przed wyjściem. Kiedy ich znalazłam, byli w dość skomplikowanej sytuacji, ale zauważyłam terenówkę z otwartymi drzwiami i kluczykiem w stacyjce. No więc zaproponowałam im przejazdzkę w śmietniku, bo uznałam, że stalowe ściany osłonią ich przed kulami. Potem skombinowałam kawałek łańcucha i doholowałam wszystkich terenówką na drugi koniec parkingu. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że to szalony pomysł, ale się udało. Potem wpakowaliśmy się do podstawionego pikapa i

pojechaliśmy do domu. Tyle że po drodze zgubiliśmy pojazd.

- To były najbardziej niesamowite dwadzieścia cztery godziny mojego życia - powiedziała Jess do Bronte. - Nie uwierzyłybyś, przez co przeszliśmy. Gonili nas jacyś goście na motorach, zastawiliśmy na nich pułapkę z benzyną. To było okropne. Ale Ellie...

Poczułam, że nadchodzą krępujące chwile. Nie chodzi oto, że chciałam być skromna i mówić: „Och, nie, naprawdę, nie jestem aż taka wspaniała”. Chodziło o coś więcej. Uznałam, że jeśli wszyscy będą tu siedzieli i opowiadali Bronte, jak to odwaliłam kawał dobrej roboty (bo wiedziałam, że odwaliłam kawał dobrej roboty), sami poczują się niezręcznie, a nawet zaczną być trochę zazdrośni. Nieważne, jak bardzo kogoś lubisz albo jak tego kogoś podziwiasz - wychwalanie go przed innymi ludźmi, zwłaszcza w jego obecności, ma pewne granice. Dlatego poszłam do łazienki.

Kiedy wróciłam, Gavin spał w starym brązowym fotelu, a pozostali snuli się jak zombie. Położyłam Gavina do łóżka, a potem wpełzłam pod kołdrę obok Pang, zostawiając starsze dzieci samym sobie. Były wystarczająco duże, żeby znaleźć sobie łóżka, i wiedziały, gdzie trzymam zapasowe koce i poduszki.



## Rozdział 11

Zdolność człowieka do przystosowania się jest zadziwiająca.

I chyba nie tylko człowieka. Krowy potrafią się przyzwyczaić do nowego pastwiska, do słońca po burzy i z powrotem do burzy, do jedzenia koniczyny zamiast lucerny, do bycia poza ciężarówką po byciu w ciężarówce.

Pewnego dnia w szkole szłam za jakąś dziewczyną z dziesiątej klasy długim korytarzem łączącym blok A z blokiem B. Nie miałam nic innego na głowie, więc zwróciłam uwagę na elastyczność, z jaką ta dziewczyna reaguje na wiele przeróżnych spraw w tak krótkim czasie. Uśmiechnęła się i zawołała: „Cześć!” do chłopaka z jedenastej klasy, podniosła książkę, która upadła zbyt obładowanemu uczniowi siódmej klasy, bardzo grzecznie powiedziała: „Dzień dobry” pani Barlow, krzyknęła: „Piękne brwi!” do koleżanki z dziesiątej klasy i powiedziała: „Może staniecie na środku tego pieprzonego korytarza, żeby nikt nie mógł przejść?” do grupki ósmoklasistów, którzy stali na środku pieprzonego korytarza i zagradzali wszystkim drogę. Podbiegła do przyjaciółki, iS4 objęła ją ramieniem i powiedziała: „Cześć, Laura”, a potem obie skrzyły w lewo i weszły do klasy.

To tylko mało ważne głupoty, wszyscy bez przerwy robimy takie rzeczy, ale właśnie w tym rzecz. Oprócz tego pewnie jeszcze odpędziła muchę, wyjęła gumę z kieszeni i włożyła ją do ust, poprawiła włosy, spojrzała przez okno, żeby zobaczyć, co się dzieje, i tak dalej. Po prostu naprawdę mnie zadziwia, że ludzie potrafią to wszystko zrobić, i to chyba jednak w większym zakresie niż krowy.

W każdym razie następnego wieczoru po powrocie z bitwy pod palmą kokosową siedziałam w gabinecie i podliczałam rachunki.

Po tak gwałtownej zmianie tempa trudno mi było się skupić. Tyle się wydarzyło - nie tylko poprzedniego dnia, ale nawet dzisiaj. Wybraliśmy się z Jeremym i Gavinem po pikapy i znaleźliśmy też yamahę. Homer wrócił do bazy, jeśli mogę tak powiedzieć. Bez wątpienia był teraz w środku bardzo, bardzo długiego wyjaśniania rodzicom, jak mu się udało zgubić motor. Nie miałam pojęcia, co im powie. Znając spryt państwa Yannos, pewnie się domyślali, co knuje ich syn, ale niekoniecznie byli gotowi poświęcić dla sprawy drogi motocykl. Podejrzewałam, że rozmowa Homera z rodzicami potrwa kilka dni.

A ja straciłam quada. Współczułam państwu Yannos, ale strata polarisa była dla mnie prawdziwą katastrofą. Pod wieloma względami był on najużyteczniejszym pojazdem na farmie, i to nie tylko dlatego, że był szybki i wygodny. Inne też były szybkie i wygodne. Ale

jadąc quadem, mogłam z łatwością ciągnąć czerwoną przyczepkę wypełnioną różnymi rzeczami. Wystarczyło ją podczepić do haka imożna było jechać z ładunkiem drewna na rozpałkę, paroma kostkami siana, workami z paszą dla kur albo czymkolwiek innym.

Oczywiście to wszystko można by powiedzieć o każdym quadzie, ale polaris miał dodatkową zaletę. Bardzo mocny silnik. Mój tata wyznawał zasadę, że zawsze należy kupować to, co najlepsze, nawet jeśli jest droższe - a polaris był cholernie drogi, ale za to mógł dojechać wszędzie i ciągnąć duże ładunki. Kiedy byłam młodsza, ciągnął nawet mnie. Uwielbiałam siedzieć w przyczepie i trzymać się jej obiema rękami, podczas gdy tata wjeżdżał w każdą dziurę, jaką zdołał wypatrzeć. Polaris miał tylko dwie wady: trudno się nim kierowało w trybie z napędem na cztery koła, a jego szerokie opony niszczyły trawnik.

Szacowałam, że przy obecnych cenach pojazdów zastąpienie polarisa czymś nowym pochłonie co najmniej piętnaście tysięcy dolarów, choć były to tylko moje domysły. Po wojnie ceny mogły sięgnąć nawet dwudziestu tysięcy. Na pewno nie miałam takiej kasy, ale na pewno potrzebowałam quada.

No więc znowu przeglądałam rachunki, zamartwiając się utratą polarisa, usiłując odciąć się od hałasu robionego przez Lee, Pang, Gavina, Jess i Jeremyego, którzy mieli przygotowywać posiłek, ale sprawiali wrażenie, jakby tłukli w garnki wszystkimi narzędziami, jakie zdołali znaleźć - jak małe dzieci drewnianymi łyżkami - i jednocześnie zastanawiając się, dlaczego nie słyhać Bronte, której nie widziałam całe popołudnie.

Chyba spała. Szukając wymówki, która pozwoliłaby mi się oderwać od rachunków, pomyślałam, że pójde do niej zajrzeć.

Nie wiedziałam, kto gdzie spał. Znalazłam Bronte w małym pokoju gościnnym niedaleko werandy, z którego nikt nigdy nie korzystał. Otworzyłam drzwi. W środku było ciemno, bo zasłony zostały zaciągnięte, ale poczułam jej obecność i to, że już nie śpi. Nie twierdzę, że umożliwiły mi to jakieś nadprzyrodzone zdolności. Chyba po prostu oddychała inaczej niż śpiący człowiek.

- Wszystko w porządku? - zapytałam.

Nie odpowiedziała, więc podeszłam do łóżka. Rzeczywiście nie spała. Leżała na plecach i patrzyła na sufit. Ale kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyłam ślady łez na jej policzkach.

- Co się stało? - zapytałam.

- Nic - odparła, a potem dodała: - Boże, fatalna odpowiedź, co?

- Chyba odruchowa - powiedziałam.

Mówiąc zupełnie szczerze, nie bardzo miałam ochotę na tę rozmowę. Nie tylko byłam

zupełnie wyczerpana po tym, co zaszło poprzedniej nocy, ale po śmierci rodziców potrzebowałam całej swojej energii emocjonalnej dla siebie, a wszelkie nadwyżki trafiały do Gavina. Wiercie mi, tych nadwyżek nie było wiele. Ale bardzo lubiłam Bronte i jak wszyscy nie znośłam patrzeć na cudze cierpienie - poza tym Bronte gościła u mnie w domu, więc w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby się tym zająć.

Dość długo milczała, leżąc i patrząc na sufit. Potem, jak robot, powiedziała:

Chyba spała. Szukając wymówki, która pozwoliłaby mi się oderwać od rachunków, pomyślałam, że pójde do niej zajrzeć.

Nie wiedziałam, kto gdzie spał. Znalazłam Bronte w małym pokoju gościnnym niedaleko werandy, z którego nikt nigdy nie korzystał. Otworzyłam drzwi. W środku było ciemno, bo zasłony zostały zaciągnięte, ale poczułam jej obecność i to, że już nie śpi. Nie twierdzę, że umożliwiły mi to jakieś nadprzyrodzone zdolności. Chyba po prostu oddychała inaczej niż śpiący człowiek.

- Wszystko w porządku? - zapytałam.

Nie odpowiedziała, więc podeszłam do łóżka. Rzeczywiście nie spała. Leżała na plecach i patrzyła na sufit. Ale kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyłam ślady łez na jej policzkach.

- Co się stało? - zapytałam.

- Nic - odparła, a potem dodała: - Boże, fatalna odpowiedź, co?

- Chyba odruchowa - powiedziałam.

Mówiąc zupełnie szczerze, nie bardzo miałam ochotę na tę rozmowę. Nie tylko byłam zupełnie wyczerpana po tym, co zaszło poprzedniej nocy, ale po śmierci rodziców potrzebowałam całej swojej energii emocjonalnej dla siebie, a wszelkie nadwyżki trafiały do Gavina. Wiercie mi, tych nadwyżek nie było wiele. Ale bardzo lubiłam Bronte i jak wszyscy nie znośłam patrzeć na cudze cierpienie - poza tym Bronte gościła u mnie w domu, więc w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby się tym zająć.

Dość długo milczała, leżąc i patrząc na sufit. Potem, jak robot, powiedziała:

- Słuchałam, jak opowiadają o helikopterze, którzy wleciał na linię wysokiego napięcia...

Nagle sobie przypomniałam i zrozumiałam, o co chodzi.

-... i o tym, jak eksplodował. Patrzyłam, jak się z tego cieszą, tacy zadowoleni, z taką ulgą...

- Tak, teraz wszystko jasne - powiedziałam.

Minęło niewiele czasu, odkąd rozmawialiśmy o tym, jak jej młodszy brat zginął,

kiedy helikopter uderzył w linię wysokiego napięcia, ale po tej rozmowie tyle się wydarzyło, że ta historia zupełnie wyleciała mi z głowy. Potem zastanawiałam się jednak, czy to, że zauważyłam słupy i pomyślałam o skierowaniu helikoptera w pułapkę, mogło wynikać z nieświadomego wspomnienia tamtej rozmowy.

Bronte leżała dalej. Wzięłam ją za rękę. Nawet teraz, kiedy już wiedziałam, dlaczego jest taka smutna, nie miałam siły, inteligencji ani wyobraźni, żeby wymyślić coś pocieszającego i inspirującego. Po mniej więcej dziesięciu minutach powiedziała:

- No, obowiązki wzywają.

Zaczęła wstawać. Nadal nie potrafiłam niczego wymyślić. „Wojna to piekło”? „Szkoda, że nie mogę mu przywrócić życia”? „Pewnie czujesz się okropnie”? Trochę jak wtedy, kiedy miałam sześć lat i pojechałyśmy z mamą na zakupy do Stratton. Mama kupowała wszystkie potrzebne rzeczy, a ja w każdym sklepie próbowałam ją na coś naciągnąć: na słodycze, zabawki, lalki, lody - na cokolwiek. Wreszcie, chcąc, żebym się zamknęła, mama powiedziała:

- Będiesz mogła wziąć wszystkie pieniądze, jakie mi zostaną w portmonetce po zakupie nabożów.

Poszłyśmy do sklepu z bronią, mama kupiła pięćdziesiąt, sto czy ile tam nabożów, zapłaciła za nie, a potem dała mi portmonetkę. Drżałam z przejęcia, bo myślałam, że w środku zawsze jest sporo pieniędzy. Otworzyłam portmonetkę i zobaczyłam piętnaście centów.

Teraz chciałam otworzyć własną portmonetkę i dać Bronte wszystko, co w niej zostało, ale moja portmonetka była pusta. Odsunęłam się i pozwoliłam Bronte wyjść z pokoju, a potem poszłam za nią, wpatrując się w jej plecy z poczuciem winy, wstydu i niższości.

Trudno było się skupić na fakturach, wyciągach i pokwitowaniach, kiedy w mojej głowie kłębiły się te wszystkie myśli. Ale zastanawiałam się, czy mogłabym kupić quada z drugiej ręki. Nigdy nie przypuszczałam, że już w tak młodym wieku będę mówiła do przyjaciół: „A, tak, pamiętam, jak za starych dobrych czasów można było kupić lody na patyku za...”, ale bez przerwy prowadziliśmy tego typu rozmowy. Ceny przyprawiły o zawrót głowy, lecz nie było wyjścia: albo się płaciło, albo się głodowało. Na szczęście ceny bydła rosły równie szybko, jeśli nie szybciej. Szczerze mówiąc, zawyżyliśmy cenę mojego bydła, gdy zaproponowaliśmy je jako zabezpieczenie kredytu, ale wyglądało na to, że to zawyżenie wcale nie było aż takie wysokie.

Po podwieczorku wróciłam do gabinetu i usiadłam przy biurku, gapiąc się na duży

arkusz papieru, na którym przeprowadziłam obliczenia. Pan Yannos kazał mi prowadzić rachunkowość, więc pomyślałam, że powinnam to załatwić, ale było ciężko, bo codziennie pojawiała się coś, czego nie wzięłam pod uwagę albo nie przewidziałam. Na przykład i59 utrata quada. Ciągłe coś. Jednego dnia psuła się pompa, następnego dnia musiałam kupić beczkę randapu, a potem spadła gałąź, strącając antenę telewizyjną i kilka dachówek. Na szczęście antena ochroniła dach przed poważniejszymi zniszczeniami.

Wiele sum znałam już na pamięć. Po zaciągnięciu następnego kredytu płaciłam bankowi trzy tysiące siedemset sześćdziesiąt dolarów odsetek. Dzierżawa pochłaniała tysiąc dolarów tygodniowo, czyli cztery tysiące trzysta trzydzieści trzy miesięcznie. Zatem już na dzień dobry pozbywałam się ośmiu patyków miesięcznie. Miałam nadzieję, że odsetki przez jakiś czas utrzymają się na dotychczasowym poziomie, bo już raz bank zaskoczył mnie podwyżką. No cóż, takich rzeczy też nie byłam w stanie kontrolować.

Nadal byłam winna około pięciu tysięcy dolarów ludziom, od których dzierżawiliśmy ziemię. Zapłaciłam grabarzom dziesięć patyków, biorąc osiem tysięcy z tego, co zostało na koncie rodziców, i dwa tysiące z banku. Więc nadal byłam winna grabarzom jakieś dwa i pół tysiąca i stresowałam się za każdym razem, kiedy zaglądałam do skrzynki, bojąc się, że przyślą mi list, w którym zagrożą wykopaniem wszystkich z powrotem.

Jedynym sposobem na kupno nowego quada było sprzedanie części bydła. Woły kupione jeszcze przez tatę były w niezłej formie. Gdybym sprzedała dziesięć sztuk, mogłabym kupić nowy pojazd, spłacić zaległy czynsz i resztę rachunku za pogrzeb. Ale gdyby pan Young nagle zrezygnował z wypasu bydła na moich pastwiskach - a spójrzmy prawdzie w oczy: w każdej chwili mógł je przegonić gdzieś indziej albo sprzedać, zwłaszcza po tym, jak wpadły w szal - miałabym o dziesięć sztuk bydła mniej i potem trudno byłoby mi związać koniec z końcem.

Westchnęłam i odsunęłam papiery. Postanowiłam, że zapytam o zdanie pana Yannosa. Jak Homer usprawiedliwił się przed rodzicami? Niedawno, kiedy uratowaliśmy Nicka, też wrócił do domu bez motoru. Teraz musiał się tłumaczyć z utraty następnego pojazdu. Zgubienie jednego to pech, ale zgubienie dwóch świadczy o lekkim niechlujstwie. Jak miałam zadzwonić do pana Yannosa - albo wpaść na niedzielną pieczeń - i mimochodem wspomnieć, że zapodziałam gdzieś quada?

Oczy same mi się zamykały. Ale kiedy głowa zaczęła opadać, z tyłu rozległo się ciche kaszlenie - a raczej odchrząkiwanie. Jeremy. Trochę mnie zaskoczył, bo sam przysypiał przy stole podczas kolacji. Uśmiechnęłam się do niego, a wtedy on stanął za mną i zaczął mi masować kark.

Byłam w lekkim szoku. Ale od razu zrozumiałam, co się dzieje. Chłopaki, z którymi byłam wcześniej - wszyscy dwaj - dużo gadały. Zarówno Steve, jak i Lee długo się zastanawiali, czy to się w ogóle uda, czy nasz związek to dobry pomysł. Choć trzeba przyznać, że na początku Lee był bardziej zaangażowany ode mnie. To ja miałam mnóstwo wątpliwości - a przynajmniej to ja je wyrażałam.

Jeremy miał pewność siebie, jakiej brakowało nawet Steve'owi. Po prostu uważał za oczywiste, że spodoba mi się i to, co robi, i on sam. Przez moment czułam mrowienie na skórze, jakbym nie chciała, żeby mnie dotykał. Ale miał takie silne palce i mocne ręce... Już po chwili wydały mi się zbyt dobre, żeby je odepchnąć. Szczerze mówiąc, chyba każdy posiadacz takich dłoni i rąk byłby w stanie mnie do siebie przekonać, bo czułam się zupełnie wyczerpana fizycznie i psychicznie. Odchyliłam się do tyłu i delektowałam się tym spokojnym naciskiem. Nawet zamknęłam oczy, co przy większości facetów mi się nie zdarza. Na chwilę wróciło do mnie wspomnienie tamtego chłopaka z Nowej Zelandii, który praktycznie zgwałcił mnie na imprezie, ale szybko je stłumiłam. Wiedziałam, że Jeremy ma dobre serce. Jego ręce też były dobre, a ciało jeszcze lepsze.

Nie potrafię opisywać ludzi, więc zazwyczaj nawet się nie wysiłam. Ale w wypadku Jeremy ego spróbuję. Należał do tych osób, które mają wszystko na właściwym miejscu, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Oczywiście nie mówię o wszystkich częściach ciała. Chcę powiedzieć, że jego nogi i ręce miały odpowiednią długość w stosunku do reszty ciała i głowa też była w porządku. Nie był ani wysoki, ani niski, raczej przeciętnego wzrostu, co brzmi nieciekawie, ale tak naprawdę była to bardzo fajna przeciętność. Wyglądał na chłopaka, który może być dobry w każdej dyscyplinie sportu: miał poczucie równowagi, skoordynowane ruchy. Pamiętam, jak kiedyś wspomniał, że w Nowej Zelandii grał na pozycji pomocnika środkowego, a jeden z przysłuchujących się temu chłopaków, którzy znali się na rugby, roześmiał się i powiedział:

- Tak, wyglądasz na idealnego pomocnika środkowego.

- Co masz na myśli? - zapytałam.

- Pomocnicy środkowego są jak tancerze - odpowiedział - a na dodatek potrafią kopać prawą i lewą nogą.

To mi się podobało.

Jeremy miał prawdziwy błysk w oku, który było widać także u jego ojca, nawet podczas wojny. Patrząc w te oczy, wiedziało się, że ich właściciel żyje. Zapuszczał coś w rodzaju koziej bródki, co nie do końca dobrze wyglądało. Mnóstwo chłopaków prezentuje się z taką bródką fatalnie i kiedyś myślałam, że jeśli facet z czymś takim będzie chciał się ze mną

umówić, powiem mu, żeby najpierw się ogolił. Ale bródka Jeremyego była na swój sposób fajna. Jakby naprawdę do niego pasowała albo nadawała mu wygląd szczerzego człowieka. Wiem, to brzmi zupełnie bez sensu.

Poza tym miał brązowe włosy, brązowe oczy, lekki trądzik, który zostawia blizny, oraz stopę w rozmiarze dziewięć – i to chyba najdłuższy opis człowieka, jaki kiedykolwiek ułożyłam, odkąd wieki temu zaczęłam pisać o wojnie.

No więc pomocnik środkowego robił mi masaż karku i nie mówił przy tym ani słowa. Jego dłonie przesunęły mi się po ramionach i plecach. Odchyliłam się trochę bardziej i zamruczałam. W pewnym sensie nie było w tym nic erotycznego, a w innym sensie wydawało mi się to jedną z najseksowniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek robił ze mną chłopak. Jedyne napięcie, które czułam, wiązało się z nadzieją, że Jeremy nie przestanie, że będę mogła tak siedzieć wiecznie i że jakimś cudem masowanie mnie nigdy go nie zmęczy i nie będzie oczekiwał niczego w zamian.

To naprawdę denerwujący aspekt związków: raz na jakiś czas trzeba coś zrobić dla tej drugiej osoby, zamiast tylko leżeć i czekać, aż obierze następne winogrono i wrzuci ci je do ust. Może roboty spisywałyby się lepiej.

Najzabawniejsze było to, że mniej więcej po dwudziestu minutach Jeremy wyszedł, a przez ten cały czas nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Ale zanim wyszedł, wyczuło się między nami zupełnie nowe vibracje. Po raz pierwszy od wieków poszłam spać podniecona i leżąc w ciemności, zdałam sobie sprawę, że nie czuję już czegoś takiego do Lee, a raczej że Lee nie budzi już we mnie takich uczuć - co chyba na jedno wychodzi. Nie zamierzałam jeszcze bardziej komplikować sobie życia, ale wygląda na to, że miłość uderza jak błyskawica i wywołuje nagły popłoch. Co ja wygaduję? To nie tylko miłość. To życie w ogóle.

Och, Jeremy. Byłam strasznie zmęczona, ale nie mogłam zasnąć. Bez końca rozmyślałam o jego wszystkich pięknych cechach. O jego życzliwym spojrzeniu, mocnych dłoniach, gracji, z jaką stał, siadał i chodził, o jego poczuciu humoru, inteligencji, znajomości historii oraz sile i pasji, z jakimi o niej opowiadał. Uwielbiam ludzi z pasją. Wolę, żeby pasjonowali się futbolem, niż żeby nie pasjonowali się niczym. Wolę, żeby pasjonowali się traktorami, polowaniem na dzikie świny, dalmatyńczykami albo robieniem marmolady. Chyba jedynym wyjątkiem są gry komputerowe. Maniacy komputerowi jakoś nie wydają mi się seksowni.

Jeremy był i spokojny, i silny. Pod tym względem trochę przypominał swojego ojca. Był miły, łagodny i uprzejmy dla wszystkich. Ale pod tym względem chyba się różnili. W Nowej Zelandii odniosłam wrażenie, że pułkownik - o, przepraszam - generał Finley jest dość

ostry dla ludzi, którzy nie robią tego, czego on chce. Zastanawiałam się, czy syna traktuje tak samo. Podejrzywałam, że mógłby być dość surowym ojcem. Podobnie jak Jeremy miał błysk w oku, ale brakowało mu takiego poczucia humoru. A jeśli Jeremy był Szkarłatnym Pryszczem... no cóż, zaimponowałby mi. To by mi się spodobało. Oznaczałoby, że jest prawdziwym przywódcą. Kimś, kto potrafi objąć dowodzenie i nadać sprawom bieg. Kimś, kogo wszyscy szanują.

Och, szkoda, że moje ręce nie są jego rękami. Chwilę później zasnęłam, uśmiechając się po raz pierwszy od długiego czasu. ojcem. Podobnie jak Jeremy miał błysk w oku, ale brakowało mu takiego poczucia humoru. A jeśli Jeremy był Szkarłatnym Pryszczem... no cóż, zaimponowałby mi. To by mi się spodobało. Oznaczałoby, że jest prawdziwym przywódcą. Kimś, kto potrafi objąć dowodzenie i nadać sprawom bieg. Kimś, kogo wszyscy szanują.

Och, szkoda, że moje ręce nie są jego rękami. Chwilę później zasnęłam, uśmiechając się po raz pierwszy od długiego czasu.



## Rozdział 12

Nie wiem, czy to ma cokolwiek wspólnego z miłością, ale w ciągu kilku następnych dni milion razy zrobiłam z siebie idiotkę, tyle że na szczęście przeważnie nikt tego nie widział. Może winne było okropne wyczerpanie? W każdym razie udało mi się spryskać grill olejem eukaliptusowym zamiast tym do smażenia, potem zostawiłam na kuchence dziesięć jaj i wzięłam się do robienia pieczeni, co kiepsko wpłynęło na ich świeżość. Olej eukaliptusowy stał w kuchni, odkąd sięgam pamięcią. Używaliśmy go właściwie do wszystkiego: rozpryskiwałam go po zrobieniu kanapki z sardynkami (mama nie znosiła zapachu sardynek), stosowaliśmy go na oparzenia, rozpylaliśmy nad łózkami, żeby pozbyć się roztoczy, i nad Gavinem, kiedy za bardzo dawał nam się we znaki.

Lee i Pang wyjechali. Brakowało mi wesołej i przyjaznej paplaniny Pang, ale za Lee raczej nie tęskniłam. Bałam się tego, jak na mnie patrzył, tych jego ciemnych złowieszczych oczu, ponurych i nieprzeniknionych. Nie wiedziałam już, czego ode mnie oczekuje, ale cokolwiek to było, miałam pewność, że nie potrafię mu tego dać.

Homer nie dawał znaku życia. Przypuszczałam, że rodzice przykuli go łańcuchem do łóżka i dali mu szlaban do 2050 roku. Po jakimś czasie zadzwonił i powiedział, że musiał napomknąć rodzicom co nieco o Wyzwoleniu i nie byli tym zachwyceni - podobnie jak Wyzwolenie - ale Szkarłatny Pryszcz starał się o nowy motor dla Homera, a Homer poprosił też o quada dla mnie.

Jess zadzwoniła dwa razy, a Bronte dzwoniła dwa razy dziennie. Dużo rozmawiałam z Bronte. Powiedziała jej o Jeremym i chyba nie muszę dodawać, że nie wspomniałam o nim Jess.

Nie widywałam Jeremy'ego ani nie miałam z nim kontaktu. W pewnym sensie to było dla mnie bez znaczenia. Wiedziałam, że on gdzieś tam jest, i ta świadomość dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Miałam wrażenie, że zawarliśmy coś w rodzaju porozumienia, które nieprędko wygaśnie. Dziwnie się czułam. Byłam strasznie zmęczona po ucieczce z centrum handlowego i przed helikopterem. Nagle zmieniłam się w osiemdziesięciolatkę. W czasie wojny mnóstwo razy byłam zmęczona, ale nigdy aż tak. To zmęczenie tkwiło w moich kościach. Chodziłam po domu, opiekując się Gavinem, ale nie sobą. Przemierzałam pastwiska, marząc o życiu z Jeremym. Nie wiedziałam, czy jestem zakochana, czy tylko chwilowo zauroczona jego ciepłymi dłońmi i wewnętrzną siłą. Dziwiło mnie to, że przeważnie wcale nie byłam szczęśliwa, lecz smutna. Czy to miłość? A może po prostu

smutek związany z byciem Ellie?

Czasami przepływała przeze mnie rzeka smutku. Nie depresji, nie żalu, nie rozpacz - po prostu smutku. Byłam ociężała i niezdarna, nie potrafiłam myśleć i za bardzo się śmiać. Chciałam, żeby rodzice wrócili. Tak okropnie za nimi tęskniłam, że nie liczyło się nic innego. A mój smutek cały czas był przysłonięty potwornym strachem, którego miałam się już nigdy nie pozbyć. Gdyby tylko znalazł się ktoś, kto mógłby mnie zapewnić, że pewnego dnia smutek minie, że będę wbiegała na wzgórze, dysząc i śmiejąc się, że będę się z nich turlała, chichocząc, sapiąc, raniąc się o kamienie i kolce. Chciałam patrzeć na wzgórze, ciepłe i jaśniejące w pełnym świetle słońca. Wiedziałam, że nie mogę jeszcze stanąć na jego szczycie, ale pragnęłam usłyszeć od kogoś: „Ellie, pewnego dnia będziesz się tam bawiła. To twoje wzgórze i dotrzesz na nie”.

Chyba najgorsza jest świadomość, że smutek pozostanie z tobą na zawsze. Świadomość, która dociera do rodziców zmarłego dziecka już w chwili, kiedy policjant otwiera usta. Prawda, która w jednej sekundzie wypełnia siostrę tracącą brata. Na taki smutek nie ma lekarstwa.

Wydawało mi się, że śmiech i beztraska miłość, wszystkie pozytywne sprawy, błyszczą i lśnią dla innych ludzi.

Chyba zaczynałam rozumieć jeden z wielkich paradoksów. Uwielbiam paradoksy. Myślę, że zawierają całą prawdę o świecie. Jedyne problem polega na tym, że nie potrafię ich pojąć. „Im więcej się zmienia, tym więcej pozostaje bez zmian”. „Im więcej wiesz, tym mniejsza twoja wiedza”. „Większości ludzi brakuje odwagi, żeby stchórzyć”. „Każdy koniec jest początkiem czegoś innego”. „Mniej znaczy więcej”. To znaczy rozumiem te słowa, ale muszę się pogłowić nad ich znaczeniem. Pamiętam, jak kiedyś, podczas wojny, Homer powiedział: „Jestem ateistą”, a potem dodał: „Dzięki Bogu”.

Paradoks miłości polega na tym, że miłość rani i uzdrawia. Poprawia ci samopoczucie tylko po to, żeby je popsuć. Dajesz się jej porwać, choć wiesz, że cię zdradzi. A kolejnym paradoksem jest to, że dajesz się jej porwać jako jednostka, bo zakochujesz się w kimś jako jednostka, ale przez to od razu tracisz mnóstwo swojej indywidualności. Zaczynałam się zakochiwać w Jeremym i co się działo? Od razu się zastanawiałam, co o mnie myśli, co mu się we mnie podoba, a co nie, i myślałam o tym, jak mogłabym się zmienić, żeby lubił mnie jeszcze bardziej. To dość głupie, kiedy się pomyśli, że najwyraźniej podobała mu się obecna Ellie, a nie ta, w którą chciałam się zmienić.

Oczyrna duszy zawsze widziałam siebie stojącą na Szwie Krawca i śpiewającą The Sound of Music. No, niezupełnie. Ale faktycznie chodziłam po wzgórzach, kiedy czułam się

samotna. Jeśli ludzie dzielą się na ludzi gór i ludzi morza, to ja należę do tych pierwszych. Uwielbiam morze, kiedy mam rzadką okazję je zobaczyć, ale jestem dziewczyną gór. Więc kiedy nadszedł weekend i Mark zaprosił do siebie Gavina, proponując mu nocleg - mimo że Mark urodził się pyskаты, mimo że udusiłby kurę, jeśli nie spodobałoby mu się jej gdakanie - pomyślałam: „Oto moja szansa”, po czym spakowałam Gavina i wypchnęłam go z domu.

Gdy tylko zniknął, wybrałam się na długi spacer po grani. To chyba trochę dziwne, ale grań nie kojarzyła mi się ze śmiercią rodziców i pani Mackenzie, choć właśnie tam usłyszałam strzały, które odebrały im życie i zburzyły mój świat. Kiedy zbliżyłam się do tego miejsca, poczułam się dość dziwnie. Moje nogi zrobiły się ciężkie i odmówiły wypełniania obowiązków. Poczułam mrowienie w rękach. Gardło ścisnęło się i nie chciało przyjmować tlenu.

Melissa Carpenter, która mieszkała jakieś trzy kilometry od nas i jeździła do szkoły tym samym autobusem, miała fioła na punkcie koni - podobnie jak jej rodzice. Wszyscy wiedzą, że po upadku trzeba z powrotem usiąść w siodle. W wieku dwunastu lat Melissa spadła i naprawdę się poturbowała. Jej ulubiony koń przestraszył się węża i zrzucił ją. Od razu poczuła, że coś sobie uszkodziła, i okazało się, że rzeczywiście złamała trzy kręgi kręgosłupa. Miała szczęście, choć w pewnej chwili myślała, że czeka ją życie na wózku inwalidzkim. W każdym razie po upadku leżała na ziemi, czekając na karetkę, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie chodziła. Wtedy jej ojciec ukląkł obok i szepnął:

- Kochanie, wiem, że trochę cię boli, ale czy dałabyś radę na chwilę dosiąść Barneya, żeby nie stracić pewności siebie?

Myślałam o tym, stojąc sto metrów od tamtego miejsca na grani, i pociałam się od wspomnień i strachu. Determinacja pana Carpentera, żeby posadzić Melissę na Barneyu, moja szansa”, po czym spakowałam Gavina i wypchnęłam go z domu.

Gdy tylko zniknął, wybrałam się na długi spacer po grani. To chyba trochę dziwne, ale grań nie kojarzyła mi się ze śmiercią rodziców i pani Mackenzie, choć właśnie tam usłyszałam strzały, które odebrały im życie i zburzyły mój świat. Kiedy zbliżyłam się do tego miejsca, poczułam się dość dziwnie. Moje nogi zrobiły się ciężkie i odmówiły wypełniania obowiązków. Poczułam mrowienie w rękach. Gardło ścisnęło się i nie chciało przyjmować tlenu.

Melissa Carpenter, która mieszkała jakieś trzy kilometry od nas i jeździła do szkoły tym samym autobusem, miała fioła na punkcie koni - podobnie jak jej rodzice. Wszyscy wiedzą, że po upadku trzeba z powrotem usiąść w siodle. W wieku dwunastu lat Melissa spadła i naprawdę się poturbowała. Jej ulubiony koń przestraszył się węża i zrzucił ją. Od

razu poczuła, że coś sobie uszkodziła, i okazało się, że rzeczywiście złamała trzy kręgi kręgosłupa. Miała szczęście, choć w pewnej chwili myślała, że czeka ją życie na wózku inwalidzkim. W każdym razie po upadku leżała na ziemi, czekając na karetkę, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie chodziła. Wtedy jej ojciec ukląkł obok i szepnął:

- Kochanie, wiem, że trochę cię boli, ale czy dałabyś radę na chwilę dosiąść Barneya, żeby nie stracić pewności siebie?

Myślałam o tym, stojąc sto metrów od tamtego miejsca na grani, i pociłam się od wspomnień i strachu. Determinacja pana Carpentera, żeby posadzić Melissę na Barneyu, była trochę zabawna, ale choć wszyscy się śmialiśmy z tej historii (kiedy już było wiadomo, że Melissa z tego wyjdzie), okazało się, że w pewnym sensie pan Carpenter miał rację: po tamtym dniu jego córka już nigdy nie dosiadła Barneya ani żadnego innego konia.

A teraz stałam i patrzyłam na grań, nagle otoczona wspomnieniami, i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę w stanie znowu wejść na Szew Krawca. Bo nie potrafiłam przejść obok miejsca, w którym byłam, kiedy rozległy się strzały. Struchlałam. Nie przypuszczałam, że tak będzie. Przemoc, jakiej doświadczyłam, mogła mi odebrać góry. Wojna, walka i zabijanie nie dopuszczały do mnie obietnicy dobrej przyszłości. Musiałam się wspiąć po tym skalistym wzniesieniu i wejść na samą górę.

Zrobiłam kilka kroków, ale potem nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Wiedziałam, że nie jestem w stanie tego zrobić. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy niewiele rzeczy zdołało mnie pokonać, ale ta prosta wspinaczka okazała się ponad moje siły. Powietrze nie chciało mnie puścić dalej, paraliż ciała był zbyt silny.

Byłam samotna, chciałam pójść na wzgórze i usłyszeć dźwięki, których słuchałam dawniej. Chciałam, żeby moje serce wypełniła muzyka. Czułam, że jeśli w mojej przyszłości ma być miejsce na miłość, muszę znaleźć sposób, żeby przejść obok tego miejsca na grani. Ale dzisiaj okazało się to niemożliwe. Może już nigdy nie miało być możliwe.

Wyglądało na to, że odwiedziny Gavina u Marka też nie za bardzo się udały. Gavin był już w domu, a przecież miał nocować u kolegi. Przez jakiś czas nie wiedziałam, że wrócił. Zazwyczaj wiem, gdzie jest, bo często nieświadomie wydaje jakieś dźwięki. Oczywiście nauczył się, że pewne dźwięki przyciągają uwagę, a jedne są głośniejsze od drugich, ale o tym zapomniał.

Kiedy usłyszałam huk w jego pokoju, pomyślałam, że nas napadnięto. Chwyciłam strzelbę, którą ostatnio zawsze miałam pod ręką. Stała oparta za kuchennymi drzwiami. Zaczęłam się pocić, zastanawiając się, czy lepiej biec do lasu, czy może zajrzeć do pokoju. Marmie spała na podłodze w kuchni, co uznałam za dobry znak. Zawahałam się.

Załadowałam sześć naboju do magazynku, a jeden wsunęłam do lufy. Trudno było zachować przy tym ciszę. Ale poczułam się pewniejsza. Znowu usłyszałam huk w pokoju Gavina. Marmie otworzyła jedno oko i ziewnęła. Nie należała do najwspanialszych psów stróżującym na świecie, ale powinna była trochę bardziej się starać.

Wymknęłam się z kuchni na korytarz, pokonując zaledwie metr, i otworzyłam drzwiczki bielizniarki, żeby móc się za nimi schować. Tam usłyszałam zupełnie inną gamę dźwięków. Wibracje lodówki, oddech Marmie, bzyczenie wczesnej muchy i łopotanie lepu zawieszzonego w drzwiach... te wszystkie odgłosy tworzyły teraz tło dla sroki w oddali, przy drugim końcu domu, émy uderzającej skrzydełkami o szybę w drzwiach prowadzących na mały trawnik oraz dla burczenia awionetki.

Huk. Co się dzieje, do diabła? Jeśli ktoś nas napadł, powinien był robić coś więcej, niż tylko siedzieć w pokoju Gavina i kopać w meble. Postanowiłam zrobić jeszcze jeden krok. To mogło się okazać bardzo głupie, ale nabierałam przekonania, że największym problemem w pokoju Gavina prawdopodobnie jest sam Gavin. Jasne, miał wrócić jutro, ale był dzieciakiem, który sam ustala zasady. Zresztą wizyta u Marka mogła trwać równie dobrze godzinę jak cały weekend.

Zrobiłam kolejny krok i usłyszałam charakterystyczny głos Gavina wykrzykującego najgorsze przekleństwa, jakie miał w repertuarze - a wiercie mi, jeśli chodzi o przeklinanie, Gavin spędzał stanowczo za dużo czasu w towarzystwie Homera. Domyśliłam się, że nie rozmawia z terrorystą, który wszedł do niego przez okno. Westchnęłam, przesunęłam bezpiecznik z powrotem, odryglowałam strzelbę i kula wysunęła się z lufy. Naprawdę nie miałam ochoty na wielką rozmowę z Gavinem o tym, dlaczego, na litość boską, wrócił do domu, skoro powinien był miło spędzać czas u Marka. Ale hałas w pokoju nie ustawał, więc nie mogłam go zignorować.

Wsadziłam naboje do kieszeni, oparłam strzelbę o ścianę, żeby Gavin nie pomyślał, że chcę go zastrzelić, i weszłam do pokoju. W wypadku Gavina nie było sensu pukać. Stał w kącie, jakby sam się w nim postawił, jakby ubiegł nauczyciela. Na domiar złego kołysał się w przód i w tył. Po chwili odsunął głowę i uderzył nią w ścianę. Teraz już wiedziałam, skąd się brał ten huk. Nie słyszałam Metalliki - podobnie jak Gavin - więc to nie była jej wina. Sięgnęłam po poduszkę i rzuciłam w niego. Gwałtownie się odwrócił i spojrzał na mnie z wściekłością.

Gdyby spojrzenie mogło zabić, od razu bym się położyła i czekała na autopsję.

Byłam gotowa okazać współczucie, wybaczyć i zrozumieć.

- Gavin, do diabła, coś ty znowu zmalował?

Rzucił we mnie poduszką i poprawił serią Lemony Snicket's. Niestety, w twardych okładkach.

- Aua! Gavin! Ty mały padalcu! To bolało.

Dzwonek telefonu powstrzymał nas od przelania niewinnej krwi. Nie wiem tylko czyjej.

- Ellie! Próbuję się do ciebie dodzwonić całe popołudnie. Zostawiłam trzy wiadomości.

To była mama Marka. Poczułam się tak, jakbym nagle przytyła trzy albo cztery kilogramy, i to wokół serca. Na pewno nie dzwoniła, żeby mi opowiedzieć o uroczych manierach Gavina.

- Przepraszam, byłam na pastwisku.

- Musiałam odwiedzić Gavina do domu. Powiedział, że jesteś gdzieś niedaleko. Znalazłaś go?

- Tak, bez problemu. Jest u siebie w pokoju. Ale jeszcze z nim nie rozmawiałam. Myślałam, że wróci dopiero jutro.

- No tak, właśnie w tej sprawie dzwonię.

Westchnęłam i usiadłam na małym skórzanym taborecie obok telefonu. Prawie słyszałam, jak coraz mocniej zaciskają jej się usta.

- Ellie, nie wiem, na czym polega problem tego chłopca, ale on chyba potrzebuje pomocy. Im szybciej, tym lepiej. Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego jak to, co zrobił dzisiaj z Markiem. Wiem, że nie miał łatwego życia, ale obawiam się, że drugi raz go nie zaproszę.

Niezbyt dobrze znałam mamę Marka, ale miałam wrażenie, że zawsze jest zakręcona, że próbuje robić sześć rzeczy naraz i nie kończy żadnej z nich. W zasadzie nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale nagle zdałam sobie sprawę, że jedną z tych niedokończonych spraw było wychowanie Marka.

Czując zmęczenie - zbyt wielkie, żeby podjąć wysiłek i zapytać, jakiej zbrodni dopuścili się chłopcy - siedziałam w milczeniu, gryzmołąc krzyżyki tępym ołówkiem.

- Słyszysz mnie? - zapytała.

- Tak.

- Ellie, żałuję, że nie ma kogoś, z kim mogłabym o nim porozmawiać. Naprawdę nie rozumiem, jak to się stało, że trafił pod twoją opiekę.

Domyśliłam się, że nie uważa mnie za „kogoś”. Ze względu na swój wiek byłam „nikim”. Zastanawiałam się, kiedy zostanę „kims”. Czułam, że zaczynam się wkurzać.

Zacisnęłam usta, miałam ochotę być niegrzeczna i zbuntowana.

- No cóż, chyba jednak ci powiem. Zawsze martwił mnie wpływ Gavina na Marka, więc powiedziałam synowi, że może się z nim bawić, ale zabroniłam mu siedzieć obok Gavina na lekcjach. Ale obawiam się, że Mark jest czasami zbyt podatny na wpływy. I oczywiście żal mi Gavina.

Grr. Moje bazgroły robiły się coraz ostrzejsze i bardziej spiczaste. Ołówek osiągał ten okropny stan, w którym jest tak mało rysika, że drewniane koniuszki drapią papier, wydając odgłos prawie tak straszny jak paznokcie na tablicy. Nie było mi żal Gavina. Nie miałam na to czasu ani energii. On chyba też się nad sobą nie użalał. Czuł złość, a to trochę inna sprawa.

- No więc co zrobił?

- Och! Trudno mi o tym... Naszymi sąsiadami są państwo Chaus. To bardzo mili ludzie, nigdy nie mieliśmy z nimi kłopotu i są bardzo dobrzy dla Marka. Mieli śliczną kotkę, szarą, mniej więcej trzyletnią. Wabiła się Missy.

Moje serce było już naprawdę ciężkie. Wiedziałam, jak się kończą historie zaczynające się od słów: „Mieliśmy nowy samochód, kupiliśmy go zaledwie dwa tygodnie temu” albo „Moja mama miała wazon Royal Doulton, dostała go od matki i trzymała na regale...”.

„Mieli śliczną kotkę”. Poczułam ogromny strach o to zwierzę. Mama Marka mówiła dalej.

- Chłopcy... nie wiem, co w nich wstąpiło, ale jakimś cudem złapali to biedne zwierzę, Gavin przywiązał je do ziemi... To straszne, Ellie, nie wiem, jak mam ci powiedzieć, co było potem.

Nie wiedziałam, czy zdołam tego wysłuchać. Zaczynałam nienawidzić Gavina.

- Mark ma odskoczną rowerową. Wygląda na to, że Gavin na nią wjechał, skierował rower na kota...

- Zabił go? - zapytałam. Mówiłam szorstkim, ochryłym głosem.

- O tak. Oczywiście trudno mi było zrozumieć całą historię, bo przecież jest niepełnosprawny, ale chyba wylądował na nim dobre kilka razy.

Niepełnosprawny. Chrzanić niepełnosprawność. Jeśli Gavin chciał coś zakomunikować, to mu się udało. Wcale nie był niepełnosprawny.

- Oddzwonię do pani - powiedziałam do mamy Marka i gwałtownie przerwałam połączenie.

## Rozdział 13

Oto, jak wyglądają moje poranki. Wstaję o szóstej, a jeśli nie obudzę się sama, budzi mnie męczący budzik. Dostałam go od Fi. Ma kształt krowy, jest czarnobiały i zamiast dzwonić - muczy. Tak, muczy. Idźmy dalej. Czasami w ciągu następnych pięciu do piętnastu minut wyslizguję się z łóżka, pod warunkiem że na mojej kołdrze śpi Marmie. Nie pojmuję, jak taki mały pies może zajmować trzy czwarte dwuosobowego łóżka, ale jej jakoś się to udaje. Natomiast jeśli w moim łóżku śpi Gavin, jestem mniej subtelna. Po prostu wyskakuję. Próbowałam przekonać Marmie, żeby spała z Gavinem w jego łóżku - przede wszystkim dlatego, że według mnie ich zażyłość dobrze wpływa na Gavina - ale wygląda na to, że obydwójce wolą spać u mnie.

Jeśli Gavin jest w swoim łóżku, zaglądam do niego w drodze pod prysznic i daję mu pierwszego z długiej serii szturchańców, kuksańców albo prztyczków. Jedynym niezawodnym sposobem na wyciągnięcie go z łóżka jest całus, ale staram się nie stosować tej taktyki zbyt często, żeby nie straciła mocy.

Potem łazienka. No cóż, jak by to powiedzieć: ostatnio nie jest tam zbyt miło, bo pojawiły się szczury. Fajnie byłoby nie mieć szczurów - ani teraz, ani nigdy - ale przypuszczam, że ten element naszego życia się nie zmieni. Ludzie z miasta myślą, że skoro mamy szczury, to pewnie żyjemy w brudzie i syfie, ale wcale tak nie jest. Jestem dość schludna, Gavin też nie wypada pod tym względem najgorzej, a mama zawsze była porządna. Co rok nawiedza nas fala myszy albo szczurów, które pojawiają się bez żadnego ostrzeżenia. Za każdym razem wypowiadamy im wojnę i w końcu znikają: albo dlatego, że je pokonaliśmy, albo dlatego, że tępią je sowy, dzikie koty i sroki, albo dlatego, że docierają do nich plotki o otwartej kawalek dalej nowej fabryce czekolady. Bez względu na przyczynę znikają i czasami mija dwanaście miesięcy, zanim wprowadzi się do nas nowa zgraja.

Ale to naprawdę obrzydliwe, gdy zaspany człowiek wchodzi do łazienki, a jego oczom ukazują się szczurze odchody na podłodze, pożarte do połowy mydło i papier toaletowy, zaciągnięty do szczurzej dziury i pogryziony, żeby można było z niego umościć przytulne miękkie gniazdo. Nie chcielibyście się podcierać takim papierem.

Tego ranka pozbierałam szczurze bobki przez chusteczkę, wrzuciłam je do sedesu i spuściłam wodę. Wiedziałam, że będę mogła porządnie umyć podłogę dopiero po południu albo wieczorem. Potem wyrzuciłam resztkę mydła i papieru toaletowego. Wiele lat temu odwiedzili nas przyjaciele z miasta, którzy nigdy nie widzieli szczurzych bobków i nie mieli



pojęcia, co to takiego. Gdy znaleźli zjedzone do połowy jabłko w misie z owocami otoczone tymi małymi czarnymi kulkami, pomyśleli, że ktoś nadgryzł owoc i odłożył resztę, więc pokroili go i dali córeczce. Boże, kiedy się o tym dowiedziałam, o mało nie puściłam pawia.

Wspalałam do szczurzej dziury trochę trutki, której ostatnio niestety gryzonie nie jedzą, a potem zatkałam otwór wełną stalową, co czasami działa, a czasami nie. Na podłodze kawałek dalej zauważyłam idealną gwiazdkę, długonogiego pająka o twardym okrągłym czarnym ciele. Nigdy wcześniej takiego nie widziałam - był elegancki i harmonijny. Doliczyłam się tylko siedmiu nóg. Biedaczek. Myślałam, że nie żyje, ale nie byłam pewna, więc bardzo szybko go dotknęłam. Nie poruszył się, lecz nadal miałam pewne podejrzenia. Trąciłam go jeszcze raz, a potem znowu, i nagle obudził się do życia, umykając na swoich siedmiu nogach.

Moje ostatnie spotkanie z pajakiem zdarzyło się kilka tygodni wcześniej, kiedy zdejmowałam torbę z górnej półki w szafie. Ściągnęłam ją i zaniósłam do jadalni, żeby spakować do niej rzeczy do szkoły. Kiedy zaczęłam wrzucać do środka książki, poczułam łaskotanie na głowie. „Boże - modliłam się - niech to nie będzie pajak”. Pomyślałam, że podejść do lustra, spokojnie w nie spojrzeć, i nawet jeśli po głowie będzie mi łąził pajak, nie spanikuję.

Podeszłam do lustra, spokojnie w nie spojrzałam, zobaczyłam największego spachacza wszech czasów łążącego mi po głowie i spanikowałam. Rozpaczliwie czochrałam włosy, ale nie mogłam się go pozbyć. Za to go rozwścieczyłam. Wyobraziłam sobie, jak przechodzi w tryb ataku i napełnia mi mózg jadem. O dziwo, nie zrobił tego i mogłam jeszcze raz spróbować go strącić, tym razem skutecznie. Przysięgam, miał wielkość mojego ucha, i to nie uwzględniając nóg.

Tak, życie wśród szczurów i pajaków, nie wspominając o walce z uzbrojonymi żołnierzami wroga, nigdy nie jest nudne.

W każdym razie wzięłam prysznic. Jestem wielbicieleką długich kąpeli pod prysznicem, bo wtedy najlepiej mi się myśli. Mamy teraz dość duży zapas wody, więc mogę sobie dogadzać. Mój ulubiony szampon pachnie owocami cytrusowymi z nutką żeńszenia. To chyba Sunsilk. Nie mam pojęcia, czy jest dobry dla włosów, ale pachnie tak wspaniale, że muszę się powstrzymywać, żeby go nie wypić.

Po wyjściu z łazienki zazwyczaj wrzucam brudną bieliznę do pralki albo wyjmuję czystą, którą wyprałam poprzedniego wieczoru. Składam następną wizytę Gavinowi, potem wracam do swojego pokoju, szukam jakiejś oszałamiającej kreacji do liceum w Wirrawee, ubieram się, po raz ostatni wołam do Gavina, żeby wstawał, a potem idę do kuchni. To dość

żenujące, że często muszę zacząć od sprzątanego po kolacji - nie, nie dlatego mamy szczury - ale gdy już to załatwię, mogę pomyśleć o śniadaniu i kanapkach do szkoły.

Ani Gavin, ani ja nie jesteśmy wielkimi fanami śniadań, zwłaszcza odkąd nie stać nas na czekoladowe kuleczki zbożowe ani na chrupiące płatki orzechowe. Jeśli mam czas i jestem w dobrym humorze, przygotowuję owsiankę, którą Gavin nawet lubi, choć ja za nią nie szaleję. Sama zjadam nudny wafel zbożowy z najmniejszą ilością cukru, jaką mogę znieść, albo kromkę chleba z dżemem. Jeśli chleb jest świeży, po prostu go jem, ale jeśli szcerstwieje, wkładam go do tosterka. Gdy nadejdzie dzień, w którym chleb mi się znudzi, umrę z głodu.

Kiedy biorę się do jedzenia, Gavin wlecze się do łazienki albo - gdy ma lepszy dzień - może nawet wychodzi z niej umyty i czysty. Potem lubi się o mnie oprzeć i czekać, aż go nakarmię kawałkami chleba albo grzanki, jakby był małym ptaszkiem w gnieździe. Najwidoczniej tego potrzebuje, żeby mieć energię niezbędną do pójścia do pokoju i ubrania się.

Jedząc i karmiąc Gavina, zaczynam robić kanapki do szkoły. Gavin lubi tradycyjne z niewyszukanymi dodatkami, na przykład z serem i vegemite, z kurczakiem, z pieczenią jagnięcą z weekendu i z pomidorem. Nadal się o mnie opiera, kiedy wkładam w jego łąpczywe usta kolejny kawałek grzanki, ale jednocześnie ma czelność wybrzydzać.

- Niece! Niece! Za dużo pieprzu!

Ja wolę na lunch coś bardziej egzotycznego i zazwyczaj przygotowuję to wieczór wcześniej. Raz spróbowałam zrobić sushi, ale zakończyło się to katastrofą. Mówiąc o egzotycznych lunchach, nie mam na myśli aż tak egzotycznych przysmaków jak sushi - raczej coś w rodzaju tarty, podudzia jagnięcego duszonego w curry albo wegetariańskiego kebaba.

Potem akcja przyspiesza. Czasem zdążamy wypić kawę, a czasem nie, ale zazwyczaj pijemy przynajmniej sok. Dorzucam do pudełek na lunch jakieś owoce albo kilka ciastek. Talerze i sztućce wkładam do zmywarki. Nakłaniam Gavina, żeby poszedł do pokoju i wreszcie się ubrał, i udaje mi się postawić na swoim dzięki przeróżnym sposobom uzależnionym od tego, w jakim jestem humorze i w jakim humorze jest Gavin. Bywa, że przerzucam go sobie przez ramię i sama biegnę z nim do pokoju. Innym razem krzyczę, żeby się ruszył, albo okładam go packą na muchy.

Zostawiam go z tym zadaniem, a sama robię krótką rundkę na zewnątrz. Wypuszczam kury i kaczki, wysypując dla nich trzy puszki ziarna. Większość ziaren zjadają rozelle, które nauczyły się, że koło szóstej czterdzieści pięć warto być u Lintonów. Przysięgam, te papugi ślą emaile, żeby sobie dać znać o darmowej wyzerce. Oprócz ładnych rozelli są jeszcze brzydkie strepety, które kradną jaja; naprawdę bezczelne sroki wydające piękne dźwięki o

poranku; oraz kruki, które codziennie brzmią jak śmierć. Nadal nie wiemy, jaki ptak rozszarpał ostatnie kaczuszki. Kiedy kaczki mamy wysiadują jaja - a jeśli się postarają, potrafią ich złożyć naprawdę wiele, na przykład osiemnaście - zamykamy je na podwórzu na kilka tygodni, dopóki młode nie podrosną i nie będą umiały o siebie zadbać. Ale ostatnie kaczuszki skończyły marnie. Pod drzwiami była szpara w sam raz dla małej kaczki. Ośmioro z jedenaściorga młodych przecisnęło się przez nią i wyszło na zewnątrz. To był koniec ich krótkiego żywota. Coś je zaatakowało i zadziobało, jedną kaczuszkę po drugiej. Wróciłam ze szkoły i znalazłam ich maleńkie ciała z potwornymi ranami. Dwie były rozplaszczone, jakby napastnik wdeptał je w ziemię.

Nie sposób przywyknąć do śmierci na farmie. Najbardziej zasmuciło mnie to, że kaczka mama musiała wszystko widzieć. Mój stary wróg, wyobraźnia, ciągle powtarzał tę scenę: zrozpaczona matka biega tam i powrotem, pozostałe trzy kaczuszki są równie zrozpaczone jak ona, choć nie wiedzą czemu; biegają za matką, która piszczy i skrzeczy pod ciężarem bólu i męki towarzyszących patrzeniu, jak coś zadziobuje jej dzieci, podczas gdy ona nie może temu w żaden sposób zapobiec.

Zastłoniliśmy siatką szczelinę pod ścianą, więc to się chyba nie powtórzy. Po tamtej ucieczce kaczuszek ryglujemy drzwi kurnika.

Ale nadal chciałabym wiedzieć, jaki ptak to zrobił. Czyżby sroki z wielkimi i groźnymi dziobami, nieproporcjonalnymi do reszty ciała, chodzące dumnym krokiem, jakby były właścicielkami farmy? A może strepety ukrywające się wśród drzew i obserwujące wszystko jak japońscy snajperzy podczas drugiej wojny światowej? Albo kruki, czarne anioły czy raczej czarne duchy ludzi, którzy wiedli złe życie i teraz nie mogą zaznać spokoju? Chyba właśnie one.

Ale nie wykluczałabym kukabur. Nie wiedzieć czemu mamy ich naprawdę dużo. Nie przeszkadzają mi, bo je lubię, i podejrzewam, że tępią węże. Zeszłej wiosny widziałam kukaburę zjadającą małego węża. Zajęło jej to trochę czasu, ale dopięła swego. Tata mi mówił, że kukabury to „prawdziwe komunistki”, bo współpracują ze sobą dla dobra ogółu. Powiedział, że jeśli jedna para wysiedzi jaja, pozostałe dorosłe osobniki przerywają inne zajęcia i pomagają zdobywać jedzenie dla młodych. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie zdarzyło mi się czegoś takiego zobaczyć, choć dość często im się przyglądałam.

Kukabury są ładne - gubią najpiękniejsze pióra w uroczych jasnobrazowych i niebieskich kolorach - ale poza tym mają dzioby, które robakowi, ćmie albo kaczuszce muszą przypominać pocisk rakietowy z parą oczu.

Kiedy wypuszczę kaczki i ptaki się najedzą, idą nad stawek, który wykopaliliśmy, żeby

zapewnić wodę indykom. To przedsięwzięcie nigdy nie ruszyło z miejsca (tak samo jak sam plan hodowli indyków) i okazało się zupełną klapą (choćby chyba nikt by nie chciał, żeby stawek ruszył z miejsca).

Stawek dla indyków to jedno z ulubionych miejsc kaczek. Uwielbiają tam zanosić jedzenie, namaczać twarde czerstwy chleb w wodzie, zmiękczając go i dzieląc na kawałki. Rzadko odmawiam sobie patrzenia na kaczki przynajmniej przez minutę. Jasne, jeśli im się przyjrzeć, widać, że i one mają swoje ciemne sprawy. Kaczory gwałcą inne kaczory, kaczory gwałcą młode kaczki, kaczki zabijają swoje młode. Ale z jakiegoś powodu, gdy zaczynają płynąć po wodzie i pokwakiwać z zadowoleniem jak panie w średnim wieku podchodzące do wystawy dżemów na festynie w Wirrawee, człowiek o tym wszystkim zapomina. „Od problemów świata odwracam się ku kaczkom”. To chyba pierwszy wers jakiegoś wiersza.

Potrzeba paskudnego krakania kruka, krzyku Gavina albo gałęzi spadającej z wysokiego eukaliptusa, żeby prysł czar, jaki rzucają na mnie kaczki. Potem pędzę zajrzeć do chorej krowy, wziąć butlę na gaz, którą trzeba napęlnić, albo gumowy młotek, który obiecałam pożyczyć panu Yannosowi. Tymczasem Gavin powinien wykonywać własne zadania: ścielić łóżko, dać Marmie jeść i zaprowadzić ją do kojca, pozamykać dom (czym dawniej w ogóle nie zaprzętałyśmy sobie głowy), zatankować pikapa, wyjechać nim z szopy i rozgrzać silnik. Czasem jeździmy motorami, ale zimą przeważnie pikapem. W dni powszednie mamy tak mało czasu, że ruszam jak kierowca Formuły 1 i pędzę do bramy z piskiem opon. Kiedy mijamy szopę do strzyżenia owiec, Gavin pyta: „Co zapomniałaś?”. Nie udało mi się go nauczyć, żeby formułował to pytanie poprawnie. Tak bardzo chce mnie przyłapać, że nie przejmuje się gramatyką. A zawsze o czymś zapominam. To może być jakaś błaździostka, na przykład wyjęcie czystej bielizny z pralki; albo coś osobistego, na przykład umycie zębów; albo coś bardzo ważnego, na przykład pudełko z lunchem, które zostały na stole w kuchni, lub facet z Monsanto, który przyjedzie porozmawiać o sorgo, bo nie przełożyłam spotkania.

Gnamy drogą, rozpryskując błoto albo wzbijając kłęby kurzu i pyłu, w zależności od pory roku. Ja prowadzę i rzucam okiem na bydło pasące się po prawej stronie, a Gavin przygląda się zwierzętom po lewej. Oczywiście nie jest to kontrola z prawdziwego zdarzenia - do kontroli z prawdziwego zdarzenia brakuje jej wielu setek akrów - ale parę razy zauważyliśmy coś, co nagle przekreśliło plany pójścia do szkoły. Gavin wcale się nie przejmuje nieobecnościami, ale ja przejmuję się za nas oboje.

Na początku drogi mijamy wrak datsuna 120 Y - samochodu, którym dawniej podjeżdżałam do autobusu. To był mój osobisty wiejski pojazd. Podobnie jak wszystkie

datsumy 120 Y miał żółty kolor. One chyba musiały być żółte. Rodziły się żółte. Ten nadal był żółty - przynajmniej w miejscach, na których zostało trochę farby. Reszta zrobiła się rdzawo-ruda. Coś mu się przytrafiło w czasie wojny. Gdyby ten wrak mógł przemówić, opowiedziałby historię pełną cierpienia, tragedii i śmierci. Wydawało się jednak mało prawdopodobne, bym kiedykolwiek ją usłyszała. Kiedy po wojnie wróciłam do domu, mój ukochany datsumik był już wrakiem.

Do bramy przy drodze Providence Gully mamy dokładnie cztery kilometry albo trochę więcej, w zależności od licznika. Przeważnie ścigamy się z autobusem. Czasami przyjeżdżamy za późno, dość często autobus na nas czeka, a najczęściej widzimy, jak nadjeżdża i potem czeka, aż zaparkujemy pikapa, weźmiemy swoje kłamoty i zamkniemy samochód. Ostatnio nigdy nie wiadomo, kto siedzi za kierownicą autobusu: pan Gruber, który przed wojną był naszym najbliższym sąsiadem, ale po wojnie przeszedł na emeryturę, zamieszkał w Wirrawee i jest naprawdę fajny; pani Nelson, która mieszka kilka kilometrów ode mnie i jest naprawdę okropna; czy Jerry, który ma około dwudziestu pięciu lat i wprawdzie nie jest jednym z nas, ale bliżej mu do tego o tysiąc lat świetlnych niż pozostałym dwóm kierowcom.

Pan Gruber i Jerry czekają kilka minut, nawet jeśli nas nie widać, ale pani Nelson czeka, tylko jeśli widzi kłęb kurzu, a potem, kiedy wsiadamy, rzuca nam wściekłe spojrzenie. Jasne, powinniśmy przyjeżdżać na czas - i przeważnie przyjeżdżamy, nawet jeśli z mojego opisu wynika, że jesteśmy beznadziejnie niezorganizowani - ale żyjemy w dość trudnych warunkach i przeważnie spóźniamy się z powodu „niespodziewanych problemów”, bo na przykład czyjaś krowa spaceruje drogą, natykamy się na leżącą w poprzek gałąź albo na koalę poturbowanego przez lisa lub psa.

Jak mawiał mój tata: nie da się kontrolować natury ani sąsiadów.

A ja nie umiałam kontrolować Gavina. Siedząc w autobusie nazajutrz po rozmowie z mamą Marka, patrzyłam na tył jego głowy i zastanawiałam się, co mam z nim począć. Ostatnio gazety rozpisywały się o stresie pourazowym. Była specjalna kolumna poświęcona temu zaburzeniu, lekarze pisali o nim artykuły, powstawały grupy wsparcia. Miałam wrażenie, że Gavin jest dzieckiem z zespołem stresu pourazowego żyjącym w świecie z zespołem stresu pourazowego.

Wiercił się, denerwując siedzącego obok chłopca i skubiąc paznokciami gumową uszczelkę wokół szyby. Potem zrobił coś siedzącej przed nim dziewczynce, szóstoklasistce z podstawówki. Nagle się odwróciła, uklękła na siedzeniu i krzyknęła nad oparciem:

- Przestań, ty mały pedale!

Mój problem z Gavinem sprowadzał się do prostego pytania: czy Gavin jest typowym niegrzecznym dzieckiem, czy może ma jakieś poważne zaburzenia i wymaga mnóstwa pomocy? Jednego byłam pewna: poważnie zaburzał moje życie i przez niego wymagałam mnóstwa pomocy.

## Rozdział 14

Gavin o mało nie zemdlał, kiedy zobaczył, że wychodzę z autobusu razem z nim. Zaczął się panicznie rozglądać, poruszając oczami, jakby jego gałki oczne straciły przyczepność, i nie miał siły podnieść plecaka. Wieczór wcześniej nie rozmawiałam z nim o tym, dlaczego jego wizyta u Marka została skrócona, ale gdy wstałam rano i ruszyłam do jego pokoju, poczuł, że nadszedł jego DDay, że nastąpiła godzina mojej władzy i zostanie przybity do ściany jak lisie skóry do wrót stodoły.

Przez chwilę wyglądał tak, jakby zamierzał zostać w autobusie, ale szybko zdał sobie sprawę że to niemożliwe, więc wyszedł za mną. Gdy tylko stanęliśmy na trawie, doskoczył do mnie, odwrócił mnie i próbował wepchnąć z powrotem do autobusu. Nie miałam zamiaru mu na to pozwolić.

Ruszyłam w stronę szkolnej bramy. Wyprzedził mnie biegiem, zagroził mi wejście, rzucił plecak na ziemię i obiema rękami chwycił mnie za łokcie.

Znowu próbował mnie odepchnąć.

- Gavin - powiedziałam, patrząc mu w rozwścieczone oczy - muszę porozmawiać z twoją nauczycielką.

Zrobienie tego bez zapowiedzi nie miało być wyrazem mojej przebiegłości. Ale gdybym uprzedziła Gavina wieczorem albo podczas śniadania, nigdy nie wsiadłby do autobusu. Teraz, wśród tych wszystkich dzieci, znalazł się w trudnym położeniu. Nie mógł mi zrobić popisowej sceny, bo bardzo by się skompromitował. Mimo to zrobił małą, ale wyjątkowo bolesną. Opuścił ręce i chwycił mnie za przedramiona, które ścisnął tak mocno, że potem przez cztery dni miałam siniaki. Próbował mnie zmrozić spojrzeniem, ale wiedziałam, że nie mogę się odwrócić, więc patrzyliśmy sobie w oczy, powstrzymując się od mrugnięcia.

- Muszę się dowiedzieć, co się z tobą dzieje - powiedziałam.

Potrząsnął mną, a potem pokręcił głową. Znowu spróbował mnie odepchnąć, tym razem w stronę liceum, ale inne dzieci zauważyły, że coś się dzieje, zaczęły przystawać i patrzeć na nas. To nie powstrzymało Gavina, ale trochę go spowolniło i onieśmieliło. Było mi go żal, ale było mi żal także tamtego kota.

- Słuchaj, młody, terroryzowali mnie lepsi eksperci od ciebie - powiedziałam, po czym go odepchnęłam i weszłam do szkoły.

Trochę dziwnie jest wejść do swojej dawnej podstawówki. Po pierwsze, dzieci wyglądają tak samo jak te, z którymi chodziło się do szkoły, i człowiek ma dziwne wrażenie,

że cofnął się o kilka lat - tu widzi Fi odwróconą plecami, tam przebiega Homer, kawałek dalej Kevin pochyla się nad game boyem razem z innym chłopakiem, który dla odmiany nie przypominał mi nikogo znajomego. Ale widok twarzy dzieciaków przypominających Fi, Homera i Keviną trochę wytrącił mnie z równowagi.

Po drugie, człowiek czuje się jak olbrzym. Wszystko jest mniejsze, oczywiście uczniowie też, i uświadamiasz sobie, jak bardzo urosłeś w ciągu ostatnich kilku lat. Drzwi są mniejsze, klasy są mniejsze, szafki są mniejsze. A to, jakim cudem mieściłeś się w tych ławkach, jest wprost niepojęte.

Po trzecie, wiele osób cię zaczepia, co może się wydawać całkiem fajne, kiedy widzisz w telewizji, jak ludzie rozchwytyją jakieś gwiazdy, ale jest cholernie upierdliwe, gdy się spieszysz i jesteś w złym humorze. W dodatku najchętniej zaczepiają cię wstrętne dziewczyny. Mówię o tych, które znałam z basenu albo przez ich siostry, braci i rodziców, o tych, które jeździły ze mną autobusem i chyba podchodziły do mnie tylko po to, żeby popisać się przed przyjaciółmi, że mnie znają. Większość z nich mogła ze mną pogadać w dowolnej chwili, więc nie wiem, dlaczego nagle tak bardzo im na tym zależało. To dość krzywdzące dla fajnych dziewczyn, bo oczywiście takich też było mnóstwo, ale byłam zbyt zestresowana, żeby je zauważyć.

Brnęłam zatem przez boisko jak samochód podczas powodzi, zostawiając za sobą cztero - i piątoklasistki mówiące: „Cześć, Ellie. Po co tu przyszłaś? Chcesz porozmawiać z wychowawczynią Gavina? Przyjdiesz na osiemnastkę Brendana?”. Musiałam się bardzo starać, żeby się nie odwrócić i nie warknąć: „Odwalcie się ode mnie!”.

Wiedziałam, że wychowawczyni Gavina nazywa się Rosedale, i oczywiście wiele razy ją widywałam, ale nigdy nie rozmawiałyśmy dłużej niż minutę. A nawet wtedy poruszałyśmy tylko podstawowe tematy: „Mógłby w końcu spaść deszcz”, „Czy Gavin dał pani pieniądze na wycieczkę?”, „Przepraszam, że wczoraj nie było go w szkole, ale burza przewróciła kilka drzew”, „Dziękuję za znalezienie książki, którą wypożyczył w bibliotece”.

Można by pomyśleć, że osoba o nazwisku Rosedale (Różana Dolina) będzie naprawdę miłą. Tak jak w tej książce, w której mały bohater mieszka z ciotką Fidget WonkhamStrong (Wiercipiętą HarującąSrogą), a pod koniec przeprowadza się do ciotki Bundlejoy Cosysweet (Radości Milusiosłodkiej). Od razu wiadomo, że dobrze na tym wyjdzie. Inaczej niż gdyby nazywała się Grumpywitch (Wiedźmozrzęda) albo Sourtits (Skistyścyc). Wydawało mi się, że Gavin lubi swoją wychowawczynię. W zasadzie nigdy zbyt wiele o niej nie opowiadał, ale w ogóle niewiele mówił na temat szkoły. Na mnie ta kobieta też zrobiła dość dobre wrażenie: należała do rzeczowych, konkretnych i typowych nauczycieli z podstawówki.



Nawet nie wiedziałam, co chcę jej powiedzieć. Chyba najbardziej pragnęłam porozmawiać z kimś dorosłym, kto dobrze zna Gavina i mógłby mi doradzić, jak z nim postępować. Moje fajne marzenie o tym, żebyśmy stworzyli dwuosobową rodzinę i by Gavin został bratem, którego nigdy nie miałam, szybko się rozwiewało, bo musiałam być dla niego nie tylko siostrą, ale także matką i ojcem.

W zasadzie byłam trochę wkurzona na rodziców, że zostawili mnie z tym problemem. Sprytnie zapomniałam o tym, że przecież sama sprowadziłam ten problem do domu.

Zastałam panią Rosedale w bibliotece i wbrew temu, czego się spodziewałam, wcale mnie nie zbyła. Myślałam, że będę musiała się umówić na spotkanie i przyjść kiedy indziej.

- Oczywiście, wrócę za pięć minut - powiedziała. - Dzieci właśnie mają muzykę.

Czekając, przechadzałam się między regałami, fundując sobie nostalgiczną wycieczkę. Biblioteka przetrwała wojnę prawie nietknięta. Pamiętam, jak jedna z nauczycielek wspomniała mamie, że choć w czasie inwazji najwidoczniej wypożyczano książki, to jednak potem je zwracano. Zagięło około sześćdziesięciu. Dziwne: ci wszyscy najeźdźcy wypożyczali książki z biblioteki w podstawówce i oddawali je jak normalni ludzie.

Teraz biblioteka była w całkiem dobrym stanie. Poczulałam dreszczyk emocji na widok swoich dawnych przyjaciół: książek Enid Blyton, Pameli Allen, Nan Chauncy, Nette Hilton, Pajęczyny Szarloty, Robinsona Crusoe, Gdzie jest Wally?... Przesunęłam palcem po ich grzbietach, zastanawiając się, dlaczego częściej nie dzielę się nimi z Gavinem. Każdej książce towarzyszył filmik zapisany w mojej głowie: o tym, jak zwinięta w szafce czytałam Gdzie jest Wally?, jak leżałam w łóżku, a tata czytał mi Robinsona Crusoe, jak wylałam sok pomarańczowy na Pajęczynę Szarloty.

- W czym mogę pomóc, Ellie? - zapytała pani Rosedale.

To było jak lekki policzek, który ściągnął mnie z powrotem na ziemię.

Zaprosiła mnie do pokoju. Zanim zdążyłam usiąść, powiedziała:

- Mam nadzieję, że dasz mi kilka wskazówek dotyczących tego, jak postępować z Gavinem.

Poczulałam się tak, jakby wymierzyła mi szybki cios łokciem w brzuch. Myślałam, że usiądzie, otworzy przede mną komnatę z mądrością, którą mają chyba wszyscy dorośli, i wypowie cudowne słowa, które rozwiążą wszystkie moje problemy.

- Jest trochę trudny? - zapytałam.

Czułam się zawstydzona, jakbym ponosiła wyłączną odpowiedzialność za zachowanie Gavina i jakby to, że nie należy do najlepszych uczniów w klasie, było moją osobistą hańbą.

Szeroko rozłożyła ręce, przewróciła oczami i roześmiała się.

- Trochę trudny! - przyznała z przekąsem. - Mam z nim ubaw po pachy. Gnojek. Kłóczę się z nim chyba codziennie, ale i tak wiele uchodzi mu płazem, bo w tak dużych klasach można kontrolować tylko połowę tego, co się dzieje. - Wstała i otworzyła okno, a potem, stojąc przy nim, wyjęła papierosa i zapaliła. - Tylko tutaj mogę sobie na to pozwolić - wyjaśniła i znowu się roześmiała.

Zaczynałam dochodzić do wniosku, że jest dość nerwową kobietą.

- Ellie, czy na tej farmie, na której mieszkacie, są jakieś puste domy? Może chciałabyś któryś wynająć? Albo mój partner mógłby ci pomagać w pracy w zamian za zakwaterowanie?

Byłam coraz bardziej przygnębiona. Chciałam, żebyśmy wróciły do tematu. Czułam się tak, jakbym poszła na dworzec, żeby o siódmej czterdzieści pięć wsiąść do pociągu do Stratton, i nagle znalazła się w pociągu do Zatoki Szewca.

- Nie, przykro mi. Nie mam żadnych domów - powiedziałam. Czułam się niezręcznie, choć nie po raz pierwszy słyszałam takie pytanie. Popyt na domy i mieszkania był ogromny, a w dodatku wiele osób chciało mieć miły domek na wsi ze świeżym powietrzem i mnóstwem przestrzeni. - Myśli pani, że z Gavinem jest coraz gorzej?

- Z Gavinem? No cóż, może trochę. Chyba tak. Od początku nie był najgrzeczniejszy.

- Jest agresywny? - zapytałam.

- Agresywny! - zawołała, wydmuchując kłęb dymu i odsuwając kosmyk włosów z oczu. - Boże, te jego wypracowania i rysunki. Oczywiście niektóre dzieci też widzą świat w czarnych barwach i nikogo to nie dziwi. Ale z nim jest chyba najgorzej. - Teatralnie wzruszyła ramionami. - Gdybyś przeczytała kilka potwornych wypracowań, które zdarzyło mi się czytać po wojnie... Okaleczone kończyny, tułowia bez głów i krew tryskająca jak z fontanny. A niektóre rysunki to istne kolaże z czołgów, karabinów i części ciała. Zaraziły się tym nawet dzieci, które nie widziały zbyt dużo przemocy w czasie wojny.

- Więc co mam zrobić z Gavinem? - zapytałam, czując, jak z każdą minutą rośnie moja bezradność. - Czasami zachowuje się trochę agresywnie.

W sumie nie byłam do końca szczerą, ale nie chciałam mu do reszty zepsuć opinii.

Pani Rosedale wykazała się jednak tą nauczycielską podejrzliwością, która pozwala wyczuć przepisane wypracowanie, okrutny żart albo zmyślane usprawiedliwienie z odległości kilometra. Zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie zza chmury dymu.

- Co zrobił tym razem?

Było wcześniej rano i nie miałam siły unikać pytań podejrzliwych nauczycieli. Zresztą przyszedł do niej po odrobinę pocieszenia i wsparcia.

- Skrzywdził kota - wyjąkałam. - Był u Marka i zrobili kotu coś strasznego.

Zacisnęła usta i odwróciła wzrok.

- Chyba pora się nim zająć - powiedziała. - Przed wojną już dawno trafiłby na terapię, ale w obecnej sytuacji mamy bardzo ograniczone możliwości. Mimo to uważam, że dojrzał do jakiejś interwencji. To skandal, że nie mamy specjalistów od integracji dzieci niepełnosprawnych.

- Nie chcę, żeby miał przeze mnie kłopoty - zastrzegłam. - Po prostu potrzebuję kilku rad dotyczących jego wychowania.

- Boże, bardzo ci współczuję - odparła. - Zresztą Gavinowi też. Nie mam pojęcia, przez co przeszedł w czasie wojny, ale wiem, że to było okropne i że potem nastąpiło to potworne zajście na twojej farmie...

„Potworne zajście”. Chyba tak to się teraz nazywało.

- Tak, to się stało w najgorszym momencie - przyznałam, a po chwili pomyślałam: „Co za głupie zdanie”. Jakby inny moment mógł być lepszy.

Pani Rosedale spojrzała na koniuszek papierosa.

- Wiesz, muszę rzucić palenie - powiedziała.

Nagle za rzędem okien za moimi plecami rozległo się mnóstwo dziecięcych głosów - roześmianych, piskliwych i paplających. Przypominały rój os szykujący się do dnia w ogrodzie.

- Po prostu musisz spróbować ignorować złe zachowania i nagradzać te dobre - powiedziała pani Rosedale. - Kiedy zrobi coś dobrego, nie szczędź mu pochwał, a kiedy jest niegrzeczny, nie zwracaj na niego uwagi. Porozmawiam o nim z panią Howell. Ta historia z kotem brzmi poważnie.

Idąc do liceum, czułam się dość podle. Nie tylko dlatego, że pani Rosedale wcale mi nie pomogła. Obawiałam się, że jeszcze pogorszyłam sprawę. Ostatnią rzeczą, której potrzebowałam, był nalot zgrai ludzi, którzy nie mają zielonego pojęcia o naszej sytuacji. Wiedziałam, że wychowywanie Gavina idzie mi kiepsko, ale miałam przeczucie, że im poszłoby jeszcze gorzej.

## Rozdział 15

Moja pierwsza randka z Jeremym była szalonym i egzotycznym doświadczeniem. Nie pojechaliśmy limuzyną do Stratton na drogą kolację i film w kinie, nie poleciliśmy helikopterem do Nowej Zelandii, żeby spędzić weekend z jego ojcem, nie biwakowaliśmy na Szwie Krawca, robiąc sobie ucztę z jagnięciny i grzybów, nie poszliśmy nawet do McDonalda.

Spotkaliśmy się pod drzewem w czasie przerwy na lunch, na końcu boiska liceum w Wirrawee, przy tablicy wyników. Wymieniłam jedno ze swoich podudzi jagnięcych na jedną z jego kanapek z serem i vegemite. Tak się robi, kiedy ktoś ci się podoba.

To nie była zbyt udana randka, bo czułam się zdołowana i wkurzona, ale próbowałam się uśmiechać i myśleć pozytywnie. Nie chciałam, żeby Jeremy tak wcześnie poznał mnie od tej gorszej strony. Ale on i bez tego wydawał się trochę rozkojarzony. Nawet się nie dotknęliśmy. Trudno mi było sobie przypomnieć dotyk jego ciepłych i silnych rąk. Dziesięć minut przed dzwonkiem w końcu uzgodniliśmy, że będziemy szczerzy i powiemy, co nas gryzie, bo zdążyliśmy już zauważyć, że obydwójce mamy jakieś zmartwienie.

Oczywiście jak zwykle Jeremy, facet, musiał zacząć. To zmartwiło mnie jeszcze bardziej, ale tylko troszeczkę, bo doszłam do wniosku, że gdy rozwiążemy jego problem, zostaną jeszcze ze dwie, trzy minuty na mój.

- Chodzi o Wyzwolenie. To zaczyna przypominać jakiś obłąd. Uważam, że postąpiliśmy słusznie, bo w zasadzie zapobiegliśmy aktowi terroryzmu, a nikt nie mógłby oficjalnie przekroczyć granicy i zrobić czegoś takiego jak my. Ale sytuacja wymyka się spod kontroli. Widziałaś, co wypisują gazety?

Miał naprawdę piękne oczy, takie pełne życia i inteligencji.

Przecząco pokręciłam głową.

- Nie miałam czasu.

- No tak. Ja czytam gazety, a poza tym zawsze mam świeże informacje od ojca. Każdy podpity wariat, który chce zostać bohaterem, przedziera się teraz przez granicę i atakuje ludzi. Nadal łatwo się przedostać na drugą stronę, zresztą doskonale o tym wiesz, i upłyną całe wieki, zanim w końcu uda się postawić porządne ogrodzenie i dobrze zabezpieczyć granicę. Mówi się o SZ, która mogłaby być dość szeroka, a nawet zaminowana...

- Co to znaczy SZ? - przerwałam mu.

Jeremy miał lekko kręcone włosy, dość mocno potargane. Chętnie przeczesałabym je

palcami.

- Strefa zdemilitaryzowana - wyjaśnił. - Neutralny obszar, na którym nikomu nie wolno przebywać.

- Powiedz to kangurom.

- No tak, ale po zaminowaniu ich też raczej tam nie będzie. W każdym razie dwa dni temu zginęli trzej faceci ze Stratton. Ostrzelano ich samochód.

- Po naszej stronie granicy?

Jego skóra pod rozpiętą u góry koszulą wyglądała na brązową i gładką.

- Nie, po drugiej stronie. Nikt nie wie, co ci goście tam w ogóle robili, ale niektórzy twierdzą, że po prostu wybrali się na przejażdżkę. Pili, palili albo jedno i drugie. A w ubiegły weekend doszło do ataku odwetowego na parkingu dla ciężarówek niedaleko Zatoki Szewca. Przeprowadziła go grupa ludzi, którzy wyglądali jak żołnierze i tak też się zachowywali, tylko że nie mieli mundurów, wyszli z lasu, zabili sześć osób, ukradli im pieniądze i odjechali w stronę autostrady wielkim nowym mercem.

- Tak, słyszałam o tym.

Zachwycałam się wzorem, który promienie słońca i liście tworzyły na jego twarzy. Potrząsnęłam głową, próbując się skupić na słowach Jeremy'ego.

- No więc mój ojciec dość mocno naciska na Wyzwolenie, żeby działało aktywniej, bo wróg okazuje się dobrze zorganizowany i skuteczny. Tata uważa, że siła jest dobra, a słabość zła, a historia pokazuje, że trzeba zwalczać takie akcje jak ta w zatoce. Inne szczegóły sytuacji go nie interesują: na przykład to, że my też atakujemy niesprovokowani. Ciągle mu mówię, że historia zawsze się powtarza, a jednocześnie nie powtarza się nigdy. Każda sytuacja...

- Hej, to paradoks.

- Słucham?

- Historia ciągle się powtarza, a jednocześnie nie powtarza się nigdy. Paradoks.

- No tak. Więc każda sytuacja jest inna, nawet jeśli pod jakimiś względami przypomina coś, co już się wydarzyło. A w związku z tym...

- Więc wszystkie sytuacje są takie same, a zarazem inne? Znowu paradoks.

- Ellie, nie mamy za dużo czasu. Chciałem powiedzieć, że sprawę komplikuje fakt, że ojciec nie chce, żebym się w to angażował, co jest prawdziwą hipokryzją z jego strony, chociaż on twierdzi, że wcale nie, bo po prostu jestem za młody i zbyt niedoświadczony. Ale wie, że połowa Wyzwolenia to młodzi ludzie, a ci z doświadczeniem szkolą tych bez doświadczenia.

- Co na to Szkarłatny Pryszcz? - zapytałam z lekkim uśmiechem, chcąc mu pokazać, że jeśli to on jest Szkarłatnym Pryszczem, to ja już o tym wiem (o ile to brzmi sensownie).

Roześmiał się.

- Hmm. Szkarłatny Pryszcz. Szkarłatny Pryszcz uważa, że powinniśmy siedzieć cicho przez co najmniej parę tygodni, żeby zobaczyć, w którą stronę to wszystko zmierza. Ale gdyby wydarzył się jakiś dramat, coś naprawdę ważnego... Jakby tego było mało, to wszystko cholernie mnie przeraża. Na przykład ten szalony pęd, kiedy tam byliśmy, a nawet w pewnym sensie po powrocie. Do tego totalny strach i wrażenie, że postarzałem się o jakieś dwadzieścia lat. I to, że jeszcze z tydzień później czułem ucisk w gardle.

- Dość dobrze to ukrywałeś.

Nie wiem, czy to małe wgłębienie między nosem a ustami ma jakąś nazwę, ale u Jeremy'ego było trochę dłuższe i wyraźniejsze niż u większości ludzi.

- Przecież ty też to ukrywasz, prawda? Dlaczego tak dziwnie mi się przyglądasz?

- Naprawdę? Przepraszam.

- Nieważne, teraz ty powiedz, co ci leży na sercu. Została nam tylko chwila.

Racja. Dokładnie tak, jak przewidziałam.

- Och, po prostu chodzi o Gavina - powiedziałam słabym głosem. - Pakuje się w więcej kłopotów niż zwykle. Niedawno on i jego kumpel Mark zrobili coś naprawdę okropnego.

Zadzwoił dzwonek. Jeremy zaczął wstawać, otrzepując się z trawy i liści.

- Tak, domyślałam się, że z kimś takim jak on mogą być problemy - powiedział. - Nie mam pojęcia, jak należy postępować z dziećmi.

W głębi serca wiedziałam, że Jeremy nie jest doskonały, ale miałam tę świadomość wyłącznie dlatego, że żaden człowiek nie jest doskonały, a czasami, zwłaszcza kiedy zawierasz nową znajomość, starasz się o tym nie zapominać. Za to teraz byłam już pewna, że nie jest doskonały, nawet jeśli jest przystojny. Staralam się nie zgrzytać zębami, kiedy szliśmy w stronę szafek. Zgrzytanie zębami jest takie nieatrakcyjne.

W drodze ze szkoły do domu spróbowałam poradzić się Homera. Kiedy mu powiedziałam, że Gavin sprawia problemy, roześmiał się. Szczerze mówiąc, już kilka razy zdarzyło mi się poskarżyć na Gavina. Nie twierdzę, że Gavin, Jeremy, pani Rosedale czy ktokolwiek inny był nieczuły albo obojętny. Chyba po prostu wszyscy byliśmy bardzo zajęci w tym naszym nowym wspaniałym świecie. Pochłaniało nas zmaganie się z własnymi bliźniami wojennymi: fizycznymi i psychicznymi. Poza tym chyba zawsze wyrażam się w powściągliwy sposób, więc kiedy próbowałam mówić ludziom, że martwię się o Gavina, nie

kładłam na to wystarczająco dużego nacisku.

Gdy wspomniałam o kocie, Homer zaczął monolog na temat przewracania śpiących krów. Monolog szybko przerodził się w rozmowę, bo włączył się Sam Young. Sam przechylił się nad oparciem przed Homerem i zaczęli wymieniać doświadczenia.

Siedząca obok mnie Shannon Young twierdziła, że przewracanie śpiących krów jest nielegalne. Chyba powinnam wyjaśnić, że przewracanie krów następuje wtedy, gdy zakradasz się do krowy śpiącej na pastwisku, popychasz ją w pewien określony sposób, a ona przewraca się na bok i leży dalej, nie budząc się ze snu. To dość zabawne, bo nogi krowy śmiesznie sterczą, ale przewracanie jest bardzo szkodliwe dla krów, chociaż nie jestem pewna dlaczego. Pewnie siniaczy mięso, a na domiar złego wyrabia w nich złe nawyki dotyczące spania. No bo jak byście się czuli, gdybyście codziennie zasypiali z obawą, że w środku nocy jakiś nastoletni kretyn zakradnie się, żeby was przewrócić? Chyba mniej więcej tak samo jak ja się czuję od początku inwazji, gdy idąc spać, nigdy nie jestem pewna, czy w środku nocy nie zjawi się jakiś facet z karabinem, żeby mi zrobić coś znacznie gorszego niż przewrócenie na bok.

Może właśnie dlatego w kwestii przewracania brałam stronę krowy. W każdym razie od czasu wojny.

Przyszła pora, żeby podjąć drugą próbę oswojenia gór. Postanowiłam, że nie pozwolę im się pokonać. Bo co mi mogły zrobić? To, że stały od tysięcy lat, że tworzyła je skała, że zajmowały powierzchnię tysięcy kilometrów kwadratowych, nie znaczyło, że ja, zbudowana ze skóry, kości i miękkich elementów wewnętrznych, takich jak serce i wątroba, i ważąca mniej więcej tyle co dość mały głaz, ale mająca bogate doświadczenie życiowe, nie potrafię ich pokonać. Przecież byłam dziewczyną z gór.

Tym razem zabrałam ze sobą Gavina, bo doszłam do wniosku, że w jego towarzystwie trudniej mi będzie uciec. Poza tym uznałam, że przyda nam się przerwa, popołudnie w jakimś pięknym miejscu, a nawet lekkie zacieśnienie więzi. Kilka pozytywnych chwil z dala od domu Marka i tego nieszczęsnego martwego kota.

Nie żebyśmy naprawdę potrzebowali zacieśniania więzi. Mimo frustracji i kłótni dobrze się rozumieliśmy. Wiedziałam, że Gavin nadal ma poważne problemy, że niesie spory bagaż, że niewłaściwie się zachowuje i tak dalej, ale żadne z nas nie pozwalało, żeby to zatruło naszą więź. Wiedziałam, że Gavin mnie kocha, a jeśli on nie wiedział, że ja go kocham, to nie miał pojęcia o miłości.

Po tej okropnej historii z kotem i po mojej wizycie w szkole Gavin stał się dobry aż do bólu. Nie tylko odrabiał lekcje, ale robił to w sposób zwracający uwagę - co kilka minut

przychodził i prosił mnie o pomoc oraz szukał pretekstów, żeby mi pokazać, ile zrobił sam, żebym widziała, jak bardzo się stara. Nie tylko to - wszystkie domowe obowiązki wykonywał tak, jakby je uwielbiał. Chodził spać bez szemrania, wstawał wczesnie rano i nie spóźniał się na autobus. Miałam ochotę delikatnie wylać mu na głowę kubek wody i powiedzieć: „Wyluzuj, wszystko jest w porządku, po prostu bądź sobą”, ale powstrzymałam się z dwóch powodów. Po pierwsze, uznałam, że mogę się podelektować spokojem, póki trwa, a po drugie, czułam głęboki strach, że może jednak wcale nie jest w porządku.

W każdym razie zrobienie czegoś rozsądnego i normalnego wydało mi się dobrym pomysłem. Na początku Gavin nie chciał ze mną iść, ale stopniowo zaczął zmieniać zdanie. Postanowiliśmy urządzić sobie piknik i w końcu bardzo się napaliliśmy na tę wyprawę. W poprzedni weekend zrobiłam trochę reliszu, korzystając ze starego przepisu mamy: z imbirem oraz jak zwykle z pomidorami, cebulą i octem. W czwartek dostaliśmy od pani Yannis kawałek pieczeni jagnięcej, więc zrobiłam kanapki z jagnięciną i sałatą z supermarketu. Czasami mam dość wołowiny, ale jagnięcina nigdy mi się nie nudzi, a Gavin jest wybitnie mięsożerny, więc wiedziałam, że obydwoje będziemy zadowoleni.

Wspinaliśmy się bez końca. Natrafiliśmy na kilka stromych odcinków, których szczerze nienawidziłam, ale przeważnie było fajnie, mimo że musieliśmy się namęczyć. Raz przystanęłam, żeby Gavin mógł do mnie dołączyć, ale chyba potraktował to jak obelgę, bo wyprzedził mnie bez słowa i potem cały czas prowadził.

Wszystko wydawało się takie znajome. Eukaliptusy, grań, niebo i mały krępy Gavin ze spuszczoną głową niestrudzenie maszerujący naprzód. Raz po raz byłam wdzięczna losowi, że znowu możemy iść przez las w biały dzień, i prawie równie często się zastanawiałam, jak nam się udawało tak sprawnie poruszać w nocy. Oczywiście jeśli księżyc świeci jasno, można się przemieszczać bez problemu, ale w ciemne noce człowiek podnosi dłoń na wysokość oczu, pyta sam siebie: „Ile widzisz palców”, i nie widzi żadnego.

Kiedy podeszliśmy do miejsca, w którym poprzednio dałam za wygraną, zastanawiałam się, czy Gavin jakoś zareaguje. U niego musiało to budzić takie same wspomnienia jak u mnie. Coraz bardziej wpatrywałam się w jego kark, próbując się skoncentrować. Nie po raz pierwszy podziwiałam siłę tego chłopca. Za to sama pociłam się jak mysz i wiedziałam, że nawet słońce i wysiłek fizyczny związany ze wspinaczką nie są w stanie tego wyjaśnić. Ale stawiałam nogę za nogą. Serce trzepotało mi w piersi jak skrzydełka ptaszka, którego znajdujesz na ziemi po burzy i trzymasz w zwiniętej dłoni. Gavin nawet się nie rozejrzył. Czułam się tak, jakby mnie holował przez strefę zagrożenia.

I nagle, znacznie szybciej, niż przypuszczałam, znaleźliśmy się na szczycie. Szeroko



się uśmiechnęłam i pacnęłam Gavina po głowie. Czułam się tak, jakby góry znów należały do mnie. Zapomniałam o zmasakrowanych kotach, kredytach i wojnie, podniosłam głowę, odrzuciłam ręce do tyłu i chłonęłam niebo. Biegałam zygzakiem wśród skał, mchu i kęp trawy, a potem popędziłam przed siebie i prawie straciłam Gavina z oczu. Może gdyby go przy mnie nie było, nigdy bym tu nie dotarła. Widok jego smutnej małej postaci obserwującej mnie ze szczytu nie ostudził mojej radości, ale przypomniał mi, że nadal należę do świata. Nie umiałam fruwać. Moje skrzydła znów działały, ale kotwice mocno trzymały mnie przy ziemi.

Wróciłam, rzuciłam się na Gavina i poturlaliśmy się kilka metrów, siłując się i śmiejąc. Ostatnio naprawdę muszę się postarać, żeby z nim wygrać. Kiedy już myślałam, że go przygwoździłam, wymknął mi się, jakimś cudem znalazł się na mnie i usiadł mi na głowie. Podkurczyłam nogi i napięłam mięśnie karku, żeby go zrzucić, a potem znowu się na niego rzuciłam. Stałam na czworakach. Gavin zerwał się z miejsca i pobiegł do tyłu z wyciągniętymi rękami, jakby się szykował do odparcia ataku, a potem runął w przepaść, nadal ze śmiechem, nadal z tymi wyciągniętymi rękami.

Zrobiło mi się słabo. Poczulałam mrowienie na każdym skrawku skóry, wszystkie włosy na głowie, karku i rękach stanęły mi dęba, a usta i gardło nagle wyschły. Pobiegłam, próbując krzyczeć, ale okazało się, że nie mogę wydobyć głosu, a potem uświadomiłam sobie, że to i tak strata czasu, bo przecież Gavin jest głuchy. Zobaczyłam grudki świeżo odkrytej ziemi, smugę w miejscu, gdzie jego buty zarysowały krawędź urwiska, i w ostatniej chwili się zatrzymałam, unikając spadnięcia w ślad za nim.

Położyłam się na brzuchu, podczołgałam i spojrzałam w dół. Jezu! Ale miejsce sobie wybrał! W okolicy było niewiele stromych urwisk, lecz to okazało się bardzo strome. Od razu zauważyłam Gavina. Spadł jakieś, bo ja wiem, dwanaście albo i piętnaście metrów. Jakimś cudem zatrzymał się na skrawku ziemi i jakimś cudem na niej utknął - jakimś cudem wytrzymała. Nie wiedziałam, jak bardzo się poturbował, ale nadal żył. Leżał na tej ziemi twarzą w dół, ale było za mało miejsca, żeby zmieścić się tam cały, więc spora część jego ciała zwisała nad przepaścią. Jak u kogoś, kto krzywo ułożył się na kanapie i za chwilę może spaść na podłogę.

W tym wypadku podłoga była daleko. Nie wiem, jak bardzo - sześćdziesiąt metrów dalej, osiemdziesiąt czy sto. Nieważne. W każdym razie daleko.

Gavin poruszał rękami, próbując się zaczepić na tym skrawku ziemi i nie naruszyć go. Sypał się stamtąd deszczyk piasku, więc podpora niezbyt dobrze znosiła obciążenie. Jedną ręką Gavin złapał się korzenia albo jakiejś rośliny po lewej stronie, ale druga ręka nie miała

aż tyle szczęścia.

Gapiałam się na niego. Moje oczy musiały mieć wielkość płyt kompaktowych. Czułam, że są ogromne. Nagle Gavin spojrział na mnie z dołu. Przestał macać ręką i patrzył mi w oczy. Zauważyłam w nim tę samą determinację co zwykle. Zawsze okazywał ją z dumą. Teraz dostrzegłam jeszcze bezbrzeżne przerażenie, minę człowieka, który za chwilę ma umrzeć i doskonale o tym wie. Miałam jedno z tych małych objawień, które czasami nam się zdarzają, kiedy spoglądamy na przyjaciół i przez chwilę widzimy ich w wieku pięćdziesięciu lat. Zobaczyłam Gavina pięćdziesięciolatka, a potem stulatka.

Staralam się, żeby moja twarz odzwierciedlała tylko dumę i determinację widoczne na jego twarzy. Panika na nic by mu się nie przydała. Próbowalam zmusić umysł do działania. Nie mieliśmy sznura, komórki, krótkofalówki ani helikoptera. Gavin był o włos od śmierci, ja przewidywałam, że pewnie spróbuję go dosięgnąć i prawdopodobnie przy tym zginę. Ale w takich sytuacjach nie ma się żadnych wątpliwości i prawie nie czuje się strachu. Wszystko podporządkowuje się tylko i wyłącznie chwili. Pogoda, widok, nasz koc piknikowy, a dalej farma, przyjaciele, szkoła, życie... to wszystko nagle przestało się liczyć. Nie istniało.

Odsunęłam się odrobinę, próbując wymyślić jakieś narzędzia, rekwizyty, czekając na jakiś cud. Nic. Nic. Mój kontakt wzrokowy z Gavinem, ta nadzwyczajna chwila jasności, dobiegł końca i mój umysł znowu zaczynał galopować. Wiedziałam, że za milisekundę muszę zacząć się zsuwać po tym urwisku, ale przedtem chciałam zrobić coś, co dałoby mi - nam - jakąś małą szansę, jakąś maleńką nadzieję. Spojrzałam na plecak. Kanapki z pieczenią jagnięcą? Niewiele więcej mogłam tam znaleźć. Następnym razem muszę się lepiej przygotować. Tylko że następnego razu nie będzie. Nie będzie żadnych następnych razów.

- Rozejrzałam się. Już pełzłam z powrotem do krawędzi urwiska, myśląc, że muszę coś zrobić. Nie mogłam tego dłużej odkładać. W plecaku nie miałam nic oprócz kanapek z pieczenią jagnięcą i odrobiną sałaty, a na Szwie Krawca były tylko drzewa i skały. Nie przynieśliśmy ze sobą nic, co mogłoby mi się przydać, i las też nie oferował żadnej pomocy. Tak to już jest z lasami.

Byłam na krawędzi urwiska, niedaleko miejsca, w którym spadł Gavin. Czując wszechogarniające przerażenie, powoli przesunęłam się do przodu. Czy miałam jakieś pojęcie o wspinaczce? O tej konkretnej wiedziałam jedno. Wątpiłam, że mogę go uratować, że obydwójce wyjdziemy z tego żywili. Miałam pewną niejasną i nie do końca ukształtowaną świadomość, że spróbuję do niego dotrzeć, żeby go jakoś pocieszyć, żeby przy nim być, i że to będzie koniec tej historii. Spojrzałam na dół. Dzięki Bogu, nadal tam był. Jego przerażenie zaczynało się uwidaczniać. Zerknął na mnie. Chyba zrozumiał, że nie powinien się ruszać, nie

powinien krzyżeć, nie powinien błagać, bo wystarczy leciutki ruch, by podtrzymująca go ziemia się osunęła. Już kiedy na mnie spojrział, trochę się poruszył, a wtedy wydałam zduszony okrzyk, bo jego stopy wywołały kaskadę ziemi. Wiedziałam, że wkrótce cała struktura runie. Mimo to Gavin przesunął się jeszcze raz. Zastanawiałam się, czy nie łapie go skurcz.

Wiedziałam tylko jedno na temat wspinaczki - jedno i nic więcej. Nie pamiętam, od kogo to usłyszałam. Chyba od jakiegoś nauczyciela w szkole. „Należy używać palców rąk i nóg”. I tyle. Cała moja wiedza streszczała się w tych kilku słowach. A, i jeszcze to, że trzeba się odwrócić twarzą do skały. Wracały do mnie następne skrawki wiedzy, następne wspomnienia. „Nieważne, co ci mówi instynkt - musisz się zwrócić twarzą do skały”.

Instynkt mi mówił, żebym nie patrzyła na skałę. Podpowiadał mi, żeby przywrzeć do niej plecami. Mój mózg toczył walkę z instynktem. Mózg mówił: „Ktoś kiedyś dał ci dobrą radę. Musisz z niej skorzystać”. Instynkt przekonywał: „Lepiej widzieć, dokąd się idzie. Patrząc w przepaść, będziesz kontrolowała sytuację. Będziesz kontrolowała bieg zdarzeń. Właśnie tego chcesz, prawda?”.

Wszystko sprowadza się do kontroli. Zawsze.

Trzeba było wielkiej odwagi, żeby odwrócić się plecami do świata i skupić na skale. Zazwyczaj nie uważam się za odważną osobę, ale zmuszenie instynktu do podporządkowania się mózgowi to nie byle co, więc równie dobrze można to nazwać odwagą.

Patrzyłam na dół. Jedna część mnie już się wymknęła spod kontroli: oddech. Wcześniej tego nie zauważyłam, ale nagle się usłyszałam, dotarły do mnie gorączkowe, świszczące dźwięki. Próbowałam nad nimi zapanować. Wdech, wydech. Zrobiłam tak trzy razy, a potem o tym zapomniałam. Zbyt dużo się działo.

Ku swojemu zdziwieniu odkryłam, że rada dotycząca pracy palców sprawdza się lepiej, niż przypuszczałam. Z całej siły przyłgnęłam do skalnej ściany, ale potem uznałam, że przesadzam, i trochę się odsunęłam. Pierwszy odcinek nie był tragiczny, wydawał się dość spadzisty, ale wkrótce poczułam z przerażeniem, że robi się coraz bardziej stromo.

Znowu spojrzałam na Gavina. Obserwował każdy mój ruch. Nawet nie pisnął. Dawniej uważano, że wszyscy niesłyszący są głuchoniemi. Nie wiem, jak inni głusi, ale Gavin potrafił hałasować jak zagubiona kakadu. Całymi dniami gadał pod nosem, a kiedy był ze mną i z ludźmi, którym ufał, bardzo starał się mówić, jak należy. Milkł tylko w towarzystwie obcych i w takich sytuacjach przestawiał się na dyskretne gesty, którymi pokazywał mi, czego chce.

Teraz siedział cicho. W jego nagłym milczeniu było coś dziwnego. Może czuł się jak

królik w świetle reflektorów. Dla jego dobra próbowałam się skupić na wspinaczce. Nie widziałam dla siebie nadziei i chyba dałabym za wygraną, gdybym tam była sama, gdybym musiała się zsunąć w dół urwiska z jakiegoś innego powodu. Ale nie chciałam, nie mogłam porzucić Gavina - nie po tym, przez co razem przeszliśmy, nie po tym, jak już wielokrotnie go porzucano.

Obiema nogami i rękami szukałam jakiejś dziurki, pęknięcia, wżórka. To zadziwiające, ale nawet mała szczelina jest w stanie zapewnić ciału oparcie. Wsunęłam palce lewej dłoni w taką szczelinę, palce prawej w pęknięcie pełne piachu i żwiru. Lewa stopa spoczywała na małym kamieniu, a palce prawej przywarły do miejsca, w którym wystawał kawałek skały.

Wtedy mały kamień pod moją lewą nogą osunął się i obie ręce nagle odłączyły się od urwiska. Poczułam ucisk w żołądku. Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Złapałam skałę z powrotem, próbując znaleźć coś, co mnie utrzyma. To było dziwne, mój umysł nadal pracował, nawet mimo paniki. Dłonie chwyciły gorączkowo, ale usiłowały to robić starannie. Nagle mignęło mi przed oczami oddalone o milion kilometrów dno urwiska. Chyba tak naprawdę go nie widziałam, ujrzałam go oczyma duszy. Moje palce wreszcie na coś trafiły, w zasadzie na nic wielkiego, na małe wklęsłości, które przy odrobinie szczęścia mogły mnie utrzymać przez kilka sekund. Gorączkowo macałam wolną stopą, szukając czegoś lepszego, ale nie mogłam tego robić zbyt gwałtownie, żeby się nie pogrążyć przez własne działanie. Bo jak wiadomo z fizyki, każda akcja wywołuje reakcję.

Złapałam się urwiska, łkając z przerażenia. Wiedziałam, że jestem o włos od śmierci. Nie po raz pierwszy, tyle że zazwyczaj zagrażali mi żołnierze z karabinami. Teraz toczyłam bój z naturą i z grawitacją. Próbowałam o czymś pomyśleć, znaleźć jakąś myśl, z którą można by umrzeć, która byłaby warta śmierci. Nie chciałam umrzeć z pustką w głowie, a właśnie tak działa panika: w głowie masz tylko pustkę, która obraca się tam z bardzo dużą prędkością.

Przez ten cały czas inna część mojego umysłu, chyba ta odpowiedzialna za odruchy, nakazywała dłoni macać w poszukiwaniu lepszego miejsca. Nie robiłam tego z nadzieją, raczej jak lis z kulą w piersi czołgający się w stronę krzaków - jakby myślał, że gdy zniknie z centrum uwagi, jego sytuacja nagle ulegnie poprawie.

Natrafiłam na coś, co wydawało się solidniejsze, spojrzałam na to i pomyślałam, że wygląda mało imponująco: zwykłe lekkie wybrzuszenie w skale. Jednak ufałam ręką bardziej niż oczom, więc wbiłam palce w to miejsce i trochę odciążałam drugą rękę. Resztkami samokontroli próbowałam zapanować nad drżeniem ciała. Szybko spojrzałam na dół w poszukiwaniu następnego punktu oparcia. Pomyślałam, że jeśli zdołam się zmusić do

ruchu, to może szybciej się uspokoję. Zupełnie jak z wchodzeniem na grzbiet konia po upadku.

Zabawne, nawet nie przyszło mi do głowy, żeby wrócić na górę. Zamiast tego zsunęłam się na następny kamień, nie nauczywszy się jeszcze, że te małe, miękkie, wystające grudki to śmiertelne pułapki. Na szczęście ten odłamał się natychmiast, wyświadczając mi przysługę, bo nie zdążyłam jeszcze przenieść na niego ciężaru ciała. Pospiesznie cofnęłam nogę do poprzedniej pozycji, ale było za późno. Za bardzo zniżyłam swój środek ciężkości. Musiałam znaleźć inne oparcie dla nogi, i to szybko. Zauważyłam skalną wypustkę po prawej i wyciągnęłam się w jej stronę.

W którymś momencie zrozumiałam, co się dzieje. Te wszystkie telewizyjne doniesienia o utonięciach... często wyglądało to tak, jakby jeden człowiek wpadł w tarapaty, dał się ponieść prądowi, a drugi, trzeci, a nawet czwarty skoczyli mu na ratunek. Zwykle byli to mężczyźni: ojciec, wujowie i bracia, którzy nie umieli pływać i doskonale o tym wiedzieli, ale ich serca wiedziały co innego - że nie mogą tak stać i patrzeć, że muszą się znaleźć w wodzie razem z tonącym i podzielić z nim los, który go czeka.

Musiałam być z Gavinem albo najbliższej Gavina, jak się da. Uznałam, że schodzenie w dół nie powinno tak długo trwać. Mogłam stracić za dużo siły i gdybym do niego dotarła, nie miałabym nic więcej do zaoferowania. Moje ręce i nogi wibrowały nerwową energią, którą już zużyłam. Nie mogłam po prostu zaszaleć i popędzić po ścianie urwiska. Wystarczył jeden fałszywy ruch, żebym spadła i skrzyła kark. Musiałam wymyślić coś lepszego.

Z całych sił próbowałam zdobyć trochę kontroli nad umysłem. Powtarzałam sobie, że muszę się zmienić w specjalistkę od wspinaczki wysokogórskiej. Że muszę się tego nauczyć. Próbowałam się skupić na technice. Jak przez mgłę przypomniał mi się Jeremy mówiący o rugby i o tym, jak zdobywał rozliczne nagrody dla najlepszych albo najsukuteczniejszych zawodników. Mniejsza o nie. Zapytałam, jak to możliwe, skoro jego najważniejsze zadanie polega na podawaniu piłki innym zawodnikom, na byciu łącznikiem. A on odparł, że jego sekret to szarża. Nawiasem mówiąc, ta rozmowa z Jeremym była nietypowa, bo normalnie jest bardzo skromny, ale tym razem udało mu się zasugerować, że jest dość dobrym zawodnikiem blokującym. Wspomniał, że kiedy zaczął grać w rugby, za bardzo się bał, żeby szarżować, jak należy, więc zapytałam: „Jak przezwyciężyłeś ten strach? Jak przestałeś się bać?”. A on powiedział, że patrzył na przeciwnika i wyobrażał sobie, jak na niego szarżuje, obmyślał najlepszą taktykę i o dziwo, kiedy już szarżował, nie czuł strachu.

„Więc skupiasz się na technice?” - upewniłam się. „Chyba tak” - odpowiedział.

Znowu to samo: walka umysłu z instynktem.

Nie wisiałam na urwisku przez pół godziny, rozmyślając o tamtej rozmowie z Jeremym. Poświęciłam jej tyle czasu, ile zajęłoby napisanie dwóch słów. Ale ten mały przeblysł wspomnienia okazał się pomocny.

Zacisnęłam zęby. Skupiłam się i spojrzałam w prawo. Mój wzrok zatrzymał się na szczelinie, pęknięciu oddalonym ode mnie o jakieś cztery metry. Gdyby udało mi się do niego dotrzeć, byłabym już prawie przy Gavinie. Nie potrafiłam myśleć o tym, co nas czeka później, więc o tym nie myślałam. Już wiedziałam, że niektóre kamienie są miękkie i trzeba je omijać. Skupiłam się na technice, wbijając się palcami rąk i nóg w małe zagłębienia i wybrzuszenia. To zabawne: te maleńkie piegi, normalnie niewidoczne, nieinteresujące i nieważne dla żadnego człowieka w historii tych gór, stały się dla mnie ich najistotniejszą cechą. Równie ważną i znaczącą jak same góry.

Męczyły mi się ręce, a palce coraz bardziej się otwierały. Rozchylały się, jakbym przestała je kontrolować. Jakby atakował je skurcz. Musiałam się ruszać. W połowie drogi do szczeliny znalazłam tak dobrą pozycję, że przez chwilę mogłam pozwolić odpocząć lewej ręce. Prawa i obie nogi były bezpieczne, więc rozprostowałam palce i pomachałam nimi, żeby zaczęły lepiej pracować. Nawet mój umysł zrobił sobie kilkusekundowy urlop.

W czasie wojny był taki okres, że odwróciłam się od Ellie i zmieniłam w kogoś albo coś innego. Mówiąc w skrócie, chyba stałam się żołnierzem. Na początku popełniałam mnóstwo błędów, ciągle czułam zagrożenie, myślałam, że mnie złapią, zabiją albo jedno i drugie. Wydawało mi się, że działam bardzo profesjonalnie i sprytnie, ale kiedy później myślałam o tamtych miesiącach, nie mogłam pojąć, jak nam się udało przetrwać. A potem pewnego dnia się zmieniłam. Nie musiałam już za dużo myśleć o tym, co i jak robić. Stałam się częścią środowiska, tak samo jak lis, wąż czy paszczak australijski. Ale coś mnie od nich różniło. Moim naturalnym środowiskiem była wojna. Od tamtej pory zawsze poruszałam się szybko i cicho. Zauważałam - i to z wielką wyrazistością - każdy dźwięk, zapach i najmniejszy ruch. Nie ingerowałam w nie, bo nie chciałam zostawić żadnych śladów. Byłam przebiegła, wystraszona, zła, zdeterminowana i czujna. To stało się moją drugą naturą.

Czasami młodsze dzieciaki żałują, że nie mogły robić w czasie wojny tego co my. Przeważnie myślę wtedy: „Jesteś zbyt mało uważny, tak bardzo skupiasz się na sobie, że nie zauważyłbyś dwunastu kolesi z karabinami z odległości pięćdziesięciu metrów, a co dopiero świeżo nadepniętego kawałka zbutwiałego drewna na szlaku albo alarmującego krzyku wystraszonej sroki”.

W moim wypadku ta zmiana nastąpiła dość nagle, chyba podczas szalonej ucieczki z lotniska, które puściliśmy z dymem, albo tuż po niej, kiedy porzuciliśmy ciężarówkę i

weszliśmy do rzeki.

Na ścianie urwiska próbowałam wrócić do tamtego stanu ducha. Uświadomiłam sobie, że to to samo co skupienie się na technice - przynajmniej pod jednym względem: bo przestajesz się skupiać na sobie. Stajesz się częścią środowiska większego niż twój własny umysł i twoje ciało. Oprócz myślenia o każdym ruchu i kroku oraz szukania najlepszego miejsca dla każdego palca rąk i nóg, dla całego ciała, musiałam zdobyć prawo do bycia na tym urwisku, stapiając się z nim tak, by nikt nie zauważył, że to nie moje miejsce. By ktoś obserwujący nas przez lornetkę mógł pomyśleć: „Widzę skałę, jaszczurkę, kępę trawy, Ellie, następną skałę i mały niebieski kwiat..

Wciśnięta w szczelinę, roztrząsałam dostępne możliwości. Muszę przyznać, że było ich niewiele. Znalazłam się tak blisko Gavina, że gdybym wyciągnęła rękę i gdyby on wyciągnął swoją, dzieliliby nas niespełna metr. Ale co z tego? Mały skrawek ziemi, na którym utknął Gavin, wydawał się już o połowę mniejszy, niż kiedy zaczęłam schodzić z urwiska. Może ciężar Gavina spowodował erozję, a może widok z góry wprowadził mnie w błąd. Jednego byłam pewna - taki skrawek ziemi nie utrzymałby nas dwojga. I nie był w stanie długo utrzymać samego Gavina. Cały czas osypywała się ziemia. Czasami kilka ziarenek piasku, a czasami znacznie więcej. Zupełnie jakby wyścielić nowy stawek workiem na śmieci dziurawionym przez kangura przychodzącego się napić. Kilka małych otworków, ale przez nie zbiornik nigdy nie trzymałby wody. Kap, kap, kap.

Gavin nadal... właściwie co? Bo ja wiem. Był w szoku? Czekał mężnie i spokojnie? A może złamał kręgosłup i leżał, zastanawiając się, jaki model wózka inwalidzkiego jest najlepszy dla dzieci mieszkających na farmie? Raczej nie. Był przytomny i chyba mnie widział, ale z tego, co zauważyłam, wcale się nie ruszał. To dobrze, pod warunkiem że nie sparaliżował go strach. Nadal się we mnie wpatrywał i śledził każdy mój ruch. Miałam wrażenie, że odkąd ruszyłam w jego stronę, nie odrywał ode mnie oczu.

Byłam pewna, że kiedy już znajdę się wystarczająco blisko, stanie się to, co w opowieściach o tonących ludziach. Gavin chwyci mnie i nie będzie chciał puścić, tak jak oszaleli ze strachu tonący, którzy wciągają swoich niedoszłych wybawicieli pod wodę - odciągnie mnie od urwiska i spadniemy razem, będziemy lecieli w nieskończoność, a potem, nadal zwarci w uścisku, uderzymy o skały.

Nie mając żadnego planu ani rozsądnego pomysłu, wytyczyłam sobie trasę po skale do miejsca pod Gavinem. Nie chciałam zawisnąć nad nim, bo gdybym spadła, pociągnęłabym go za sobą, a wołałam nie mieć go na sumieniu przez kilka ostatnich sekund swojego życia. Natomiast z powodu, o którym wspomniałam, wołałam nie podchodzić do niego z boku.

Rozmawiałam z nim jednak, bełkocząc bez sensu, jak wtedy, kiedy śpiewam piosenki, pilnując nocą stada bydła. Oczywiście nie mógł tego usłyszeć. Ale pomyślałam, że trochę się uspokoi, kiedy zauważy, że sobie paplam, jakbym siedziała w szkolnym autobusie obok Homera i miała dobry humor.

- Ładny dzień na takie przygody... Jeśli jakimś cudem przeżyjemy, nie róbmy tego więcej, okej?... Trzymaj się, mój żądny wrażeń mały przyjacielu, nigdzie się teraz nie oddalaj...

Mój krótki odpoczynek dobiegł końca. Odzyskałam trochę siły w rękach i nogach, a właśnie po to sterczałam bez ruchu tych kilka chwil. Ale ogólnie rzecz biorąc, słałam. Za bardzo się męczyłam. No więc wykonałam manewr i na drżących nogach zaczęłam się zsuwać w szczelinie. Nagle zdałam sobie sprawę, że jeśli - albo kiedy - spadniemy, wylądujemy w Piekło, na jego północnym krańcu, gdzie jeszcze nigdy nie byłam, i pomyślałam, że dziwnie byłoby umrzeć w miejscu zwanym Piekłem, które tyle razy nas uratowało, które było naszym schronieniem, ale teraz, jakby na zakończenie dobrego kawału, wyciągało rękę po skazane na porażkę dusze, które nie rozumiały, o co tak naprawdę chodzi w tym dowcipie.

Sprytne Piekło - taka pomysłowa sztuczka: najpierw pocieszyć i pomóc, by potem zdradzić. Znacznie ciekawiej, niż zabić od razu. Zabicie od razu byłoby pewnie bardzo nudne dla króla piekła.

Naśladowując pająka, przesuwałam się w bok. Znalazłam się pod Gavinem, tak jak chciałam. To chyba dobrze, ale tym samym przystąpiłam do wykonania planu, który w zasadzie miałam w mózgu, w każdym razie w podświadomości, ale który wydawał się taki głupi i nierealny, że nie potrafiłam go stamtąd wydobyć, żeby mu się przyjrzeć, choćby przez chwilę. Nie było jednak innej rady. Gavin lekko przesunął głowę i spojrzał na mnie w dół. To był jego pierwszy prawdziwy ruch, jaki zauważyłam, odkąd ruszyłam mu na pomoc. Byłam pewna, że w jego spokoju kryje się coś więcej niż ostrożność: zmroziła go świadomość, że wkrótce runie ku okropnej śmierci.

Naprężyłam mięśnie. Paluch mojej stopy dość pewnie spoczywał we wgłębieniu sporego głazu. Poza tym nic nie wydawało się pewne. Paluch drugiej stopy próbował się wkręcić w zbitą ziemię, a palce rąk tylko przyłgnęły do litej skały. Ale i tak wiedziałam, że będą mi potrzebne, że będę potrzebowała rąk, więc to nie miało większego znaczenia. Spokojnie przemówiłam do Gavina, wiedząc, że nadal nie może mnie usłyszeć, ale licząc na to, że odczyta moje słowa z ruchu warg:

- Okej, Gav, zsuń się do mnie. Wezmę cię na barana.



## Rozdział 16

No, powiedziałam to. Powiedziałam te szalone słowa. Już one same sprawiły, że ze wszystkich mikroskopijnych porów w mojej skórze zaczął wyciekać pot. Wiecie, jak to jest, kiedy wyciska się gąbkę i w każdej dziurce pojawia się kropla wody? Jednocześnie? Właśnie to się działo z moim ciałem. Nie przejmowałam się potem, ale poczułam, że nagle moje dłonie znów zrobiły się śliskie, a to nie wróżyło nic dobrego.

Technika. Skup się na technice. Równowaga, kąt nachylenia względem ściany urwiska, lewy paluch próbujący wywiercić dla siebie dziurkę. Staraj się nie myśleć o Gavinie, który drgnął, jakby zrozumiał polecenie. Przynajmniej połowa ciebie z utęsknieniem liczy na to, że jednak nie zrozumiał. W ten sposób mogłabyś wycofać tę szaloną ofertę.

Gavin jeszcze się nie poruszył, ale teraz wyczułam w nim innego rodzaju napięcie. Nadal wkręcałam się w ziemię lewym paluchem. Potem jeszcze raz podniosłam głowę i spojrzałam na Gavina. Wpatrywałam się w niego tak intensywnie, że aż dziwne, że nie wywierciłam mu dziury w twarzy. Ale musiałam sprawdzić, czy zrozumiał. I uznałam, że tak. Powiedziałam jeszcze raz, z lekkim zniecierpliwieniem:

- No chodź, wejdź mi na barana.

Bałam się, że jest zbyt sparaliżowany strachem, żeby cokolwiek zrobić. Ale było wręcz przeciwnie. Wykonał gwałtowny ruch, jakby uznał, że wszystkie jego problemy zostały rozwiązane i wystarczyło tylko wskoczyć mi na barana.

Pół skrawka ziemi, który go podtrzymywał, natychmiast się rozpadło i posypał się na mnie piach. Trochę ziarenek dostało mi się do gardła, ale starałam się nie kaszleć. Kaszel, skurcz mięśni, czkawka albo - co najgorsze - kichnięcie... To wszystko mogło mnie zgubić. Akcja i reakcja.

Po tej miniaturowej powodzi Gavin nie miał innego wyjścia i musiał do mnie dołączyć. Groził mu upadek. Największym niebezpieczeństwem było to, że ciało odmówi mu posłuszeństwa i Gavin całkowicie zda się na grawitację. Gdyby tak zrobił, przepadlibyśmy obydwój. Straciłby mnie z mojego niepewnego miejsca i spadlibyśmy na skały. Poczulałam, jak moje oczy niechętnie spoglądają w dół, w stronę tych skał, i musiałam użyć wszystkich sił, żeby zmusić je do zwrócenia się w przeciwnym kierunku. Chciałam zobaczyć śmierć, ale nie mogłam sobie na to pozwolić.

Gavin zawisł nade mną, lecz w ostatniej chwili zadziałał u niego jakiś desperacki instynkt i wreszcie się ruszył.

No, przynajmniej trochę. Opuścił nogę w kierunku mojej głowy, a potem, kiedy zaczął się zsuwać, próbował zapanować nad resztą ciała. Szukał oparcia dla rąk i nóg, bez większego powodzenia, ale dzięki temu szukaniu zatrzymał się na ścianie urwiska jeszcze kilka sekund i nie runął na mnie jak głaz.

Tych kilka sekund wystarczyło, żeby do mnie dotarł. Zapałam się, czując, jak jego kołysząca się lewa stopa dotyka moich włosów, a potem, w drodze powrotnej, kopie mnie w bok głowy.

Zaczęła się okropna milcząca walka. Gavin nadal się zsuwał, ale teraz szukał oparcia dla rąk i nóg na moim ciele. W zasadzie właśnie tego chciałam, ale zmagania, wysiłek i stres okazały się prawie nie do zniesienia. Oczywiście wiedziałam, że Gavin zaburzy moją równowagę i zmieni mój punkt ciężkości, ale nie przypuszczałam, że aż tak bardzo. Był potwornie ciężki! I rzeczywiście uchwycił się mnie jak tonący.

Przez pół minuty walczyłam z nim, z urwiskiem i z samą śmiercią. Ale najważniejsza walka toczyła się we mnie: szukałam nowej siły, głębszej siły, siły fizycznej, która pozwoliłaby mi trzymać się prosto, stopić palce rąk i nóg z ziemią i skałą, oraz siły psychicznej, by energia mogła dalej płynąć do mojego ciała.

Po paru sekundach zrozumiałam, że nie mogę walczyć z Gavinem i nie mogę mu bardziej pomóc. Musiałam myśleć o sobie jak o czymś zrobionym z drewna albo kamienia, jak o drzewie albo starej skale. Musiałam pozwolić, żeby sam wszedł mi na plecy, przylgnął do mnie i zawisł. Jeśli nie był w stanie, to jego problem. Jeśli nie da rady, spadnie. Nie mogłam na to nic poradzić. Musiałam się skupić na byciu twardą, silną.

Zachwialiśmy się. Nastąpiła okropna sekunda, podczas której straciłam trzy z czterech punktów przyczepności do ściany urwiska i groził nam upadek. Nie było sensu krzyczeć na Gavina, ale i tak krzyknęłam, a on chyba poczuł wibracje w otaczającym go powietrzu, bo trochę się uspokoił i złapał się mocniej. Nadal mnie podduszał, ale kiedy odzyskałam równowagę, mogłam tylko czekać i mieć nadzieję, że sam odkryje, jak bardzo utrudnia mi zadanie.

Minęło kilka sekund, zanim zaczął powoli i boleśnie korygować pozycję. Powinien był się pospieszyć, bo nie mogłam długo czekać. Po prostu nie miałam siły, żeby tam sterczeć w nieskończoność. Nikt by nie miał. Na szczęście Gavin odsunął prawą rękę od mojego gardła, dzięki czemu znów mogłam zaczerpnąć powietrza, i oplótł mnie nogami, przyjmując całkiem dobrą pozycję na barana, jeśli pominąć jego lewą rękę, którą obejmował mnie w pasie, co oznaczało, że przez cały czas musiałam być przechylona w bok.

Wiedziałam jednak, że nie mogę liczyć na nic więcej.

Icholernie wyraźnie czułam, że muszę zacząć schodzić, bo nie będę w stanie długo tak wisieć.

Pierwszy ruch okazał się w pewnym sensie bolesny, bo nadal byłam przytłoczona ciężarem Gavina oraz przerażona tym, ile siły będę potrzebowała. W innym sensie ten pierwszy krok był jednak czymś dobrym, bo chyba obydwójce poczuliśmy ulgę, że w ogóle się ruszamy. To małe przesunięcie w lewo, dzięki któremu zdołałam ułożyć obie ręce i nogi w nowej pozycji, trzydzieści centymetrów dalej, było jak pierwszy ruch po paraliżu. Poczulałam, że Gavin trochę się uspokoił, choć nadal trzymał się mnie tak kurczowo, że gdybyśmy runęli w przepaść, lecielibyśmy szepieni i szepieni uderzylibyśmy o ziemię. No cóż, w życiu ostatnio też byliśmy dość mocno szepieni, więc wyglądało na to, że na tamten świat przeniesiemy się w podobnym stylu.

Zaczęła się najbardziej ponura podróż naszego życia. Mieliśmy już na koncie kilka dość ponurych podróży, ale ta była najgorsza. Centymetr po centymetrze, szczelina po dziurze i po maleńkim wgłębieniu, grudka skały po pryszczu ziemi, po wystającym korzeniu. Na razie tylko kilka centymetrów w dół, ale potem trzy ruchy w bok. W pewnym momencie musiałam się wspiąć z powrotem o jakiś metr, żeby ominąć ślepy zaułek, i to były chyba najgorsze minuty ze wszystkich. Prawie poczułam jęk rozczarowania i strachu Gavina, kiedy znowu zaczęłam się wspinać.

W zasadzie przez cały czas nie wydał żadnego dźwięku, ale jego uścisk nie słabł. Wręcz przeciwnie, zrobił się silniejszy, choć nie przypuszczałam, że to w ogóle możliwe. Zaczęłam się zastanawiać, czy - zakładając, że dotrzemy na dół - zdołam go kiedykolwiek od siebie odkleić.

Zaczynały mnie boleć następne partie mięśni. Tylne strony kolan, podbicie stóp, stawy w ramionach. Pot moczył mi włosy i ciekł po twarzy. Nic już nie widziałam, bo wszystko mi rozmazał i szczypał mnie w oczy. Nie chciałam myśleć, że to się kiedykolwiek skończy, bo bałam się, że nadzieja mnie osłabi.

Moja lewa stopa wylądowała na czymś, czego się nie spodziewałam. Pomacałam to podeszwą i uświadomiłam sobie, że natrafiłam na drewno - jakaś gałąź albo korzeń. Wydawało się miękkie, ale tak bardzo potrzebowałam jego pomocy, że mimo wszystko na nim stanęłam. Przez jedną cudowną chwilę mnie podtrzymało. A potem się złamało.

Zaczęliśmy się zsuwać. Wokół wzbił się pył. Razem z nami zaczęła się osuwać warstwa żwiru. Rozpaczliwie chwytałam się wszystkiego otwartymi dłońmi i palcami. Minęliśmy złamane drewno i wtedy zobaczyłam, że to stary korzeń, całkiem zbutwiały. Chwytałam się i chwytałam, przecież musiałam coś znaleźć. Miałam już pewnie zdartą skórę

na rękach, ale nie czułam bólu i wcale się tym nie przejmowałam. Chwyciłam wystającą skałę, przez chwilę się jej trzymałam, ale dłużej nie dałam rady. Przynajmniej trochę spowolniła nasze zsuwanie się. A po chwili natrafiłam palcami na szczelinę i zatrzymałam się.

Czułam się jak stary wąż. Czy węże mają trzysekundową pamięć? Musiałam zapomnieć o przerażającym zsunięciu się i na nowo podjąć podróż. Z ciężarem na plecach. Coraz bardziej w dół, ze łzami płynącymi po twarzy, zastygłymi mięśniami, coraz wolniej... już dalej nie mogę, nie dam rady, to zbyt trudne... poddaj się, puść się i poleć ku wolności.

Ale wkrótce byliśmy już prawie na dole. Marzyłam o chwili, w której znajdziemy się trzy albo cztery metry od dna urwiska, w której będziemy mogli się rozdzielić i skoczyć, ale stało się inaczej. Gavin nadal trzymał się tak mocno, że nie mogłam zaryzykować skoku z nim na plecach, więc musiałam zacisnąć zęby i zmusić wyjące z bólu mięśnie, żeby jeszcze trochę popracowały. Aż w końcu znaleźliśmy się nieco ponad metr od miejsca, które bardziej przypominało ziemię niż skałę. Wtedy się poddałam i skoczyłam.

Dość mocno uderzyliśmy o ziemię i kawałek się poturlaliśmy. Trafiliśmy na dość stromą pochyłość i dopiero kiedy się po niej toczyliśmy, Gavin zaczął mnie puszczać. Strząsnęłam go z siebie, odczołgałam się na bok i padłam. Nie myślałam o zwycięstwie ani o sukcesie, w zasadzie o niczym nie myślałam, czułam tylko totalne wyczerpanie, jakbym już nigdy nie miała się poruszyć ani niczego zrobić. Gavin podczołgał się, padł na mnie i w pewnym momencie chyba obydwójce zasnęliśmy, bo kiedy się obudziłam, leżeliśmy już w cieniu i robiło się zimno.

Wszystko mnie bolało, jakby gang zawodników sumo sprzął mnie kijami bejsbolowymi. Ale wiedziałam, że nie zabierze nas stamtąd żaden helikopter. Skoro nikt się nie zjawił, kiedy wisieliśmy na ścianie urwiska, to teraz tym bardziej nie należało na nikogo liczyć. Obudziłam Gavina i powlekliśmy się na górę po kangurzej ścieżce najprawdopodobniej prowadzącej do strumienia, z którego tak często piliśmy wodę.

Na początku dzień zmierzał w jednym kierunku, ale potem popłynął w innym i zakończył się w miejscu, którego rano jeszcze nie znaliśmy. Tak obolała, że z trudem stawiałam nogę za nogą, człapałam do domu, zastanawiając się, dlaczego (od zakończenia wojny) góry ciągle mnie zdradzają.

## Rozdział 17

Dwa tygodnie później byliśmy w mieście. To jeden z cudów życia... a w zasadzie dwa cudy, ściśle ze sobą związane. Pierwszy polega na tym, że można tak szybko przemieszczać się z miejsca na miejsce. W jednej chwili jesteś na Saharze, a dwanaście godzin później dzięki kilku helikopterom, samolotom albo czymś w tym rodzaju możesz stać po pas w śniegu na Alasce albo spacerować ulicami Paryża. W każdym razie tak mi się wydaje. Sama byłam najdalej w Nowej Zelandii, więc co ja mogę wiedzieć.

Drugi cud polega na tym, że umiemy się do takich zmian dostosować, radzić sobie z nimi. Można by pomyśleć, że szok związany ze zmianą jest tak przytłaczający, że trzeba by się owinać folią bąbelkową i przez miesiąc przyjmować pokarm przez rurkę. Ale nie - stary, dobry organizm człowieka jest taki odporny, że może skakać z miejsca na miejsce i potrzebuje tylko pół minuty na przystosowanie się. No, przeważnie.

W zasadzie kiedy się nad tym zastanawiam, tak jak zastanawiałam się przez jakieś trzy godziny po napisaniu ostatniego fragmentu, dochodzę do wniosku, że to nie takie proste. Przystosowujesz się szybko ze względów praktycznych, nie wiedzisz i nie umierasz, dajesz radę, ale potrzebne są także powolne, długofalowe zmiany na znacznie głębszym poziomie, które czasami chyba nigdy nie zachodzą. To pewnie bardzo niezdrowe dla ludzkiego organizmu.

W każdym razie znaleźliśmy się w mieście dlatego, że kiedy już mieliśmy za sobą te okropne, potworne chwile na urwisku, kiedy dowlekliśmy się do domu, kiedy wypiliśmy hektolitry słodkiej herbaty, kiedy posiedzieliśmy opatuleni kołdrą i naoglądaliśmy się głupich programów w telewizji - po tym wszystkim mniej więcej o dziewiątej Gavin zaczął mówić.

A jak już zaczął, nie mógł przestać.

Zawsze lubiłam głos Gavina. Jest niski i zachrypnięty, a niektóre słowa - większość słów - brzmią trochę inaczej. Gavin często ucina końcówki albo odrobinę je przekręca, przez co brzmią jakby egzotycznie. Ze mną rozmawia dość często, ale minęło sporo czasu, zanim zbudowaliśmy taką relację. Jak już wspomniałam, Gavin rozmawia tylko z ludźmi, którym ufa, co zresztą wydaje się całkiem sensowne. Dlatego ci, którzy widzą go po raz pierwszy albo nie znają go zbyt dobrze, odbierają go jako silnego, milczącego chłopaka. Silny - owszem. Milczący - zależy w czyim towarzystwie.

Po raz pierwszy opowiedział mi swoją historię. Całkiem niedawno pisałam o tym, że historie dają nam tożsamość.

W pewnym sensie dają nam życie. Myślisz, że jesteś górą skóry, kości, krwi, organów wewnętrznych i komórek - imasz rację, ale poza tym jesteś górą historii. Kojarzycie te obrazki ze sklepów mięsnych, na których owce i krowy są podzielone na rumszyk, łopatkę i tak dalej? Powinno się wyprodukować inny obrazek, do wieszania na przykład w sypialniach, na którym człowiek byłby podzielony na historie z wczesnego dzieciństwa, szkoły podstawowej, historii z urodzin i świąt Bożego Narodzenia, opowieści o jego przyjaźniach i tak dalej.

Jeśli znasz czyjąś historię, znasz też jego samego. Jeśli nie znasz tej historii, jego też nie znasz.

W zasadzie nie znałam żadnych historii Gavina. Na początku naszej znajomości opowiedział nam o tym, jak mieszkał z mamą i młodszą siostrą. Dodał, że jego tata zginął w wybuchu w fabryce. Gavin miał wtedy jakieś trzy lata. Zawsze przypuszczałam, że to dlatego tak bardzo lgnął do Homera i Lee. Byli dla niego jak ojcowie. Trochę młodzi, ale jednak.

Teraz opowiadał mi historię za historią, wypełniając nimi szczegóły swojego życia, dzięki czemu zaczęłam go poznawać w nowy sposób. Chcę o tym napisać, bo, jak wspomniałam na samym początku tej przygody, siedząc nad strumieniem w Piekle z długopisem i kartką, zapisywanie różnych rzeczy to sposób ich utrwalenia, który - co ważniejsze - nadaje im wagę i znaczenie, choć przeważnie nie jestem w stanie go odgadnąć. Po prostu wiem, że przelewając coś na papier, w jakiś sposób to utrwalam.

Gavin mówił dość chaotycznie i opowiadał swoje historie w przypadkowej kolejności, ale w skrócie przedstawiało się to tak: jego tata był kotlarzem. Musiałam poprosić Gavina, żeby napisał to słowo, zanim w końcu je zrozumiałam, a jako że obydwójce byliśmy zdrętwiali, obolali, zmęczeni oraz trochę martwi fizycznie i psychicznie, z trudem zmusiałam się do wstania po kartkę i ołówek, a potem po słownik. Ze słownika dowiedziałam się, że kotlarz to człowiek robiący kotły. Nie mam pojęcia, ilu kotłów potrzebuje świat, ale pewnie mnóstwa.

Ojciec Gavina pracował albo w wojsku, albo w fabryce produkującej dla wojska. Gavin wolał myśleć, że jego tata służył w armii, ale Gavin miał świra na punkcie armii, więc pewnie mógł się rozminąć z prawdą. Jakoś nie mogłam uwierzyć, że wojsko ma własnych kotlarzy, ale może jednak ma.

W każdym razie w eksplozji zginęły cztery osoby. Kiedy Gavin opowiada, nie tylko mówi - on gra. Był naprawdę wyczerpany, ale nie umiał się powstrzymać. Pod kołdrą zrobiło się jednak średnio wygodnie, kiedy zaczął wymachiwać nogami i rękami, więc trochę skróciłam ten jego opis.

Wydawał się zdziwiony, że nie słyszałam o wybuchu w fabryce, ale naprawdę niczego takiego sobie nie przypominałam. To było wiele lat temu i setki kilometrów od Wirrawee, a przecież potem mieliśmy jeszcze wojnę z prawdziwego zdarzenia. Oczywiście dla Gavina wybuch w fabryce był najważniejszym wydarzeniem w życiu, ale w tamtym czasie też byłam mała i nie interesowałam się nagłówkami gazet ani wieczornymi serwisami informacyjnymi.

Nie do końca zrozumiałam, gdzie pracowała jego mama. Powiedział, że była artystką. Na początku myślałam, że powiedział „statystką”, ale kiedy już zauważyłam, że chodziło o artystkę, od razu wyobraziłam sobie piosenkarkę z pięcioma platynowymi płytami. Gdy zapytałam Gavina, jakiego rodzaju artystką była jego mama, zmienił jednak zdanie i powiedział, że wcale nie była artystką, tylko zajmowała się obsługą klienta w Marlon. Jeśli mam być szczerą, Marlon to dość paskudne miejsce. Ale rodzina Gavina mieszkała w Mount Savage, które jest niewiele lepsze... pasuje do swojej nazwy: Okrutna Góra.

Śmierć ojca Gavina zapoczątkowała jedną z tych lawin śmierci, które przydarzają się niektórym ludziom - na przykład mi - tylko że w jego wypadku to było jeszcze przed wojną i w bardzo krótkim czasie zginęło mnóstwo osób. Byli to dziadek i babcia Gavina, jego ciocia i królik. Nie wiedział, na co zmarli dziadkowie.

- Chorowali - powiedział.

Ale jego ciocia popełniła samobójstwo. Gavin wolał mówić o króliku.

- On też popełnił samobójstwo? - zapytałam, co było totalnie nietaktowne i mało zabawne, ale na szczęście Gavin nie zauważył pytania. Z jakiegoś dziwnego powodu spodobała mi się myśl, że królik mógłby się zamknąć w łazience i połknąć garść tabletek.

Gavin powiedział, że było mu naprawdę przykro z powodu królika, a ja mu uwierzyłam, ale przypomniałam sobie o kocie, którego niedawno zmasakrował, i trochę mnie to zastanowiło. Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. To był zbyt ciężki temat.

Królik nazywał się Rick. Królik Rick. Moim pierwszym odruchem na widok królika jest strzelanie do niego, więc wolę im nie nadawać imion. Gdybyśmy zaczęli nadawać imiona królikom, musielibyśmy zatrudnić kogoś, kto by na nie polował. Imię Rick jakoś mnie nie zachwycało, ale Gavin nie pamiętał, skąd się wzięło.

- Chyba wymyśliła je moja siostra - powiedział w końcu.

Gavin odegrał śmierć Ricka, znowu wkładając w to więcej energii, niż zdołałabym z siebie wykrzesać. Odniosłam wrażenie, że Rick zjadł coś niedobrego i zdechł na skutek problemów z żołądkiem. Obserwując Gavina i słuchając jego historii, zdałam sobie sprawę, że są w nim pewne luki, podobnie jak w jego rodzinie... Nie wiem, jakim słowem powinnam to opisać. Mitologia? Każdy człowiek jest górą zgromadzonych historii i chyba podobnie jest

z każdą rodziną i każdą kulturą. Może właśnie ten problem nęka Aborygenów. Może wymordowano tak wielu z nich, że mnóstwo historii się pogubiło i teraz jest zbyt dużo luk. Gavin najwyraźniej też miał za mało historii. Nie wiem, ile historii powinien mieć człowiek, ale jeśli jest ich niewystarczająco dużo, jeśli część życia wypełniają puste miejsca, to taka sytuacja wygląda na dość poważny problem.

Gavin nie wiedział, na co umarli jego dziadkowie, nie wiedział, gdzie pracowała jego mama, nie wiedział, skąd się wzięło imię Rick dla królika, nie wiedział, dlaczego jego ciocia popełniła samobójstwo... Zapytałam go, jak się poznali jego rodzice, i tego też nie wiedział.

Wkrótce stało się oczywiste, że mniej więcej rok przed wojną wprowadził się do nich inny facet. Miał na imię Ken. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałam. Gavin wspomniał o nim raz, przez przypadek, a po chwili znowu, i w obu wypadkach wydawał się na siebie wściekły. Ken naprawił rower Gavina i zabrał Gavina na weekend na plaży. Kim był ten facet?

- Po prostu z nami mieszkał.

- Skąd pochodził?

- Nie wiem.

- Czy on i twoja mama zamierzali się pobrać albo coś w tym rodzaju?

- Nie wiem. Był głupi.

- Nie lubiłeś go?

- Nie.

Gavin powoli zamykał się w sobie. Nie chciałam, żeby zamilkł, więc przestałam wypytywać o Kena. Niestety, za późno. Gavin znowu zmienił się w uparty, odizolowany kłębek milczącej posępności, którą tak dobrze znałam. Po mniej więcej dziesięciu minutach milczenia wstał i poczłapał korytarzem do swojego pokoju. Uznałam, że to koniec naszego wspólnego wieczoru. Gavin sobie poszedł. Ale ku mojemu zdziwieniu po kilku minutach wrócił. Trzymał coś.

Było już raczej ciemno. Włączyłam światło, żeby widział moje usta.

Od razu poznałam tę kopertę. Po wojnie, kiedy próbowaliśmy odnaleźć mamę Gavina i jego siostrę, moja mama napisała do Czerwonego Krzyża. Zrobiła to w imieniu Gavina, bo przecież chodziło o jego rodzinę. Odpowiedź, która przyszła, była szczerą: parę zdań opisujących działania podjęte przez Czerwony Krzyż, wskazanie źródeł informacji, a na końcu puenta. Bolesna puenta.

Z ogromnym żalem zawiadamiamy, że wyniki przeprowadzonego przez nas dochodzenia sugerują, iż Pana matka, pani Fisher, została zamordowana w pierwszych godzinach wojny i nie znaleźliśmy żadnego śladu po pańskiej siostrze Rosie. Zważywszy na



jej wiek oraz na chaotyczną i skrajnie niebezpieczną sytuację w tamtym czasie, nie mamy większych nadziei na jej odnalezienie...

Teraz Gavin uznał, że z jakiegoś powodu powinnam jeszcze raz przeczytać ten list. Nie miałam pojęcia po co, ale wyjęłam kartkę z koperty i rozłożyłam ją. Prawie natychmiast zauważyłam, że trzymam w ręku inny list. Spojrzałam na datę. Ten przyszedł całkiem niedawno, jakiś miesiąc temu. Dziwne, że Gavin mi o nim nie wspomniał.

Przeczytałam to i poczułam charakterystyczne ciarki, które przeszły mnie zaledwie kilka razy w życiu, na przykład kiedy patrzyłam na wielki czarny karabin automatyczny z lufą skierowaną w moją stronę albo gdy spoglądałam w przepaść, widząc Gavina, któremu groziła rychła śmierć. Boże, o co chodzi z tym chłopakiem? Czy kiedykolwiek go zrozumiem? Może ma jakieś poważne problemy psychiczne?

Z radością zawiadamiamy, że mimo naszych obaw o bezpieczeństwo Pana siostry i wątpliwości co do szans na jej odnalezienie udało nam się ją zlokalizować.

Jak Pan wie, czerpiemy informacje od osób zgłaszających do nas znalezione dzieci, ale z różnych powodów część ludzi tego nie robi. Niemniej jednak jakiś czas temu otrzymaliśmy list, który pozwolił nam wznowić poszukiwania Rosie, i w wyniku dochodzenia ustaliliśmy, że mieszka ona przy Green Street 87 w Marlon u rodziny o nazwisku Russell.

Wszystko wskazuje na to, że Rosie znała tę rodzinę przed wojną i że ludzie ci opiekują się nią od dnia, w którym znaleźli ją w obozie na samym początku wojny.

Jak Pan zapewne wie, wskutek wojny w życiu wielu rodzin zaszły poważne zmiany, a wiele z nich nie zostało jeszcze usankcjonowanych ani nawet odnotowanych. Przekazaliśmy sprawę Rosie Departamentowi Poszukiwania Zaginionych Dzieci, który jednak jest bardzo obciążony pracą i może upłynąć pewien czas, zanim zajmie się jej sytuacją.

Tymczasem odnieśliśmy wrażenie, że Rosie jest szczęśliwa, a państwo Russell dobrze się nią opiekują.

Rosie bardzo się ucieszyła na wieść, że przeżył Pan wojnę, inie może się doczekać spotkania z Panem. Ustawa o ochronie danych osobowych zakazuje nam udostępnienia Pana danych kontaktowych państwu Russell, lecz wyrazili oni zgodę, abyśmy przekazali Panu ich adres i numer telefonu.

Wiedziałam, że gdybym pozwoliła sobie na okazanie emocji, siedziałabym i gapiała się na Gavina jak na kosmitę albo jakiegoś odmienca, więc starałam się go nie spłoszyć i udawałam, że brak zainteresowania informacją o odnalezieniu zaginionej siostry po ponadrocznej rozłące jest czymś najzupełniej normalnym. Ale Gavin bardzo uważnie mi się przyglądał i nie jestem pewna, czy dał się oszukać.

No więc zapytałam:

- Chcesz się z nią zobaczyć?

Zwlekał z odpowiedzią, więc uznałam, że powinnam podejść do sprawy z większym optymizmem i że dzięki temu być może uda mi się przekazać mu odrobinę energii. Dlatego zmieniłam pytanie na:

- To fantastycznie. Pojedźmy do niej w najbliższy weekend.

No cóż, nie powiedział „nie”. I niewiele więcej można dodać, jeśli chodzi o jego reakcję. Właśnie dlatego znaleźliśmy się w mieście, zatrzymaliśmy się u Lee i szykowaliśmy się do spotkania po długiej rozłące, które raczej nie zapowiadało się na równie wzruszające jak te widywane w telewizji i opisywane w gazetach. Zastanawiałam się nawet, czy nie powinnam najpierw pójść tam sama, wy badać sytuację i przygotować grunt, ale potem pomyślałam, że taki podstęp byłby nie w porządku wobec Gavina.

W mieszkaniu Lee panował lekki chaos. Lekki? Co ja mówię! U Lee panował chaos i wcale nie było lekko. Nie wiem, jak on sobie z tym radził, biorąc pod uwagę jego wrodzoną precyzję i opanowanie. To przecież pianista, a nie gitarzysta. Wolałby chodzić na kółko chemiczne niż na teatralne, grać w szachy niż w oczko albo makao, pokonywać kolejne długości basenu, niż biegać wokół niego, wrzucać ludzi do wody i wskakiwać do niej z rozpędu. A tu proszę: mieszkał w samym środku Władców much.

Był tym zakłopotany i ciągle rzucał przeproszające spojrzenia, jakby mi wyrządził jakąś krzywdę, a parę razy powiedział nawet: „Przepraszam za ten bałagan”, „Przepraszam za ten hałas”, „Przepraszam za ich zachowanie”. Ale chyba kiepsko sobie radził z opieką nad dziećmi. Oprócz Pang mieszkali z nim jeszcze dziewięcioletni Philip, siedmioletni Paul i czteroletnia Intira. Tworzyli sporą paczkę. Metoda wychowawcza Lee polegała na ignorowaniu ich, a następnie na nagłym wpadaniu w szał, narzekaniu i wściekaniu się na nich, oraz na ustanawianiu zasad i wymierzaniu kar, które na chwilę uciszały jego rodzeństwo. Potem wszystko zaczynało się od nowa. Widziałam, że Lee zaczyna od tego powoli wariować i wcale mu się nie dziwiłam.

Mieli maleńkie mieszkanko, bo Lee nie było stać na nic większego. Utrzymywał się głównie z zasiłków.

Dzieci naprawdę szybko zaakceptowały Gavina, zwłaszcza czteroletnia Intira, która od razu go zaadoptowała. Dość zabawnie było obserwować jego reakcję. Na początku czuł się niezręcznie i był wytrącony z równowagi, ale Intira szybko go obłaskawiła, a już po godzinie zaczęło mu się to podobać, choć nadal zgrywał twardziela. No więc leżał na podłodze, Intira wdrapywała się na niego i ciągnęła go za włosy, a on turlał ją i łaskotał, by następnie spojrzeć

w moją stronę i sprawdzić, czy przypadkiem nie uważam, że to niefajne. Musiałam się bardzo starać, żeby nie patrzeć w jego stronę. Miałam nadzieję, że się odpręży i poczuje, jak wygląda życie w prawdziwej rodzinie.

Zastanawiałam się, czy dla swojej siostry był taki sam jak dla Intiry. Może z Rosie też się tak bawił.

Razem z Pang zajęliśmy się kolacją. Lee najwidoczniej odetchnął z wielką ulgą i był nam wdzięczny, że choć raz go wyręczymy. Wcale mu się nie dziwiłam. Widziałam, że żadna z tych czynności nie przychodzi mu łatwo, ale podziwiałam go za to, że jednak się nie poddaje. Miałam tylko nadzieję, że nie wyląduje przez to w wariatkowie. Jego rodzeństwo było fajne, ale w mieszkaniu wielkości dwustanowiskowego garażu dzieciakom trochę odbijało, a Lee nie był mistrzem ustanawiania zasad i reguł.

Podczas kolacji Intira zaczęła trącać Paula łokciem, Paul rzucił jedzeniem do talerza Pang, Pang krzyknęła, żeby obydwójce się zamknęli, Paul przewrócił swoją szklankę z mlekiem, Intira postanowiła usiąść obok Gavina, Paul ją uprzedził i sam się tam wcisnął, żeby dopiec siostrze, Intira krzyknęła na Lee, kiedy zabronił jej się przesiadać, a potem rzuciła kawałkiem chleba w Pang, która się roześmiała... I w zasadzie cały czas sytuacja wyglądała w ten sposób, a najgorsze było to, że najwyraźniej żadnemu z nich nie wydawała się niczym niezwykłym. Nie mogłam uwierzyć, że Lee nie potrafi nad tym zapanować - to było zupełnie niepodobne do zdecydowanego, silnego, spokojnego i opanowanego Lee, którego tak długo znałam i którego poznałam jeszcze lepiej w czasie wojny.

Raczej się nie wtrącałam, bo choć widziałam Lee w zupełnie nowym świetle, byłam pewna, że zachował niektóre cechy z przeszłości i nie chciałby, żebym mu narobiła wstydu albo dała do zrozumienia, że moim zdaniem kompletnie sobie nie radzi.

Kiedy jednak dzieci poszły spać, co zajęło wyczerpujące czterdzieści pięć minut - nie licząc kąpeli - usiedliśmy i napiliśmy się kawy przy kuchennym stole. Zabawne, w powietrzu nie wyczuwało się niczego, co wiązałoby się z seksem albo byciem razem. Atmosfera, jaka zapanowała po hałasie i kłótniach przy kolacji, nie sprzyjała intymnym rozmowom. Zresztą byłam przeszczęśliwa, że uda mi się ich uniknąć, bo ostatnio myślałam tylko o Jeremym. Ale ilekroć spojrzałam na Lee, mimowolnie zachwyciałam się jego urodą.

- Życie z nimi na co dzień musi być dość ciężkie - powiedziałam, mając nadzieję, że go nie urażę.

- Żebyś wiedziała - mruknął z nosem w kubku.

- Jak możesz się tutaj uczyć?

- Nie mogę. No, najwyżej trochę, kiedy już pójdą spać, ale po użeraniu się z nimi

przez cały wieczór właściwie na nic nie mam siły.

- To trochę dziwne, że jednego dnia walczysz na parkingu z żołnierzami wroga, a drugiego z Philipem o to, kto pozmywa naczynia.

Podniósł głowę i uśmiechnął się. Ulżyło mi, kiedy zobaczyłam, że nie stracił poczucia humoru.

- Wolałbym jeździć na akcje z Wyzwoleniem, niż próbować ich uciszyć i ubłagać, żeby chociaż na pięć minut przestali się kłócić.

- A co się dzieje z Wyzwoleniem? Szykują się jakieś misje? Czy nasza ostatnia akcja miała jeszcze jakieś efekty uboczne? Jakiś czas temu wspomniał mi o tym Jeremy.

Ups, zrobiłam to: wymówiłam magiczne słowo, choć tak bardzo starałam się go uniknąć. Dwie minuty rozmowy i już zakradł się do niej Jeremy. Ale Lee chyba tego nie zauważył.

- Nawet sobie nie wyobrażasz - powiedział.

- Co to ma znaczyć?

- Nie wyobrażasz sobie, jacy okropni byli tamci żołnierze. Co planowali.

- Więc nikt nie ma do nas pretensji?

- Sytuacja rzeczywiście zrobiła się trochę napięta - przyznał. - Atmosfera była ciężka, po tym jak wystrzelaliśmy tyle osób w miejscu publicznym. Chyba wszyscy byliby o wiele bardziej zadowoleni, gdybyśmy to załatwili w lesie i bez świadków.

- To trochę przerażające. Jakbyśmy byli seryjnymi zabójcami.

- Ellie, zabiliśmy mnóstwo ludzi.

Podrapałam paznokciem kubek z kawą.

- Nie potrafię o tym myśleć, ale czasami muszę. Od zapachu krwi robi mi się niedobrze. On nadal mnie prześladowuje.

- No wiesz, większość ludzi, których zabiliśmy, była żołnierzami, może nawet wszyscy. Ale wiesz, co mnie zastanawia? Kiedy podają w wiadomościach, że wybuchła jakaś bomba albo coś w tym rodzaju, i mówią: „Zginęły dziesiątki ludzi, w tym kilku niewinnych cywilów”. Co to niby znaczy? Że wszyscy żołnierze są winni, więc ich śmierć to niewielka strata? Że wszyscy cywile są niewinni? Może ktoś prowadzi jakiś rejestr i decyduje, komu wolno żyć? Ilu z tych niewinnych cywilów było na przykład handlarzami narkotyków, gwałcicielami albo ludźmi, którzy nie dbają o swoje zwierzęta? Pewnie gdyby któreś z nas zginęło w przypadkowym wybuchu na przystanku, powiedziano by, że byliśmy niewinnymi cywilami. Ale ostatnio wcale nie czuję się niewinny.

Uwielbiałam te rozmowy i potrzebowałam ich, a Lee był doskonałym rozmówcą, ale

poza tym potrzebowałam dobrej rady. Wyjaśniłam mu przez telefon, po co przyjeżdżamy do miasta, tylko że przedstawiłam mu skrótową wersję, więc teraz opowiedziałam całą historię, nie pomijając kota. Tolerancja i mądrość natychmiast z Lee wyparowały.

- Boże, co za gadzina, co za padalec! Co on wyrabia, do cholery? Szczerze, Ellie: ten dzieciak nie potrafi docenić tego, co ma. Wpakuj go do kartonu i wyślij do... bo ja wiem...

- Do Paragwaju? Na Filipiny? Chcesz, żebyśmy połamali sobie języki?

- Tak, Paragwaj i Filipiny byłyby w sam raz. Albo Patagonia.

- Parramatta.

Szybko zrozumiałam, co się dzieje. Lee był taki jak reszta: tak bardzo zajęty własnymi problemami, opieką nad dziećmi i nauką, że nie miał czasu na moje problemy z Gavinem. Zawiodłam się. Wiedziałam, że to normalne, ale czasami, kiedy potrzebujesz rady od przyjaciela, normalność się nie liczy. Dalej rozmawialiśmy o Gavinie, lecz była to jedna z tych okropnych rozmów, podczas których nagle do ciebie dociera, że mówisz jak twoi rodzice: „Co za gówniarze, nie mają żadnego szacunku dla starszych...”.

Nie żeby moi rodzice kiedykolwiek tak mówili, ale babcia owszem, tyle że używała trochę innych słów. Ona nigdy nie powiedziała by „gówniarze”.

## Rozdział 18

Tak bardzo się denerwowałam przed spotkaniem Gavina z siostrą, że z trudem zjadłam śniadanie. W pewnym sensie to nie była moja sprawa, ale w innym owszem. Niedawno powiedziałam Gavinowi, że jest dla mnie bratem. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że wkrótce moja rodzina się powiększy.

Kiedy o tym myślałam, uświadomiłam sobie, że duża część mojego zdenerwowania ma związek z obawą o to, czy Gavin rozegra tę sytuację jak należy. Trudno to opisać, ale wiedziałam, że jeśli on da ciała, będzie mi smutno. Czułam się podobnie, kibicując mu podczas szkolnych zawodów: nie chciałam, żeby zajął ostatnie miejsce, bo wiedziałam, że zrobiłoby mu się przykro. Kiedy był z innymi dziećmi i robił coś niefajnego, a one marszczyły brwi i zaczynały się od niego odwracać, miałam ochotę podbiec i powiedzieć do niego: „Nie, nie tak, tak się tego nie robi”, a do dzieci: „Hej, on jest w porządku, po prostu się nie zrozumieliście, on jest naprawdę fajny, naprawdę”.

Miałam okropne przeczucie, że Gavin powie do swojej młodszej siostry nie to, co należy - albo do ludzi, którzy się nią opiekują - i że przez to straci mnóstwo potencjalnych szans.

Jeśli ja byłam zestresowana, to Gavina można było nazwać obszarem klęski żywiołowej. Nawet za milion lat nie przyznałby się, że się denerwuje, ale nie trzeba być psychologiem, żeby coś takiego zauważyć. Nie trzeba być meteorologiem, żeby wiedzieć, z której strony wieje wiatr. Gavin nie chciał się ubrać, powiedział Intirze coś brzydkiego, po czym z krzykiem uciekła do Lee, zbił miseczkę z płatkami i nie chciał jeść śniadania, a następnie, kiedy powiedziałam: „Już dość, przestań albo zabiorę cię do zoo i nakarmię tobą surykatki”, nazwał mnie głupią krową.

Nie chciałam dopuścić do tego, żeby któreś z nas - albo jedno i drugie - w końcu eksplodowało, więc wyciągnęłam go z mieszkania, mówiąc, że pójdziemy do Marlon piechotą. Najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Wyruszyliśmy tak wcześnie, że dotarlibyśmy na czas, nawet gdybyśmy szli tyłem, ale przynajmniej wyrwaliśmy się z zamkniętej przestrzeni mieszkania. Mimo to Gavinowi wcale się nie poprawiło. Dziwne, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że chodzi o coś, o czym nie wiem, o coś więcej niż naturalne podenerwowanie w obliczu tak wielkiej życiowej zmiany. Zaczęłam się zastanawiać, w czym rzecz, ale zabrakło mi wyobraźni. Być może bał się, że go zostawię - że kiedy już znajdzie się z Rosie u państwa Russell, pobiegnę na najbliższy przystanek i ucieknę do lasu.

Miałam nadzieję, że nie ma o mnie aż tak fatalnego zdania, ale należał do nieprzewidywalnych dzieci. Problem w tym, że nawet jeśli tak myślał, nie wyjaśniało to jego zachowania. Szczerze mówiąc, tamtego ranka czułam się tak, jakbym mało go obchodziła. Jego myśli krążyły wokół czegoś innego, wokół czegoś więcej niż spotkanie z długo niewidzianą siostrą. Nie miałam zielonego pojęcia, co to może być.

Gdybym wiedziała, co nas spotka, od razu chwyciłabym go za rękę i pobiegła w przeciwnym kierunku.

Niestety, nalegałam, żeby wybrał się w tę podróż, a on uległ naciskowi. Szkoda, że nie opierał się trochę mocniej (mimo że wtedy na pewno nie byłabym mu za to wdzięczna).

Dość łatwo było dostać się do Marlon. Prowadziła do niego Fiddleback Road. Droga ciągnęła się w nieskończoność. Gavin był pewny, że kiedy już dotrzemy do Marlon, bez problemu znajdzie Green Street. Zresztą zawsze mogliśmy kogoś zapytać o drogę. Nawigacja to żaden kłopot. Pierwszym znakiem świadczącym o tym, że zbliżamy się do celu, był zakład wulkanizacji w północnym Marlon, potem minęliśmy pralnię chemiczną, pizzerię i myjnię samochodową. Mieliśmy jeszcze czterdzieści pięć minut, więc raczej się nie spieszyliśmy.

Kiedy dotarliśmy do centrum Marlon, Gavin skierował mnie na drugą stronę ulicy i weszliśmy do dużego parku. Powiedział, że to skrót. Bo ja wiem? Może w parku czuł się bezpieczniej. Otoczenie było podobne do tego, do którego przywykł, mieszkając na wsi. Mimo to nadal się rozglądał, nawet jeszcze częściej, wydawał się coraz bardziej zdenerwowany i zarażał mnie swoim niepokojem.

Gdyby nie to, spacer byłby przyjemny. Marlon nie wyglądało aż tak źle, jak je zapamiętałam, a w parku było naprawdę miło. Zauważyłam tam stare boisko piłkarskie z trybuną, dokładnie takie samo jak to w Wirrawee. Trybunie daleko jednak było do tych widywanych teraz w dużych miastach. Potem weszliśmy na dość mokry nasyp, z którego zeszlśmy na ogromny płaski teren, na którym ludzie tresowali psy. Wyglądało to całkiem fajnie: właściciele stali w grupkach i rozmawiali, siedzieli na trawie i czytali albo leżeli i patrzyli na chmury, podczas gdy psy dobrze się bawiły. Naliczyłam ze dwadzieścia pupilów, od takich wielkości kucyka po parę rosnących szcurek. Dalej były dwa owalne boiska, na których dzieci szykowały się do meczu, oraz utwardzony kort tenisowy i stare szalety miejskie. W tle rosło trochę drzew i stała fontanna, za którą rozciągały się przedmieścia Marlon.

Kiedy mijaliśmy jedną z drużyn, po raz pierwszy naprawdę poczułam, że jesteśmy na dawnym terytorium Gavina. Chłopiec biegnący za piłką, która wypadła za boisko, złapał ją, przycisnął do klatki piersiowej i w tej samej chwili zauważył Gavina. Wyglądał na

zaskoczonego.

- Cześć, Gavin - powiedział po chwili zupełnie normalnym tonem, który brzmiał bardzo spokojnie w porównaniu z jego wyrazem twarzy.

- Cześć, Lucas - mruknął Gavin z nieco zakłopotaną miną, po czym wyjaśnił mi: - To Lucas Bright.

Przynajmniej wydaje mi się, że chłopiec miał na nazwisko Bright. W każdym razie dzieciak powiedział do Gavina:

- Myślałem, że ty... - A potem zamilkł i zmienił temat na bezpieczniejszy. - Nie widziałem cię od wybuchu wojny.

- Tak - odparł Gavin. - Mieszkam u niej.

Skinął w moją stronę.

- Fajnie - powiedział Lucas Bright. - No, muszę lecieć...

Skinął głową w stronę drużyny.

- Spoko - odezwałam się i Lucas pobiegł do kolegów.

Zawsze miałam trudności z odgadnięciem, co czuje

Gavin. Po tym niespodziewanym spotkaniu trochę się zarumienił, ale wydawał się zadowolony. Idąc między drzewami w stronę ulicy, miałam nadzieję, że odrobinę go to uspokoi.

Russellowie mieszkali dwie i pół przecznicy dalej. Po wyjściu z parku znaleźliśmy się w części Marlon, która lepiej pasowała do moich wspomnień. Mnóstwo starych zniszczonych domów zbudowanych tuż przy ulicy i mnóstwo nowych zniszczonych domów, które wcale nie wyglądały lepiej od tamtych. Sześć porzuconych samochodów - a jeśli nie były porzucone, to z pewnością na to zasługiwały. Dwa zapuszczone budynki, graffiti, które wcale nie było zabawne, tylko odpychające, szkoła otoczona wysokim ogrodzeniem z siatki, które nadawało jej wygląd obozu jenieckiego. A w środku tego wszystkiego była Green Street.

Już wcześniej podejrzewałam, że Gavin się boi, ale teraz byłam tego pewna. Złapał mnie za rękę. Gavin trzymający mnie za rękę w miejscu publicznym był zjawiskiem mniej więcej tak częstym jak psy tańczące z króliczkami. A ścisnął mnie tak mocno, że nie byłam pewna, czy nazajutrz rano nadal będę miała dłoń. Bo chyba odciał dopływ krwi. Poza tym jego ręka była mokra od potu. Kiedy skręciliśmy w lewo i znaleźliśmy się na Green Street, Gavin wyglądał tak fatalnie, że zatrzymałam się i zapytałam:

- Jesteś pewny, że chcesz tam iść? Możemy wrócić do domu i jeszcze raz to przemyśleć.

On tylko chwycił mnie za drugą rękę i powiedział:



- Nie, miejmy to już za sobą.

Potem mnie puścił.

Wzruszyłam ramionami i poszłam dalej. Liczyłam numery domów. Sto siedemdziesiąt siedem, sto pięćdziesiąt siedem, sto trzydzieści siedem. Mogłam już mniej więcej oszacować, gdzie będzie numer osiemdziesiąty siódmy. Zauważyłam tam rząd domów z małymi ogródkami z przodu. Niektóre były ładne, pełne kwiatów i tego typu rzeczy, a inne porastały chwastami. Numer osiemdziesiąty siódmy musiał być mniej więcej w połowie tamtego odcinka.

Przed domem nikogo nie było, przynajmniej tak mi się wydawało. Mijając dom sąsiadów, zauważyłam, że Russellowie mają naprawdę ładny ogródek, w którym rosły fuksje i dwa drzewka, prawdopodobnie rodzące latem jabłka albo gruszki, a od furki do drzwi biegła ceglana ścieżka. Ale sam dom nie wyglądał najpiękniej. Od dawna nikt nie malował ram okiennych, które zaczynały butwieć, i od dawna nikt nie czyścił biegnącej pod dachem rynny. Może Russellowie nie mieli za dużo pieniędzy.

Furtka była otwarta. Miałam nadzieję, że zostawiono ją tak specjalnie na przyjęcie Gavina. Po chwili serce zabiło mi mocniej, bo zobaczyłam, że drzwi wejściowe też są otwarte, a nad nimi wisi płachta białego papieru, na której wśród mnóstwa serduszek, gwiazdek i uśmiechniętych buziek widnieją napisane niewprawną dziecięcą rączką słowa: „Witaj w domu, Gavin”.

Poczułam, że się rozluźniam, a ciepło ciała dociera do mojej twarzy, na której usta układają się w szeroki uśmiech. Szybko ruszyłam naprzód, łapiąc Gavina i prawie ciągnąc go za sobą.

Myślałam, że za chwilę z domu wyskoczy dziewczynka, a za nią chyba jej przybrani rodzice, więc skupiłam się na drzwiach. Niespodziewany ruch z boku naprawdę mnie zaskoczył. W mojej głowie zaczęła kiełkować myśl: „Aha, wyszli bocznymi drzwiami”, ale potem uświadomiłam sobie, że w tym domu nie ma bocznych drzwi i że najwidoczniej ktoś przyczał się w cieniu. Odwróciłam się i zobaczyłam mężczyznę. Gavin zauważył go wcześniej.

Następne pięć sekund pamiętam tak, jakby trwały półtorej minuty. Gdy zauważyłam tego człowieka, Gavin już odwracał głowę w moją stronę i otwierał usta. Mężczyzna o szurzej twarzy miał na sobie dres i wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat.

- Cześć, Gavin - powiedział.

Gavin nie mógł tego usłyszeć, a raczej zobaczyć. Otworzył usta i stało się coś bardzo dziwnego: prawie odczytałam z nich słowo, zanim moje uszy zdążyły je usłyszeć. Zupełnie

jakby oczy przesłały je mózgowi, ubiegając uszy.

No jasne. Przecież prędkość światła jest większa niż prędkość dźwięku.

Gavin powiedział tylko jedno słowo: „Uciekaj”.

Wypuścił moją rękę i pobiegł. Minął otwartą furtkę i skręcił w prawo, na Green Street, wracając tam, skąd przyszliśmy. Pobiegłam za nim, a ten mężczyzna ruszył za nami.

Wybiegając na ulicę, przymknęłam furtkę. Próbowalam ją zamknąć do końca, ale zamek nie zaskoczył i furtka odbiła się z powrotem, co jednak i tak spowolniło tego faceta o parę sekund. Boże, potrzebowaliśmy tych paru sekund. Nie wiedziałam, czy gość jest uzbrojony, ale jeszcze zanim odezwał się Gavin, zauważyłam w tym człowieku jakieś zagrożenie. Teraz miał zmrużone oczy i minę świadczącą o wielkiej determinacji. Nie wyglądał na kogoś, komu zależy na dobru Gavina. Przestałam mu się przyglądać i pobiegłam przed siebie, pędząc za Gavinem ulicą, którą szliśmy zaledwie kilka minut wcześniej.

Biegłam, a w mojej głowie pulsowało pytanie: „O co tu chodzi, do diabła?”.

Gavin wyprzedzał mnie o jakieś trzydzieści albo czterdzieści metrów. Frunął. Wszystkie tłumione w nim emocje, które narastały dzień po dniu, godzina po godzinie, minuta po minucie, odkąd go zmusiłam do przyjazdu do miasta, i w miarę jak zbliżaliśmy się do Rosie, zmieniły się teraz w energię. Staralam się biec jak najszybciej, złapać drugi oddech. Znowu obejrzałam się przez ramię i zauważyłam, że facet nas dogania. W zasadzie nawet nie musiałam patrzeć: poznałabym to po coraz głośniejszym tupocie jego nóg.

Zastanawiałam się, co będzie, jeśli - albo kiedy - mnie dogoni. Wyprzedzi mnie i pobiegnie za Gavinem? Wyglądał tak, jakby od złapania Gavina zależało jego życie. A co jeśli naprawdę chciał mu zrobić krzywdę? Bo wszystko na to wskazywało. Może byłam dla niego tylko uciążliwym elementem równania. Z drugiej strony, jeśli rzeczywiście zamierzał skrzywdzić Gavina, to jakie miał plany wobec mnie?

Jak na razie chyba nikt nas nie widział. Nie zauważyłam, żeby ktokolwiek wyjrzał z domu w ciągu tych paru sekund, które spędziliśmy w ogrodzie. A na ulicach Marlon było cicho.

To. chyba niedawny styl życia skłonił Gavina, żeby uciec do lasu. Oczywiście jedynym lasem, jaki tam rósł, był park. Gdyby się nad tym zastanowił, uznałby, że większe bezpieczeństwo zapewnia tłoczne miejsce. Centrum handlowe byłoby idealne. A skoro już postanowił uciec do parku, niezłym rozwiązaniem byłoby wskoczenie na środek boiska podczas meczu. Ale w czasie wojny Gavin nauczył się szukać kryjówek, uciekać od ludzi, unikać kłopotów i chować się. Na wojnie nauczył się ufać przyrodzie i właśnie z dala od ludzi zdobył pewność siebie. Więc nie przyszły mu do głowy centra handlowe ani boiska pełne

zawodników.

Minęliśmy biegiem dwie i pół przecznicy. To naprawdę długa droga. Przebiegając przez skrzyżowanie, Gavin o mało nie wpadł pod taksówkę. Kierowca gwałtownie odbił w bok i wcisnął hamulec, a spod jego kół wzbilo się wystarczająco dużo dymu, by zwrócić uwagę straży pożarnej. Na drugim skrzyżowaniu omal nie stratowałam kobiety na rowerze. Ona też musiała odbić w bok i dość gwałtownie zahamować. Ale mnie wyzywała! Nawet się nie obejrzałam.

Biegnać dalej, pomyślałam jednak, że zagrożenie, które stworzyliśmy na drodze, może przynieść pewną korzyść. Nasz szalony sprint miał dwóch świadków. Nie wiem, czy zauważyli goniącego nas mężczyznę, ale gdybyśmy zostali zamordowani, taksówkarz i rowerzystka mogliby zeznawać podczas dochodzenia. Może wtedy zastanowiliby się, dlaczego biegliśmy.

Ta myśl jakoś nie podniosła mnie na duchu. Uznałam, że lepiej się skupić na ucieczce przed facetem o szczurzej twarzy.

Gavin przebiegał na drugą stronę ulicy obok parku. Nadal biegł szybko, ścigany przez demony, których nie znałam. Ta ulica była szeroka i wyglądała na ruchliwą, ale teraz nie przejeżdżał nią ani jeden samochód. Nie odważyłam się spojrzeć za siebie po raz kolejny, ale wiedziałam, że ten facet jest coraz bliżej, że pewnie dzieli go ode mnie już tylko z dziesięć metrów. Gavin biegł najwyżej dwadzieścia pięć metrów przede mną, więc obydwójce go doganialiśmy, pewnie dlatego, że byliśmy więksi, silniejsi i stawialiśmy większe kroki. Biegający za mną facet głośno dyszał, chyba czuł zmęczenie. Ja czułam je bardzo wyraźnie, zwłaszcza ból w klatce piersiowej i w nogach, a Gavin pewnie też był na granicy wytrzymałości.

Modliłam się, żeby skręcił w lewo, w stronę boisk, ale on skręcił w prawo, w stronę drzew.

Oczywiście trudno to było nazwać lasem. W parku rosły ładne stare drzewa, wiązy, dęby i tego rodzaju gatunki. O tej porze roku nie miały zbyt wielu liści, ale za to duże grube pnie. Gavin od razu pobiegł utwardzoną ścieżką, potem przeciął trawnik. Pędził w stronę najgęstszych zarośli, co według mnie było bardzo słabym planem. Gdziekolwiek by się schował, wystarczyło zajrzeć za najwyżej dwanaście drzew, żeby go znaleźć. Dość krótkofalowa strategia.

Jeszcze raz spojrzałam na tego mężczyznę. Na jego twarzy nadal malował się wyraz całkowitej determinacji, jego wzrok skupiał się tylko na jednym. W dodatku facet był w lepszej formie, niż przypuszczałam, w lepszej formie, niż wskazywałoby jego sapanie.

Wyglądał na dobrego biegacza. Gavin zniknął. Wybrał jedno z drzew i schował się za nim.

Pobiegłam w lewo, ukryłam się za drzewem, a potem wykorzystałam je jako osłonę, żeby wskoczyć za drugie. To przypominało zabawę w chowanego, tylko że wcale nie było zabawne. Widywałam już takie zacięte twarze. Dla mnie oznaczały tylko jedno: zamiar doprowadzenia kogoś do poważnego uszkodzenia ciała.

Facet rzucił się w pościg za mną. Pognał w stronę drzewa, za którym ukryłam się na początku, a kiedy zauważył, że mnie tam nie ma, ruszył prosto w kierunku drzewa, za którym stałam. Obserwując go kątem oka, zauważyłam, że jedno się zmieniło. Teraz facet ścisnął w dłoni nóż. Ostrze miało ze dwadzieścia centymetrów, może nawet trzydzieści. To się nazywa kosa.

Wybiegłam zza drzewa i popędziłam w stronę drugiej ścieżki, za eukaliptusem gwałtownie skręciłam i pognałam zygzakiem między drzewami. W pewnym momencie spojrzałam za siebie. Ale facet mnie nie widział. Znalazłam się za młodym drzewem o wąskim pniu. Zaryzykowałam i przebiegłam przez ścieżkę, mając nadzieję, że znajdę Gavina. Tym razem facet mnie zobaczył. Wszystkie zygzaki poszły na marne. Straciłam przewagę. Zawróciłam w stronę drzew, ale wtedy zobaczyłam Gavina. Widocznie facet go wypłoszył, bo Gavin pędził na złamanie karku drugą ścieżką.

Mężczyzna rzucił się za nim w pogoń. Wybrałam inną trasę, żeby spotkać się z Gavinem przy fontannie. Facet już chyba nie zwracał na mnie uwagi. Schował nóż. Nie wiedziałam, jak mu się to udało, chyba że to był nóż sprężynowy. Pewnie mógł go wsadzić do kieszeni dresu, ale na pewno był ostrożniejszy. Doganiał Gavina. Gavin dobiegł do fontanny mniej więcej trzy sekundy wcześniej niż ja, skręcił w prawo i popędził inną ścieżką, ale szybko odbił w lewo. Pobiegłam za nim. Facet deptał mi po piętach.

Gavin znowu zniknął, tym razem za jednym z drzew. Ja wybrałam drzewo na chybił trafił, wiedząc, że pościg jest za blisko i mężczyzna na pewno mnie widzi. Ale byłam u kresu sił i niewiele więcej mogłam zrobić. Przynajmniej wybrałam drzewo z najszerszym pniem, jaki mogłam znaleźć: dużą sosnę.

Znowu zaczęła się zabawa, tylko że ta raczej nie ma nazwy: ja biegłam wokół pnia, a ten facet mnie gonił; ja starałam się, żeby mnie nie dopadł, a jemu bardzo zależało na bliskiej znajomości. Stosowałam blef i podwójny blef. Kamień, papier, nożyce. Próbowалаm odgadnąć zamiary przeciwnika. Skoczyłam w prawo, odwróciłam się i zobaczyłam, że mnie goni. Przyspieszyłam i o mało na niego nie wpadłam, bo zaskoczył mnie z drugiej strony. Znowu trzymał nóż, ale zamiast nim dźgać, próbował mnie złapać wolną ręką, a drugą trzymał z tyłu, żeby nie przeszkadzała w biegu. Wyciągnęłam rękę, gwałtownie się cofnęłam,

a potem podbiegłam do drugiego drzewa i je też zaczęłam okrążyć. Zabawa trwała dalej. To drzewo miało o wiele cieńszy pień, więc nie było za dużo miejsca na blefy i kontrblefy. Po prostu pędziłam wokół sosny, próbując nie wpaść w ręce tego człowieka. Potem on znowu zmienił kierunek, a wtedy odskoczyłam i pobiegłam do następnego drzewa. Cały czas miałam nadzieję, że ktoś się zjawi, zobaczy, co się dzieje, zainterweniuje i uratuje nas. Chyba jeszcze nigdy nie byłam w tak odludnym parku.

Nagle zjawił się Gavin przypominający dzikie leśne stworzonko. Chciał kopnąć tego faceta w jaja, nie wcelował, ale jakimś cudem trafił w nóż. Nóż zawিrował w powietrzu i upadł na utwardzoną ścieżkę. Facet był jednak za blisko, żeby któreś z nas zaryzykowało i rzuciło się po broń. Gavin już uciekał, więc pobiegłam za nim, a facet stracił parę sekund, podnosząc nóż.

Widziałam jego twarz tylko przez sekundę, ale pomyślałam, że zapamiętam ją do końca życia. Ciężkie powieki, cienkie brwi, spiczasty nos, szczecina na brodzie, ale przede wszystkim wyraz zimnej nienawiści albo - jeszcze gorzej - zupełny brak jakichkolwiek uczuć. Całkowite skupienie na jednym celu: pozbyć się dwojga ludzi. A do tego poczucie, że nic innego się nie liczy, że do czasu wykonania tej misji cały świat sam o siebie zadba. Ten facet był najbrzydszą, najpotworniejszą istotą ludzką, jaką kiedykolwiek widziałam, ale pewnie byłam nieobiektywna, bo przecież chciał nas zabić. Gdyby zbierał dary dla Armii Zbawienia, pewnie odniosłabym inne wrażenie. Gdyby pochylał się nade mną w szpitalu, podając ratujące życie antybiotyki... Ale nie, na tę myśl zrobiło mi się niedobrze. Czegoś takiego nie można było znaleźć w jego twarzy - w jego wypadku uprzejmość była czymś niemożliwym.

Nasz taniec trwał nieprzerwanie. Nagle słońce zalało światłem cały park i nas troje. Nie miało w sobie prawdziwego ciepła, ale wyszło zza chmur i wydawało się cieplejsze niż cień, który nas dotąd spowijał. Zresztą i tak było mi bardzo gorąco. Więc tańczyliśmy dalej. Gavin biegł przede mną, od drzewa do drzewa. Nie miałam pojęcia, jak zdołał mnie zostawić tak daleko w tyle. Wyglądało na to, że skręca w stronę drogi, przez którą przebiegliśmy kilka minut wcześniej. Miałam taką nadzieję. Odpowiadało mi każde miejsce, w którym byli ludzie. Odruch, który kazał mu uciekać i kryć się w odludnych miejscach, nie wychodził nam na dobre.

Jak wspominałam, wyszło słońce, ale my tańczyliśmy w ciemności. Tyle że ta ciemność spowijała tajemnicę tego, co się dzieje, i tego, co się stanie. Kim był ten człowiek? Dlaczego nas ścigał? Czy za minutę, za pięć minut, za dwie godziny nadal będziemy żywi? Te pytania instynktownie przychodziły mi do głowy, kiedy biegłam między drzewami, nawet jeśli nie miałam czasu, żeby je świadomie formułować - a już na pewno nie miałam czasu,

żeby wymyślać odpowiedzi.

Pobiegłam za Gavinem. To on był choreografem tego tańca. Nagle wezbrała we mnie wściekłość na jego głuchotę. Gdyby słyszał, moglibyśmy rozwiązać ten problem kilka minut temu. Krzyknęłabym do niego: „Biegnij na boisko!”. Ale sam na to nie wpadł, a ponieważ był głuchy, nie było sensu krzyczeć. Pozostawało mi tylko biec za nim i usiłować przeżyć.

Ten facet też biegł za Gavinem. Nie jestem pewna, czy to dobrze świadczyło o jego inteligencji, bo przecież mnie miał bliżej. Jeśli zamierzał zabić Gavina, zabicie również mnie byłoby sprytnym posunięciem, i w zasadzie to, kogo dopadnie najpierw, nie powinno mu być robić różnicy. Ale logika nie została dopuszczona do głosu. Myślę, że od początku zależało mu przede wszystkim na dorwaniu Gavina. Nadal się na nim skupiał i stopniowo przyzwyczajał się do mojej obecności.

Tak więc obydwójce bieглиśmy za małym, samotnym i zagubionym chłopcem. Gavin dotarł na skraj parku, skręcił w lewo i przez jakieś pięćdziesiąt metrów biegł ścieżką, a ja modliłam się, żeby ruszył w stronę jakiegoś zaludnionego miejsca albo żeby nagle zjawił się tłum, w który mógłby się wmieszać. Gdzie się wszyscy podzieli? Był sobotni poranek, na litość boską! Pomyślałam, że ludzie są pewnie na zakupach, w siłowniach albo jeszcze śpią. W każdym razie nastolatki. Poza tym pogoda była niezbyt ładna, więc chyba nikomu nie chciało się wychodzić z domu.

Ku mojemu przerażeniu Gavin zrobił coś, czego chyba powinnam się była po nim spodziewać: najgorszą z możliwych rzeczy. Znowu skręcił w lewo i pobiegł w stronę najgęstszych zarośli w najbardziej zapuszczonym i najdalszym zakątku parku.

Facet już mnie wyprzedził. Każde z nas wbiegło na ścieżkę od innej strony i on znalazł się w lepszej pozycji niż ja. Ja biegłam po przyprostokątnych, a on po przeciwprostokątnej. Życie jest pełne trójkątów. Jego trasa dała mu nade mną dziesięciometrową przewagę. Biegł po betonie. Nagle znalazłam się w dziwnej sytuacji, w której goniłam faceta z nożem, nie wiedząc, co zrobię, kiedy już go złapię. Pewnie po prostu bym go złapała. Tylko że nie miałam odwagi. Jestem dość silna, ale wątpiłam, żebym mogła dać mu radę. Gdybym na niego skoczyła od tyłu, mogłabym go powalić na ziemię. Może uderzyłby głową o ścieżkę. Ale nie było sensu na to liczyć. Równie dobrze mógłby się przewrócić na plecy, przyprzeć mnie do ziemi i zadźgać nożem. Mógł usłyszeć, że go doganiam, odwrócić się i pozwolić, żebym sama nadziała się na nóż. Nawet teraz, biegnąc, bałam się, że nagle się odwróci, i zanim zdołam się zatrzymać, wpadnę na ostrze. Chociaż w zasadzie dzieląca nas odległość nie była aż tak mała. Ale gdyby się odwrócił i ruszył w moją stronę, szybko by się zmniejszyła. Musiałabym odbić w prawo albo w lewo, lub też zawrócić,

a każde z tych rozwiązań kosztowałyby mnie ułamek sekundy i facet znalazłaby się tak blisko, że nie postawiłabym na swoje szanse złamanego grosza.

Ale on się nie odwrócił. Chciał dopaść Gavina.

Wtedy wydarzyło się coś okropnego. Na drodze pojawił się samochód. Niestety, tylko jeden. Jechał w tym samym kierunku, w którym bieглиśmy, i usłyszałam go dopiero, kiedy znalazł się całkiem blisko. Docieraliśmy do miejsca, w którym Gavin zszedł ze ścieżki. Miałam potworny dylemat. Czy powinnam wybiec na drogę i spróbować zatrzymać samochód? Zanim kierowca by wysiadł, a ja wyjaśniłabym, co się dzieje, facet z nożem miałby mnóstwo czasu, żeby wbiec między drzewa, znaleźć Gavina i zabić go, podczas gdy ja gadałabym z kimś na drodze.

Mogłam machać, żeby zatrzymać samochód, ale jednocześnie biec dalej. Albo zignorować samochód, skupiając się na tym facecie i Gavinie.

Miałam tylko sekundę na podjęcie decyzji. Skręciłam w stronę rynsztoka i nie zatrzymując się, machałam ręką, biegnąc wzdłuż krawężnika. Próbowałam pogodzić ze sobą obydwie rozwiązania.

Samochód minął mnie, nie zwalniając. Zauważyłam, że kierowca rozmawia przez komórkę. Nawet mnie nie widział.

Facet z nożem gwałtownie odbił w prawo i wbiegł między drzewa. Musiałam pobiec za nim. Drzewa rosły całkiem gęsto, serio, jak w europejskim lesie - przynajmniej tym z moich wyobrażeń, bo nigdy nie byłam w Europie. Wokół panowała zupełna cisza. Ziemia rozmiękła od gnijących liści, a ja próbowałam wypatrzeć jakieś ślady zostawione przez Gavina, miejsce, w którym zszedł z wąskiej utwardzonej ścieżki i pobiegł w stronę lasu.

Znowu nie wiedziałam, co robić. Powinnam gonić tego faceta? A może skręcić i zacząć szukać Gavina na własną rękę, licząc na to, że znajdę go pierwsza? Gdybym pobiegła za tym człowiekiem, a on złapałby Gavina, mógłby go zabić, zanim bym ich dogoniła. Wystarczyłby jeden brutalny cios w serce. Nawet gdybym w porę się na nich rzuciła, jaką miałam gwarancję, że uda mi się uratować Gavina? Czy mogłam liczyć na to, że zdołam złapać tego faceta za rękę, stoczyć z nim walkę i wygrać?

Mimo wszystko zostawienie go i pobiegnięcie w inną stronę wydawało się niesamowicie wyrachowane i bezduszne.

Kiedy się nad tym zastanawiałam, facet zrobił to, czego się obawiałam, biegnąc wzdłuż drogi. Gwałtownie się odwrócił i pędem ruszył w moją stronę, trzymając przed sobą nóż. Chciał mnie zadźgać. Mój umysł zrobił kolejne doskonałe zdjęcie jego twarzy. Facet tak bardzo zmrużył oczy, że równie dobrze mógłby je zamknąć. Jego górna warga odsunęła się,

odslaniając zęby, które wyglądały jak kły. Chyba skupił się wyłącznie na zabiciu mnie i żadna inna myśl nie przychodziła mu do głowy - oczywiście oprócz tej, która nakazywała mu zabić Gavina. Byłam w stanie go zrozumieć, bo czasem też miałam ochotę ukatrupić Gavina, ale ten facet przeginał.

Odbiłam w lewo i zboczyłam ze ścieżki. Mokre liście od razu mnie spowolniły. W tej części parku rosło dużo drzew iglastych, ale i sporo liściastych, które zrzuciły mnóstwo liści. Dyszałam jak parowóz i pomyślałam, że Gavin, nawet on, słyszy mój strach. Potem pomyślałam o jego przerażeniu, tym szczególnym rodzaju strachu, któremu towarzyszy cisza. O tym, co musi czuć, chowając się za drzewem i nie wiedząc, czy za chwilę nie zjawi się obok niego facet z uniesionym nożem. Gavin nie mógł liczyć na żadne ostrzeżenie. Chyba że udałoby mu się wyczuć zapach tego mężczyzny. Ale jeśli cokolwiek teraz czuł, to tylko mój strach. Podobno psy i krowy to potrafią. Może Gavin też. Jeśli tak, mój zapach na pewno wypełnił mu nos i przytłoczył jego zmysł powonienia, bo byłam naprawdę przerażona. Ta cała sytuacja wydawała mi się kompletnie niezrozumiała, a to chyba jeszcze bardziej potęgowało mój strach. „Wszystkie moje strachy mają jakieś imię...” To fragment wiersza, który kiedyś przeczytałam. Ten strach też miał imię: „Człowiek próbujący nas zadźgać nożem”. Ale potrzebowałam więcej informacji. Kim on, do diabła, jest? Czy Gavin zrobił mu coś złego? Na pewno nie. Wiem, że ciągle narzekam na Gavina i przez to możecie mieć o nim mylne wyobrażenie, ale prawda wygląda tak, że pod wieloma względami to całkiem uroczy dzieciak. Naprawdę uwielbia zwierzęta - i dlatego tak trudno mi zrozumieć tę historię z kotem sąsiadów Marka - i uwielbia ludzi, tylko że nie wszyscy pozwalają mu to okazać. Gdybyście widzieli, jak się zachowuje w towarzystwie Homera, jak ciągle zgaduje, czego Homer mógłby chcieć, kiedy razem pracują na mojej farmie... Podaje mu narzędzia, przytrzymuje to, co wymaga przytrzymania, i bez słowa skargi jeździ na tylnym siedzeniu motoru (ze mną nie cierpi tak jeździć). Kiedy coś gotuję, myśli tylko o tym, żeby wynieść jakiś kąsek dla Homera. Dbą o niego bardziej niż o siebie. A Homer oczywiście się nie wzbrania.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby zabić Gavina.

No więc ten facet nie był przy zdrowych zmysłach.

Ta twarz: skupiona na zabijaniu, lśniącą żądzą mordy, pragnąca przeszyć ostrzem mnie, a potem Gavina... Facet musiał być totalnym świrem.

Wskoczyłam za krzaki i na chwilę zniknęłam mu z oczu. Chciałam zrobić szybki zyg, ale ostatecznie zdecydowałam się na zak. To okropne, że czasem twoje istnienie zależy od tego, czy zygujesz, czy zakujesz. Połowę energii poświęcałam na uciekanie przed tym facetem, a drugą połowę na szukanie Gavina. Zobaczyłam fontannę, była bliżej, niż się



spodziewałam, i nie bardzo wiedząc dlaczego, pobiegłam w jej stronę. Wydawało mi się, że to centralny punkt parku. Chyba odruchowo kierujemy się w kierunku centrum wszystkiego. Może Gavin też.

Dobiegłam do niej i zaczęłam ją okrążyć. Jezu, on tam był. Pośrodku pieprzonej fontanny! Udawał cherubinka.

No cóż, potrzebowałby czegoś więcej niż harfy i pary skrzydeł. Fontanna była całkiem imponująca: przedstawiała jakiegoś starszego człowieka z rozłożonymi rękami, rozstawionymi nogami i czymś w rodzaju berła albo włóczni w ręku. Gavin miał spodnie mokre do kolan i trzymał się tego gościa jak samego życia. W zasadzie to nie była zła kryjówka, bo ktoś tak mały jak Gavin - pod warunkiem że widział zbliżającego się napastnika - mógł przemykać z boku na bok, a nawet zaszyć się w zagłębieniach pomnika, gdzie moim zdaniem byłby naprawdę dobrze schowany. Problem w tym, że zamiast wybrać bezpieczne rozwiązanie, Gavin wychylił się i zaczął do mnie machać. Zauważyłam go, ale zauważył go też facet z nożem.

Potem wszystko rozegrało się dość szybko. Facet się zawahał, ale najwyraźniej był gotów wejść do wody. Gavin się odwrócił, żeby na niego spojrzeć. Raczej nie mógł zejść z fontanny i w porę uciec. Wykorzystałam rzeźbę jako osłonę i weszłam do wody. Była lodowata. Dziwne, że nie zmieniłam się w kamień tak jak facet z rzeźby. Szybko brnęłam w stronę środka. Żwawe podskoki dały mi przewagę nad pościgiem, ale zauważyłam to, dopiero kiedy znowu się obejrzałam. Facet właśnie wszedł do wody, a ja byłam już prawie przy lewej nodze rzeźby. Wtedy mnie dostrzegł i trochę przyspieszył. Zaczął się do mnie zbliżać jak rozjuszony hipopotam. Nie żebym kiedykolwiek widziała rozjuszonego hipopotama, ale właśnie tak go sobie wyobrażam. Gavin, zamiast schodzić, zaczął się wspinać. Nie byłam pewna, czy to dobry pomysł. Pokładał w tej rzeźbie wielkie nadzieje. Ale uświadomiłam sobie, że faktycznie daje nam ona pewne możliwości. Facet mógł nas gonić wokół rzeźby, ale gdyby musiał się jej trzymać jedną ręką, a drugą wymachiwać nożem, byłoby nam łatwiej uniknąć ciosu. Pozostawałoby tylko uważać, żeby nie dać się złapać w pułapkę przy dłoniach rzeźby. No i prędzej czy później musiał się ktoś pojawić. Prawda?

Więc ja też wspięłam się na rzeźbę. Zdziwiłam się, że to aż takie trudne. Kamień był mokry i śliski, zielony od szlamu i mchu, a poza tym chyba od gołębich odchodów. Nie mógł się równać ze skalną ścianą urwiska na Szwie Krawca, ale musiałam się napocić, żeby nie spaść. Kiedy byłam tuż nad kamiennym kolanem, rzucił się na mnie facet z nożem. Złapał mnie za kostkę i ścisnął tak mocno, że od razu mnie unieruchomił. Wierzgnęłam i jego uścisk trochę zelżał. Zamiast za kostkę, trzymał mnie teraz za stopę. Wierzgnęłam jeszcze raz i

mokry but zsunął mi się z nogi razem z jego ręką. Potem zaczęłam się wspinać jak zawodowa fontannowa alpinistka gnana przerażeniem. Dotarłam do kamiennej piersi mniej więcej w dwie sekundy. Prawdopodobnie ustanowiłam rekord we wspinaczce po rzeźbie.

Ale facet z nożem nie dawał za wygraną. Gavin przesunął się do tyłu i zniknął mi z oczu, ale wcale mi to nie przeszkadzało, bo uznałam, że będzie dość bezpieczny. Wspięłam się wyżej, aż do szyi, a potem do brody. Następnie zatrzymałam się i spojrzałam w dół. Pomyślałam, że jestem w dobrym miejscu. Gdyby facet wszedł wyżej, mogłabym go kopnąć i wytrącić mu nóż albo zepchnąć go do wody. Spojrzałam na ospowatą i pomarszczoną twarz rzeźby. Niewidome oczy patrzyły na park, na niebo, w pustkę, a mimo to wyczułam w nich mądrość. Chyba mogłam powierzyć tej rzeźbie życie. Zerknęłam na drugą stronę. Zauważyłam dłoń Gavina i kawałek jego ręki. Jeszcze raz spojrzałam w dół i zobaczyłam tego człowieka. Wyglądało na to, że idzie do Gavina, przesuając się po przedniej części rzeźby. Przypominał płamę na starej ogromnej postaci, wędrującego raka. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że Bóg stwarza takich ludzi jak Robyn, Fi, Lee i Homer, którzy są naprawdę dobrzy i zawsze starają się postępować jak najlepiej, a zarazem takich osobników jak ten facet, którzy pragną tylko niszczyć. Ten gość niebezpiecznie zbliżał się do celu. Gavin raczej nie zdawał sobie z tego sprawy, bo kiedy znowu spojrzałam w dół, zobaczyłam, że mój mały przyjaciel przesuwa się w bok, by w końcu znaleźć się bezpośrednio przede mną.

Podniósł głowę, zobaczył mnie, a ja dałam mu znak, żeby wspiał się wyżej. Jednocześnie zaczęłam się zsuwać, żeby mu pomóc. Chyba na chwilę pochłonęłam całą jego uwagę, bo nagle zza fontanny wysunęła się ręka tamtego faceta i złapała Gavina za kostkę w ten sam podstępny sposób, który poznałam zaledwie parę minut wcześniej. Gavin zrobił taką minę, jakby poczuł w tyłku prąd o napięciu dwustu czterdziestu woltów. Wygiął plecy w łuk i o mało nie spadł z rzeźby. Przez chwilę odstawiał taniec inny niż ten, który jeszcze niedawno trwał w parku: tym razem machał ręką, wierzgał wolną nogą i gorączkowo ruszał głową, próbując utrzymać równowagę. Facet zaczął go ciągnąć. Nawet nie widziałam tej szurzej twarzy, tylko dłoń i większą część ręki, ale czułam, że siła napastnika rośnie, a Gavin coraz bardziej się ode mnie oddala. Obiema rękami objął wystający kawałek rzeźby, coś w rodzaju pnia, o który opierał się kamienny olbrzym, i trzymał się go jak ostatniej szansy na przeżycie.

Byłam już prawie na wysokości Gavina. Zsuwałam się szybko i z wściekłością. Trening na urwisku zdecydowanie mi się przydał, choć w pewnej chwili o mało się nie poślizgnęłam i nie spadłam. Mimo to uznałam, że na skali przyjemności wśród rzeczy, które mnie spotkały, ta przygoda plasuje się dość nisko. Wybrałam drogę, która w zasadzie oddalała mnie od Gavina - chciałam do niego podejść z drugiej strony. Ale on jęknął:

- Ellie, pomóż mi.

I to była jedna z najwyraźniej sformułowanych prośb, jakie kiedykolwiek od niego usłyszałam. Taki jęk zadowolilby każdego nauczyciela prowadzącego kółko teatralne.

Potem rozległ się krzyk.

Zabawne: myślałam, że poruszam się szybko, ale tak naprawdę wlekłam się z prędkością pikapa wiozącego trzydzieści kostek siana. Jestem tego pewna, bo kiedy przyspieszyłam, poczułam wiatr we włosach. Prawie. Okrążyłam fontannę i rzuciłam się na tego faceta, owładnięta tylko jednym gorącym pragnieniem: zabić go.

Na podstawie swojej ograniczonej wiedzy przypuszczam, że kiedy walczysz z kimś, kto chce cię zabić, jesteś w mniej korzystnym położeniu niż ta osoba. To ona ma większą motywację. Chce przeżyć, ale poza tym cię wykończyć. A ty chcesz się tylko uratować. Jednak to za mało. Twój przeciwnik dąży do celu z dwukrotnie większą zawziętością. Więc też musisz zapragnąć go zabić. Inaczej nie starczy ci sił. To okropne, ale prawdziwe. Dlatego w jednej chwili, opierając się wyłącznie na swoich wojennych doświadczeniach, skupiłam się na odebraniu życia temu facetowi: tu i teraz, w zimnej wodzie fontanny.

Dźgnął Gavina w nogę, próbując go zmusić, żeby puścił ten wystający kawałek rzeźby, którego się uczepił, i dlatego pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam, była krew ciekąca temu facetowi po ręce, po nożu i kapiąca do wody. Gość usłyszał, że się zbliżam, więc był gotowy na spotkanie. Wypuścił Gavina i odwrócił się, żeby zająć się mną. Dzięki temu Gavin mógł przynajmniej chwilę odsapnąć. Teraz pozostawało mi tylko zabić tego człowieka. Nasz przyjemny spacer przez park w sobotni poranek, na spotkanie, które miało być cudowne, skończył się tym, że pragnęłam kogoś zamordować i nie miałam większego celu w życiu niż uśmiercenie tego człowieka.

Rzuciłam się na niego z taką siłą, że odepchnęłam go od pasa kamiennego olbrzyma. I dobrze. To nie było jego miejsce. Moje pewnie też nie, ale co tam. Stoczyliśmy się do wody. Nie czułam już zimna. Dziwne. Jakby woda w ogóle nie miała temperatury. Może ten facet już mnie dźgnął i zabił, a ja jeszcze o tym nie wiedziałam? Ale nawet jeśli umarłam, to moje oczy nadal widziały. Widzę, więc jestem. Zobaczyłam, jak facet unosi dłoń, żeby zadać mi cios. Mieliśmy ze sobą tyle wspólnego: obydwójce chcieliśmy walczyć w zwarciu, ja chciałam zabić jego, a on mnie. Uznałam, że najlepszą obroną jest atak, więc rzuciłam się na jego rękę, najszybciej i najzacieklej, jak umiałam, ale nie aż tak szybko i zaciekle, jak bym chciała, bo przecież on próbował mnie zadźgać. Uderzyłam go w okolicy nadgarstka. Nadal ścisnął nóż. Naprawdę chciałam, żeby go wypuścił. Na szczęście wytrąciłam go z równowagi. Zatoczył się w bok i musiał szybko zmienić pozycję, żeby uniknąć upadku. Natarłam na niego z

impetem i runął do wody. Problem w tym, że pociągnął mnie za sobą. Teraz byliśmy już naprawdę mokrzy. Nadal nie czułam ciepła ani zimna, ale miałam kłopot z oporem wody. Bez przerwy mnie spowalniał.

Zobaczyłam nóż i jeszcze raz spróbowałam mu go wytrącić, ale facet mi się wymknął i dźgnął. Nagły krótki atak nie wiadomo skąd. Sprytnie z jego strony. Myślałam, że stracił równowagę. Zrobiłam unik, ale i tak dosięgnął miejsca po lewej stronie mojego pępka. Zobaczyłam trochę krwi, niewiele, lecz nie czułam bólu, tylko coś jakby głośnie pulsowanie, jakby mnie tam uderzył pięścią, i to wcale nie mocno. Byłam jednak w szoku, naprawdę w szoku. Z trudem łąpałam oddech, a potem uświadomiłam sobie, że powinnam się skupić na celu, na zabijaniu. Nie mogłam dopuszczać innych myśli ani uczuć. Kopnęłam nóż, wiedząc, że go nie dosięgnę. Chciałam jednak dać temu facetowi do myślenia. Jednocześnie prawą ręką spróbowałam go walnąć w twarz. Ani moja noga, ani ręka nie dotarły do celu, ale na dokładkę od razu rzuciłam się do ataku. Teraz miałam pewną przewagę. Facet był dość lekki, a ja jestem dość ciężka, więc znalazł się pod wodą. Pod wodą, z którą mieszała się moja krew.

Mogłam rąbnąć jego głową w dno sadzawki. Nie byłam pewna, czy powinnam. Ani jak mocno. Na pewno nie tak mocno, jak bym chciała.

Uzbrojona ręka znowu była w ruchu, silna i złowroga. Przechyliłam się w bok, żeby ją odepchnąć, i w tej samej chwili spróbowałam uderzyć jego głową w dno. Nie udało się. Miałam wrażenie, że nóż znowu mnie dosięgnął, ale nie wiedziałam, w którym miejscu ani jak głęboko dotarło ostrze. Postanowiłam, że uduszę tego faceta i jednocześnie utopię. Zacisnęłam dłonie na jego gardle i pochyliłam się, przygniatając go, żeby się nie podniósł. Kątem oka zobaczyłam, jak podnosi rękę. Zrozumiałam, że ta taktyka się nie sprawdzi, że zanim zdążę wycisnąć z jego ciała życie, on zdąży mnie wiele razy dźgnąć.

Nóż poszedł w ruch. Jego srebrny kształt zawirował w powietrzu jak metalowy bumerang. Bumerang, który nie... no dobra, jasne, przycisk z napisem „usuń banał” nie pozwoli mi dokończyć tego zdania. Ale zjawił się Gavin. Kieszonkowy komandos umazany własną krwią uderzył czymś w rękę tego faceta - nie mam pojęcia czym, nie widziałam - i teraz mogłam się skupić na zabiciu wroga. Boże, jak to brzmi. Te słowa z taką łatwością wychodzą mi z głowy. Zdecydowanie i całkowicie odcięłam się od ich znaczenia, bo inaczej nigdy bym ich nie napisała.

Przygniotłam faceta całym ciałem i zacisnęłam dłonie na jego szyi, żeby już nigdy więcej nie oddychał. Zaczął wierzgać i miotać się. Jego siła wprawiła mnie w przerażenie i nie wiedziałam, czy będę w stanie go przytrzymać, mimo że Gavin wszedł mi na barana i dodatkowe obciążenie trochę pomogło.

Facet nagle sflaczał i prawie zwolniłam uścisk, ale coś mi mówiło, że to tylko sztuczka. Nadal wydawał się zbyt napięty. Ścisnęłam go jeszcze mocniej, co teraz, kiedy przestał walczyć, było łatwiejsze. Boże, to okropne. Niedobrze mi, kiedy sobie przypominam jego gardło, jego szyję. W środku czułam kość, ale przede wszystkim mięśnie, chociaż chyba nie powinno ich tam być. Nie, nie zamierzam o to pytać nauczycielki biologii. Facet miał dość żyłastą szyję, ale wierzchnia część była całkiem miękka, przypominała indyjskie korale. Dalej była warstwa czegoś w rodzaju mięśni, a gdzieś na końcu, w głębi, kość. Właśnie do niej chciałam dotrzeć. Ścisnęłam jeszcze mocniej, pragnąc, by w moich rękach została sama kość. Jasne, Homer, możesz się śmiać, ale naprawdę tak czułam.

Miałam rację w kwestii blefowania, bo nagle facet ożył i tym razem był naprawdę zdesperowany. Szalał jak ryba walcząca o życie. Albo jak krokodyl. Nie wiem, ostatnio nie złapałam żadnego krokodyla. Na chwilę udało mu się nawet wynurzyć głowę, ale na pewno nie zaczerpnął powietrza, bo mój uścisk był zbyt silny. Twarz tego gościa wyglądała potwornie, poszarzała, a jego oczy wpatrywały się we mnie i po raz pierwszy były szeroko otwarte. Ale i tak nie widziały ani mnie, ani niczego innego.

Znowu wsadziłam mu głowę do wody i tym razem sflaczał na serio. Od razu poczułam różnicę. Ale nie puściłam. Pomyślałam, że jeśli puszczę, dojdą do głosu jego odruchy i organizm zacznie oddychać. Że ożyje. A tego nie chciałam. I wtedy jakiś gliniarz złapał mnie od tyłu i odciągnął.

## Rozdział 19

W końcu ktoś nas zobaczył i zadzwonił po policję. Ale gliniarz musiał się bardzo postarać, żeby oderwać moje ręce od gardła tego faceta. Chciałam je puścić, przynajmniej jedną częścią mojego umysłu, ale druga część chyba nadal pragnęła go zabić.

- Puść! Spokojnie! - krzyczał bez przerwy gliniarz.

Ale czy można zmusić kogoś do spokoju krzykiem? Dopiero kiedy Gavin mną potrząsnął i poklepał mnie po dłoniach, zwolniłam uścisk. Tymczasem gliniarze zdążyli nas praktycznie wywlec z fontanny. Poczułam, że leżę na otaczającym ją niskim murku. Kamienie wbijały mi się w plecy. Faceta odciągnęli trochę dalej, aż na ścieżkę, gdzie ułożyli go na wznak i przystąpili do reanimacji. Boże, znali się na tej robocie. Dobrze im szło. Najwidoczniej robili to nie po raz pierwszy. Raczej tysięczny. Jeden z gliniarzy, facet, ustawił się przy ustach i dmuchał w nie przez czarny plastikowy przyrząd. Kobieta robiła masaż serca. Poczółgałam się dalej od fontanny, żeby odsunąć się od niewygodnego murku. Bo dopiero teraz zauważyłam, jaki jest niewygodny. Moje zmysły zaczynały działać i usłyszałam dwie syreny zbliżające się z dwóch różnych stron. Podźwignęłam się do pozycji półleżącej i patrzyłam, jak gliniarze próbują odkręcić to, co zrobiłam. Dziwne: wkładali w to tyle wysiłku, a zaledwie przed chwilą wkładałam mnóstwo wysiłku w to, żeby osiągnąć odwrotny efekt.

Facetem nagle wstrząsnęły torsje, przewrócił się na bok, dzięki Bogu nie w moją stronę, i zaczął wymiotować. Dotarły do mnie odgłosy, jakie można usłyszeć już o dziewiątej wieczorem obok budynku, w którym są organizowane wiejskie potańcówki w Wirrawee. O jedenastej można je usłyszeć w środku.

Policjantka robiąca masaż serca zeszła z faceta, wycierając ręce w spodnie i z wyrazem słusznego obrzydzenia na twarzy. Postanowiłam, że nie będę policjantką. Facet przekręcił się jeszcze bardziej, na kolana i ręce, i dalej wyrzygiwał wodę i inne rzeczy. W oddali zobaczyłam ratownika medycznego, potem drugiego. Biegli do nas. Nie wiedziałam, dlaczego nie podjechali do fontanny. Policja podjechała.

Wtedy poczułam uderzenie zimna. Jakby w środku i na zewnątrz rozpętała się śnieżycy. Fala była tak silna, że cicho krzyknęłam. Było mi nieuleczalnie zimno. Pomyślałam, że już nigdy nie poczuję ciepła, że nie będę umiała poczuć ciepła. Zamarzłam od wewnątrz. I nikogo to nie obchodziło. Jeszcze nigdy nie czułam tak potwornego zimna. Gliniarze siedzieli przy tym facecie, próbując go ułożyć w lepszej pozycji. Ratownicy pobiegli prosto do niego. Ja nie istniałam.

Facet, który chciał mnie zabić, był gwiazdą przedstawienia. Wszystko kręciło się wokół niego.

Nagle Gavin, mokry, oślizgły i przemoczony, objął mnie, przytulił się, a potem siedzieliśmy razem, kołysząc się, ściskając, i jakimś cudem zdołaliśmy się ogrzać. Dwie zimne rzeczy czasem dają ciepło. Wszystko dzięki starej dobrej ciepłocie ciała. Sprawdza się za każdym razem. Byłam bardzo zmęczona i mogłabym od razu zasnąć. W końcu podeszła do nas ratowniczką. Nie zauważyłam, kiedy się zjawiała. Była blondynką z taką burzą loków, że nie wiedziałam, jak jej czepek utrzymuje się na głowie. Zapytała, jak się czujemy i czy jesteśmy ranni. No cóż, pewnie szybko pożałowała tej ciekawości.

Wezwała wsparcie i sekundę później do fontanny podjechało kombi oznakowane jak karetka pogotowia, a potem dołączyły do niego dwie karetki, których wcześniej nie widziałam, i dwoje noszy na kółkach. Opatulono nas kocami. Gavin wsiadł do jednej z karetek o własnych siłach, ale mnie musieli zawieźć. Byłam skołowana i wydawało mi się, że wszyscy zjawili się w jednym momencie. Chyba w ogóle miałam mętlik w głowie. Całkiem możliwe, że przez chwilę nie byłam do końca przytomna.

Koce zaczęły działać i poczułam, że mogę się pozbyć resztek tamtego zimna. Pozbyłam się ich zatem, stopniowo. Położyłam się na plecach i otworzyłam oczy. Niebo było szare, ale w oddali robiło się błękitne. Bezpośrednio nad nami wisiała szarobiała chmura, a kiedy odwracałam głowę, widziałam kłęby chmur z tyłu. Nie byłam pewna, w którą stronę płyną. Czasem jednak meteorolog się przydaje. Zapytałam jasnowłosej kędzierzawej sanitariuszki, z której strony wieje wiatr, ale ona tylko się do mnie uśmiechnęła i powiedziała:

- Dlaczego o to pytasz?

- Chyba po prostu jestem dziewczyną ze wsi - odparłam.

- No cóż, w tej chwili raczej nie ma wiatru.

Ratownicy zaczęli wkładać moje nosze do karetki.

- Włączycie syrenę?

- Wszyscy się o to dopytują - powiedziała. - Jak myślisz, Col, będziemy potrzebowali syreny dla tych dwojga?

- Mogę trochę powycić, jeśli natrafimy na korek - odpowiedział jej kolega. - Przecież nie chcemy się spóźnić na przerwę, prawda?

- Gavin jest głuchy - dodałam i zamknęłam oczy.

- Naprawdę? - zdziwiła się blondynka. - Col, ten chłopiec jest głuchy.

- A, to wiele wyjaśnia - powiedział Col.

Nie wiedziałam, co ma na myśli, ale chyba wcześniej próbowali rozmawiać z

Gavinem.

- Jak on się czuje? - zapytałam.

- Naszym zdaniem nic wam nie będzie.

Miałam wrażenie, że mówią to każdemu. Bo i co mieli mówić? „Przypuszczamy, że umrzecie, zanim dojedziemy do następnego skrzyżowania”?

Karetka ruszyła, a ja otworzyłam oczy. Blondynka siedziała między mną a Gavinem, więc domyśliłam się, że prowadzi Col. Ratowniczką znowu bardzo miło się do mnie uśmiechnęła.

- Obydwoje macie dość głębokie rany, ale nie wyglądają najgorzej. Poza tym jesteście w szoku.

- To wszystko? - ziewnęłam.

Nie umiałam przywyknąć do myśli, że w samym środku zacieklej walki może się zjawić policja, która wszystko załatwi. I że kiedy odniesie się rany, przyjeżdża karetka, ratownicy owijają cię kocem i wiozą do szpitala. Gdzie oni się podziewali w czasie wojny?

- Może być pewien problem, bo ta paskudna woda z fontanny dostała się do ran - ciągnęła blondynka. - Pewnie będzie was musiał obejrzeć jakiś lekarz. Fontanna to nie jest najzdrowsze miejsce na kąpiel, kiedy ktoś dźgnie cię nożem!

- Rzeczywiście.

Sięgnęłam po rękę Gavina, ale nie mogłam jej znaleźć.

- Czego szukasz? - zapytała dziewczyna.

No, w zasadzie nie była już dziewczyną.

- Ręki Gavina - powiedziałam.

Połączyła nasze dłonie. Gavin natychmiast mocno ścisnął mi rękę, aż do oczu napłynęły mi łzy, bo: a) byliśmy przyjaciółmi, b) nadal żył i c) dzięki temu pomyślałam, że ratowniczką wcale mnie nie okłamała i Gavin prawdopodobnie się z tego wyliże.

Raczej nie byłabym w stanie przeżyć śmierci kolejnej choć trochę mi bliskiej osoby. W tamtym czasie nawet śmierć krowy, czyjejś świnki morskiej albo królika na drodze od razu doprowadzała mnie do łez.

No dobra, w wypadku królika skłamałam.

W szpitalu - inaczej niż w karetce - nie poświęcono nam aż tyle uwagi i nie traktowano nas jak członków rodziny królewskiej. Lekarka zbadała nas i posłała na prześwietlenie, ale powiedziała, że nasze obrażenia nie zagrażają życiu. Dała nam antybiotykową bombę w wielkiej strzykawie - a właściwie zleciła to pielęgniarce - a potem usiedliśmy w korytarzu i czekaliśmy w nieskończoność na prześwietlenie.



Kiedy wyszliśmy, powitał nas gliniarz w mundurze. Powiedział, że będzie nas pilnował. Dopiero na izbie przyjęć uświadomiłam sobie, że mogli go przysłać z obawy, że uciekniemy, bo pielęgniarka, która odkażała moją podrapaną rękę, zapytała:

- Co wyście zmalowali?

Powiedziała to ściszym głosem i tonem sugerującym, że „to zostanie między nami”.

Oczywiście sama nie mogłam się doczekać, kiedy zapytam Gavina, co się, do diabła, dzieje. Chciałam się tego dowiedzieć, odkąd to wszystko się zaczęło, ale nie miałam okazji. Nawet teraz to było niemożliwe. Na korytarzu posadzono nas w odległości dwudziestu metrów od siebie, a teraz Gavin siedział na drugim końcu gabinetu. Co myśmy zmalowali? Po prostu próbowaliśmy uciec przed skończonym świrem, który chciał nas zabić. Czy to grzech? Tyle że atak nie był przypadkowy. Ten facet znał Gavina i chciał go wykończyć. Musiał mieć jakiś powód.

Dlatego wszystko, co mogłam powiedzieć, sprowadziło się do starego dobrego:

- Nie wiem.

- Należycie do jakiegoś gangu? - zapytała po chwili.

- Co?

O mało się nie udławiłam. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać, czy może zadzwonić po psychiatrę. Dla niej. I właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że gliniarz mógł zostać przysłany po to, żebyśmy nie związali prześcieradeł i nie prysnęli przez okno. Dobry Boże! Nie oczekiwałam medali ani kluczy do miasta. To było jedno z ulubionych powiedzonek mojego taty: „Nie proszę o medal ani o klucze do miasta, ale miło by było móc czasem liczyć na odrobinę współpracy”.

Nie prosiłam o paradę, ale byłoby miło, gdyby ktoś powiedział: „Hej, dziewczyno, ocaliłaś dzisiaj dwa istnienia, nawet jeśli jedno było twoim własnym”.

- Nie, nie należę do gangu - odparłam.

Przez co najmniej dwie godziny niewiele się działo. Gliniarz zdążył się rozgościć i wkrótce zaczął chodzić po kawę dla siebie i dla pielęgniarek. Ja dostałam tabliczkę „nic doustnie”, więc nie mogłam jeść ani pić. Dość długo drzemałam. Potem ktoś przyszedł i zabrał tabliczkę, a dziesięć minut później dostałam kanapki i wodę z sokiem. Nagle sobie uświadomiłam, jaka jestem głodna, więc pochłonęłam to wszystko, nawet jeśli kanapki składały się głównie z białego pieczywa ze śladową ilością kurczaka i strzępkami sałaty. A napój smakował tak, jakby przez kilka sekund potrzymano szklankę z wodą obok butelki z sokiem i szybko ją odsunięto. Ja lubię mocne soki.

Zjawił się drugi lekarz i zaczął mnie zszywać. Był gadatliwym facetem, który

wyglądał, jakby przyjechał z Indii albo z Pakistanu, i mówił przyjemnym, melodyjnym głosem.

Powiedział, że nic złego mi się nie stało, nóż ominął organy wewnętrzne, że mam szczęście i mogę jechać do domu, ale będę musiała brać antybiotyki, bo byłam w wodzie, w której prawdopodobnie zetknęłam się z mnóstwem niebezpiecznych mikroorganizmów.

Kazał mi się przewrócić na bok i założył parę szwów na drugiej ranie. Czułam jakiś ból w plecach, ale nie zdawałam sobie sprawy, że to następna rana od noża. Nie zarejestrowałam tego drugiego dźgnięcia - myślałam, że tylko obtarłam sobie skórę.

Sytuacja Gavina była trochę bardziej złożona. Nikt mi nie powiedział, że kiedy ja drzemałam, zawieziono go na operację. Wpadłam w straszną panikę, kiedy usłyszałam, jak pielęgniarka mówi coś o „głuchym chłopcu, który pojechał na blok operacyjny”, i zaskoczyłam sama siebie napadem hysterii. To żenujące, ale musieli mnie przytrzymać i pielęgniarka dała mi następny zastrzyk, po którym natychmiast odpłynęłam.

Obudziłam się w pomieszczeniu z namalowanymi na ścianie eukaliptusami wokół jeziora, a obok łóżka siedział Lee.

- O kurczę, jak długo tu leżę? - zapytałam go. Potem przypomniałam sobie o Gavinie.

- Jest chyba koło czwartej - powiedział, odkładając „Bulletin”, który wyglądał, jakby miał kilka lat. - Nie martw się, z Gavinem wszystko w porządku. Ma uszkodzone mięśnie i przez jakiś czas będzie obolały, a potem przyda mu się trochę fizjoterapii. To wszystko.

- Gdzie on jest?

- Leży w sali niedaleko stąd. Ta ma numer dwa tysiące dwieście dziesięć, a on jest w dwa tysiące dwieście dwudziestej.

- Mogę go zobaczyć?

- Nie wiem. Chyba tak. Pozwolili mi do niego zajrzeć, ale spał. Dostał narkozę. Jeśli uda ci się przekonać pielęgniarki, pewnie pozwolą ci do niego pokuśtykać i się przywitać.

- Co się właściwie stało, do cholery? Kim był tamten facet? O co mu chodziło?

Lee wydawał się zaskoczony.

- Sam chciałem cię o to zapytać. Nic nie wiem i nikt nie chce mi nic powiedzieć. Kiedy tu przyszedłem, pilnował was jakiś gliniarz, ale mniej więcej godzinę temu dostał wiadomość i chyba się okazało, że nie ma was na liście najbardziej poszukiwanych przestępców, bo spakował się i poszedł. To on mi dał ten „Bulletin”.

- Pozazdrościć.

- Tak, szkoda tylko, że rozwiązał krzyżówkę.

- Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

- Wymieniłaś mnie jako najbliższego krewnego.

- Naprawdę? Nie pamiętam.

- No więc co się stało? Myślałem, że wyruszenie na miły spacer, który zakończy się radosnym spotkaniem Gavina z siostrą. A potem dostałem wiadomość, że jakiś facet próbował was zabić. Czy to ma związek z Wyzwoleniem? Albo z wojną?

- Nie wydaje mi się. - Pokręciłam głową, próbując to rozgryźć. Miałam lekki mętlik w głowie, pewnie po zastrzyku. - Nie, jestem pewna, że to nie miało nic wspólnego z Wyzwoleniem. Ten facet znalazł Gavina. Czekał na niego.

Wyślizgnęłam się z łóżka, postanawiając, że raz na zawsze to wyjaśnię. Mniejsza z tym, że Gavin dostał narkozę i spał. Przecież mógł się obudzić i wyjaśnić, co się, do diabła, dzieje.

Trochę kręciło mi się w głowie, ale nie było najgorzej. Kiedy złapałam się krawędzi łóżka, Lee musiał mnie przytrzymać, ale po chwili odzyskałam równowagę.

- Rany, co było w tej strzykawce? - powiedziałam.

Ruszyliśmy korytarzem. W połowie drogi do pokoju

Gavina stało biurko pielęgniarki. Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- A dokąd to się wybierasz w to piękne sobotnie popołudnie?

Szeroko się uśmiechnęłam.

- Chcę tylko sprawdzić, jak się czuje mój współnik.

- Ach tak? W takim razie możesz zawrócić i znowu się położyć. Dostałaś tyle midazolamu, że starczyłoby dla małego słonia, więc lepiej jeszcze trochę poczekać, zanim zaczniesz wyśpiewywać serenady w korytarzu.

- Chcę go tylko o coś zapytać - poprosiłam.

- Wiesz co, czytałam twoją książkę o wojnie - powiedziała.

- Naprawdę?

Pierwszy tom został wydany, ale reszta leżała w domu w szafie. Sprzedało się zbyt mało egzemplarzy, by zadowolić wydawcę, więc nie chciał wziąć pozostałych. Miałam wrażenie, że wiele osób słyszało o tej książce, ale niewiele ją przeczytało. Może zawinił tytuł. Moim zdaniem Wojna z Piekła brzmiała całkiem fajnie, ale ludzie, którzy nie wiedzieli o istnieniu Szwu Krawca i Piekła, mogli zrozumieć tę grę słów dopiero podczas lektury, a wtedy było już chyba za późno.

Wcale się tym nie przejmowałam. Po prostu lubię pisać. Weszło mi to w nawyk i teraz robię to dla siebie, nie staram się tego wydać.

- Nie przypuszczałam, że cię poznam - powiedziała pielęgniarka. - To całkiem niezła

książka. Podsunęłam ją też swojemu chłopakowi. Jeśli chcesz zadać Gavinowi tylko jedno pytanie, w porządku. Ale jeśli śpi, nie budź go. Jeśli śpi, zostaw go w spokoju.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że pozwala mi na rozmowę z Gavinem.

- W porządku, super, dzięki. I dziękuję za zakup książki.

- Nie kupiłam jej. Wypożyczyłam z biblioteki.

- Powinna pani kupić - wtrącił lojalnie Lee.

Roześmiała się.

- Może i kupię, skoro was poznałam. Ty jesteś tym chłopakiem, którego rodzina prowadziła restaurację, prawda?

- Tak, to Lee - zawołałam przez ramię. Jakby nie mógł mówić za siebie.

Byłam już w połowie drogi do Gavina. Miło byłoby usiąść i uciąć sobie długą rozmowę o literaturze, ale miałam ważniejsze sprawy na głowie.

Lee dogonił mnie przed drzwiami. Wlekłam się jak ślimak. Ten lek mnie rozwalił. Niby wszystko wydawało się normalne, ale pokonanie małej odległości trwało w nieskończoność. Skąd ja to znam.

Kiedy spjrzałam na Gavina, poczułam potężny przyływ emocji. Przyzwyczajałam się do tego uczucia. Przydarzało mi się od czasu do czasu. Prawie słyszałam, jak fale uczuć biją o brzeg. Bałam się, że coś mu się stało, pragnęłam go chronić, nie chciałam go zawieść, kochałam go. Albo po prostu szalały we mnie hormony, uczucia macierzyńskie, które prawdopodobnie objawiają się w taki sam sposób.

Otworzył jedno oko i spjrzał na mnie. Potem otworzył drugie. Miał tę surową minę, którą czasami u niego widywałam. Po prostu na siebie patrzyliśmy. Kiedy jest się z Gavinem, trzeba czytać sygnały. Jeśli odczyta się je źle - bach! da ci w twarz i ucieknie na wzgórze. Oczywiście niedosłownie. No, w zasadzie zazwyczaj nie.

Okej, rozumiałam wiadomość: to nie była pora na głupie babskie łzawe kwestie w rodzaju: „Dzięki Bogu, że nic ci nie jest” albo „Myślałam, że umrę, kiedy zobaczyłam, że ten facet cię złapał, normalnie poczułam oddech śmierci”, albo „Znacysz dla mnie więcej niż ktokolwiek inny na świecie”.

Najwidoczniej to nie była pora na takie bzdury. Na razie koniec z przytulaniem.

- Gavin, o co, do cholery, chodzi?

- To mój ojczym.

Wydałam zduszony okrzyk, tak jak stojący za mną Lee. Poczłapałam trochę dalej.

- Jasne, jestem w stanie zrozumieć, że ktoś, kto ma z tobą do czynienia, może chcieć cię zamordować, ale czy był jakiś konkretny powód...?

Nie zdołał wyczytać tego wszystkiego z ruchu moich warg. Był za bardzo oszołomiony i nafaszerowany lekami, tak jak ja. Wiódł odurzony odurzonego. Gavin zmarszczył brwi i zrobił to, co normalnie robi w takich sytuacjach: zgadł, o co pytam. Doskonale znałam tę jego minę.

No więc odpowiedział na pytanie, którego się domyślił.

I jak zwykle odgadł je prawidłowo.

- On zabił moją mamę.

## Epilog

Wyglądało na to, że Gavin był jedynym świadkiem morderstwa. Jak poinformował Czerwony Krzyż, jego mama została zamordowana na samym początku wojny. Pomylili się tylko co do sprawcy. Wszyscy zakładali, że zabili ją żołnierze. Nie wiem, kto znalazł ciało. Może jedna z tych grup roboczych, na które sama kilka razy się natknęłam - ludzi skierowanych do sklepów i domów, żeby posprzątać po inwazji. Może żołnierze znaleźli jej ciało i przekazali je ludziom w obozie jenieckim, żeby tam je pochowano albo skremowano.

Od tamtej pory wszyscy, łącznie z Czerwonym Krzyżem, obwiniali o jej śmierć żołnierzy.

Tylko Gavin znał prawdę. Widział, jak jego mama została zaatakowana od tyłu, kiedy wkładała rzeczy do samochodu. Opowiedział mi o tym podczas weekendu, jak zwykle odgrywając każdą scenę. Ku uciesze Gavina jego mama postanowiła zakończyć związek z Kenem. Zawiozła Rosie do przyjaciół razem z paroma walizkami, a potem wróciła do domu po następny ładunek. Razem z Gavinem nosili rzeczy do samochodu, ale kiedy byli w garażu, ten mężczyzna wrócił do domu. Uderzył ją lewarkiem samochodowym, upadła, a wtedy uderzył ją jeszcze dwa razy. Potem zamknął Gavina w domu. Kilka godzin później Gavinowi udało się uciec i trafił w sam środek inwazji.

Przez cały czas Gavin nosił w sobie ten sekret, przez cały czas buzowały w nim strach i potworność tego zdarzenia. Nie odważył się nikomu o tym powiedzieć. Nie chciał, żeby w jego życiu znowu pojawił się ten człowiek. Nie chciał dochodzenia. Jak to mówią: jesteś taki chory jak twoje sekrety, a jego sekret był naprawdę trujący.

Pomyślałam, że to zabawne: obydwoje, ja i Gavin, byliśmy dziećmi na S. Nienawidziłam tego słowa i nie potrafiłam go wypowiedzieć. Co gorsza, troje z czworga naszych rodziców zostało zamordowanych. Uświadomiłam to sobie, dopiero kiedy o tym pisałam. Jakie jest prawdopodobieństwo takiego scenariusza? Chyba należy uznać, że mieliśmy pecha.

Spotkanie po długiej rozłące jednak się odbyło, przynajmniej dla Rosie i Gavina. To było dziwne doświadczenie. Siostra Gavina okazała się bystrą dziewczynką, piekielnie zadziorną, z błyskiem w oku. Russellowie wydawali się naprawdę mili. Byli zszokowani tym, co zaszło obok ich domu poprzedniego dnia. Widywali tego człowieka, wszyscy go znali: nazywał się Ken Manning. Pracował na pół etatu w sklepie monopolowym i kręcił się koło

totalizatora sportowego. Widocznie wieść o przyjeździe Gavina dotarła do niego pocztą pantoflową. Wszyscy myśleli, że Gavin nie żyje, więc dla niego też musiał to być szok.

W każdym razie kiedy przyszliśmy następnego dnia, drzwi otworzyła Rosie.

- Już jest! - zawołała do przybranych rodziców. A potem po prostu spojrzała na Gavina i powiedziała: - Cześć, Gavin.

- Cześć, Rosie.

- Chcesz wejść?

- No.

- Ale zdejmij buty, są całe ubłocone.

Mniej więcej pół godziny upłynęło w takiej atmosferze. Ona nim dyrygowała, a on znosił to bez szemrania. Może nadal działała narkoza albo środki przeciwbólowe - a może po prostu wciąż był w szoku po wydarzeniach poprzedniego dnia. Ale wątpię.

Kiedy pani Russell zasugerowała, żeby Rosie pokazała Gavinowi swój pokój i zabawki, dziewczynka ją zignorowała, a po ponowieniu sugestii przez przybraną mamę powiedziała po prostu:

- Nie ma mowy.

Jednak po chwili rodzeństwo oddaliło się w stronę podwórza za domem i gdy spojrzałam na nich po raz drugi, obydwoje byli przy trampolinie. Wyglądało na to, że naprawdę rozmawiają. Gavin dawał jeden ze swoich słynnych pokazów, a Rosie leżała na plecach, przyglądała mu się w skupieniu i co chwila się śmiała. Podejrzewam, że Gavin przechwalał się tym, co zrobił w czasie wojny, ale uznałam, że ma prawo się trochę poprzehwalać. Zresztą czy nie po to są młodsze siostry? Nigdy nie byłam młodszą siostrą i nie miałam jej, więc nie wiem.

Uzgodniłyśmy z panią Russell, że niedługo gdzieś ich razem zabierzemy, a kiedy już trochę odświeżą relacje, Rosie mogłaby przyjechać i pomieszkać trochę na farmie. Myślę, że pani Russell mówiła szczerze. Bo ja tak. Naprawdę. Chcę, żeby Gavin odzyskał wszystko, co da się ocalić z jego dawnego życia, a z tego, co wiem, Rosie jest jego jedyną krewną.

Wróciliśmy do mieszkania Lee. Musieliśmy zostać w mieście jeszcze jeden dzień, bo Gavin był umówiony na kontrolę w przyszpitalnej poradni, a poza tym czekało nas dalsze składanie zeznań na policji. Jedno już złożyliśmy, a potem jeszcze zadzwonili i musiałam przekazać Gavinowi kilka pytań dotyczących tego, gdzie mieszkał przed wojną. Chyba chcieli pobrać próbki z garażu i przeprowadzić badania DNA.

Na kolację Lee zafundował nam swoje popisowe danie: skrzydełka z KFC na przystawkę i cheeseburgery z McDonalda jako danie główne. Spojrzałam na niego z

niedowierzaniem.

- I pomyśleć, że twoi rodzice prowadzili restaurację - powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

- Tata lubił McDonalda.

Litości.

Potem zadzwonił telefon. Lee odebrał i po chwili zdałam sobie sprawę, że w zasadzie nic nie powiedział. Za to słuchał. W pokoju dało się wyczuć pewne napięcie i wszyscy przestali jeść, nawet Intira. Pang się skrzywiła.

- O co chodzi? - zapytałam ją.

Wzruszyła ramionami, dokładnie tak samo jak Lee.

- Będą kłopoty - powiedziała tylko.

Lee odłożył słuchawkę. Spojrzał na mnie.

- Dzwonił Szkarłatny Pryszcz - oznajmił cicho.

- No i?

Poczułam, jak supeł w moim żołądku nagle zaciska się tak mocno, że utrudnia mi oddychanie.

- Przy granicy pojawił się pewien problem, który prawdopodobnie możemy rozwiązać.

- No i?

Tym razem on wzruszył ramionami i usiadł, sięgając po drugą połowę cheeseburgera.

- Nie ma pośpiechu. Ruszymy dopiero pojutrze wieczorem.

- Więc o co chodzi?

- E, o nic, nie będziesz zainteresowana. Wiem, że nie chcesz się już angażować w te sprawy.

- Lee! Przestań się ze mną droczyć.

- O, więc jednak jesteś zainteresowana?

- Kupią mi nowego quada?

- Jutro go dostarczą.

- Serio?

- Jasne. Pryszcz kazał cię przeprosić, że to tak długo trwało. Kupili ci polarisa.

- Wow! - Rozpromieniłam się i spojrzałam na Gavina. - Będziemy mieli nowego quadzika.

A potem mnie olśniło. Akurat w chwili, kiedy sięgałam po serwetkę, żeby wytrzeć buzię Intiry.



- Zaraz, zaraz. Nowy quad jest potrzebny do misji, prawda? To dlatego nagle go kupili. Żebyśmy mogli go użyć i narazić się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Przecież to zwykła łapówka.

Wzruszenie ramion.

- A ty jesteś już zdecydowany?

- Czemu nie. Nie mam żadnych konkretnych planów na najbliższy tydzień.

- Szczerze, Lee: jesteś nieuleczalny. - Pokręciłam głową.

- A ty? Chcesz jechać z nami?

Wolałam nie pytać, czy Jeremy też się tam wybiera, ale mogłam się założyć, że tak. Byłam pewna, że to właśnie on jest Szkarłatnym Pryszczem.

- A czy oprócz quada mogę liczyć na darmowy bak benzyny?

- Niewykluczone.

- Co mamy zrobić?

Czasami myślę, że to ja jestem nieuleczalna.



G. Novotna